

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend



**NIE PRZESTANĘ OGLĄDAĆ,
NIE PRZESTANĘ SŁUCHAĆ**

Tomasz Raczek o Kevinie Spaceym,
Polańskim i Kaczmarским



**WYSOKIE
OBCASY**
Katarzyna Figura
Koniec z wielką
seksowną blondyną

FOT. KIRSTY WIGGLESWORTH/AP, MICHAŁ ZEBROWSKI/DDTVN/EAST NEWS



GAZETA
wyborcza
nie ma wolności bez solidarności

wyborcza.pl



**Przyjmujemy
wszystkich. I co dalej**

Odpowiadają: Szczerek, Mikołajewski, Zaremba-Bielawski

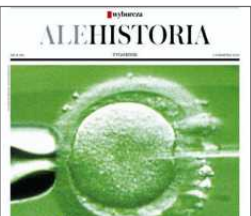
• Czerwiec, mecz
towarzyski Polska-Niemcy

FOT. PIOTR DZURMAN/REPORTER

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**Nawet papież
gratulował**
45. urodziny
in vitro



Janosik
Bogatym zabierał,
biednym
nie dawał

Ryży rządzi
Barbarossa,
Churchill i Mark
Twain byli rudzi

**Ruś aktualnie
ukraińska**
W co gra
Orbán

Agnieszka
Kublik

Macierewicz wygumkowany z HiT

W nowym podręczniku „Historia i teraźniejszość 2” jest rozdział „Cień katastrofy smoleńskiej”. Na kilku stronach prof. Roszkowski pokazuje 10 kwietnia 2010 r. z perspektywy PiS.

I tak pod zdjęciem wraku tupolewa podpis: „Za odwagę w przeciwstawianiu się rosyjskiemu imperializmowi prezydent RP Lech Kaczyński zapłacił najwyższą cenę”. A także atak na ówczesnego marszałka Sejmu: „W trakcie kampanii Komorowski pojechał do Moskwy 9 maja na obchody rocznicy triumfu ZSRS w II wojnie światowej. W tym samym czasie Kaczyński wystąpił z osobistym przesłaniem »Do przyjaciół Rosjan«, w którym dziękował zwykłym obywatelom Rosji za wyrazy współczucia”.

Roszkowski nie wspomina, że prezydent Lech Kaczyński wybierał się do Moskwy 9 maja właśnie na te uroczystości.

Pojawia się też teza, że jego brat w wyborach prezydenckich w 2010 r. był bliski zwycięstwa: „Choć pozbawiony współpracy z bratem bliźniakiem i przytłoczony katastrofą, wydaje się, że Jarosław Kaczyński mógłby wygrać te wybory, gdyby nie mało skuteczna kampania, prowadzona przez osoby, które wkrótce potem odeszły z PiS”.

Roszkowski zapomniał, że mediami publicznymi rządziła koalicja PiS-SLD (tak, tak, Kaczyński dogadał się z Czarzastym) i te media agitowały za Jarosławem i przeciwko Komorowskiemu. I że Komorowski dostał 8 933 887 głosów, Kaczyński – 7 919 134, o ponad milion mniej. Dla porównania, Trzaskowski przegrał z Dudą o zaledwie 422 385 głosów (choć cały aparat władzy agitował za Dudą).

To próba wdrukowania w głowy jedynej słusznej wersji historii najnowszej uczniom, czyli przyszłym wyborcom, oraz tzw. narracja utwierdzająca zwolenników obecnych. Ale dlatego tak interesujący jest akapit o tym, jak doszło do tragedii. „Co do przyczyn katastrofy panowało ogromne zamieszanie. Wiele osób było i jest do dziś przekonanych, że doszło do zamachu, ale wersja ta nabiera ostatnio znaczenia oficjalnego”. Ani słowa o raporcie rządowej komisji Jerzego Millera, wedle którego samolot leciał za nisko, za szybko, we mgle, bez widoczności ziemi. To nie dziwi, PiS po wygranej w 2015 r. usiłował znieść oficjalny status raportu – usuwał go z rządowych stron internetowych.

Ale nie ma tu mowy ani o podkomisji smoleńskiej, ani o jej raporcie, co jest sprzeczne z kanoniczną wersją PiS, wedle której raport podkomisji zawiera żelazne dowody na zamach.

Czyżby to nowa linia Nowogrodzkiej? Ostateczne, podręcznikowe pożegnanie – partii i Kaczyńskiego, bo przecież tak ważna politycznie i emocjonalnie kwestia nie mogła być z nim nieskonsultowana – ze smoleńskim zamachem? Odpuszczają sobie to kłamstwo? Koniec z okrzykami o zdradzonych o świecie i morderstwach?

Bo jak inaczej rozumieć brak scenariusza Macierewicza w autoryzowanej przez PiS wersji najnowszej historii Polski? ●

Andrzej rysuje



Chiny Żaden dekret Xi nie pomoże



Miaofengshan na obrzeżach Pekinu, górskie enklawy historycznych świątyń, pod wodą. Przez kraj przechodzi tajfun „Doksuri”. A w zasadzie supertajfun – wiatr osiąga 235 km/h, a opadów tej skali nie notowano od dekad. Zginęło co najmniej 20 osób, ewakuowano kilkadziesiąt tysięcy; na całej trasie tajfunu – przeszło pół miliona, a na horyzoncie mający kolejny tajfun. Meteorolodzy są zaskoczeni – pekińskie lato zawsze jest suche i upalne.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU**
i bądź na bieżąco
przez cały weekend *

LWLW07

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 5.08.2023 r. do 6.08.2023 r.

Co dalej z ofensywą



**Mychajło Podolak,
doradca Zełenskigo,
w rosyjskim portalu:**

Rosji nie zaatakujemy, ale drony mogą się wyrwać spod kontroli, a wakacji na Krymie nie polecamy

Więcej
► Wyborcza.pl/magazyn

Mistrzostwa świata Wszyscy kolarze to jedna rodzina

Właśnie rozpoczęte zawody w Szkocji są wyjątkowe, bo po raz pierwszy w jednym czasie i miejscu spotyka się większość dyscyplin – od klasycznych, jak szosa i tor, przez MTB, po do niedawna „alternatywne” i „młodzieżowe”, w rodzaju BMX, trialu i downhillu. W dyscyplinie wciąż koronnej – wyścigu szosowym – wystartuje Michał Kwiatkowski, mistrz z 2014 r. Podczas tamtego wyścigu na złoto lidera pracowała cała dziewięcioosobowa reprezentacja. Teraz – 6 sierpnia – „Kwiato” pojedzie sam. O liczebności drużyny decyduje miejsce państwa w światowym rankingu, a Polska jest 28., czyli bardzo nisko. Szanse na medal są takie sobie również dlatego, że Kwiatkowski przyleci do Szkocji tuż po Tour de Pologne, na który przyleciał tuż po Tour de France – tam wygrał etap, i to piekielnie trudno.

Większe szanse mamy 13 sierpnia w wyścigu kobiet ze startu wspólnego. Liderką drużyny będzie Katarzyna Niewiadoma, trze-



cia we właśnie zakończonym TdF kobiet, brązowa medalistka MŚ z 2021 r. Drużyna jest dość mocna – Niewiadomej będą pomagać m.in. Marta Lach i Agnieszka Skalniak-Sójka, również uczestniczki TdF. Komu jeszcze kibicować? W jeździe indywidualnej na czas – Maciejowi Bodnarowi, zwycięzcy czasówki w TdF (co prawda ładnych parę lat temu, ale to wciąż legitymacja przynależności do kolarskiej elity), a w kolarstwie górskim – Pauli Goryckiej, nie tak utytułowanej jak Maja Włoszczowska, która przeszła na sportową emeryturę, lecz też z międzynarodowymi sukcesami na koncie. ● **Marek Deryło**
Transmisje w Eurosporcie

Wezmą twórców głodem



27

DOLARÓW
I 30 CENTÓW

To tantiemy aktorki Kimiko Glenn za kilkadziesiąt odcinków hitowego serialu „Orange Is the New Black”. Strajk scenarzystów i aktorów domagających się tantiem od serwisów streamingowych i ograniczenia użycia sztucznej inteligencji trwa już prawie trzy miesiące. Przedstawiciel producentów skomentował: „Poczekamy, aż ludzie zaczną tracić domy”.

● Co dalej ze strajkiem?
► Wyborcza.pl/kultura
● Reportaż z Hollywood
► Wyborcza.pl/magazyn

Cytat tygodnia

*Kiedy skrócili polowania
na kaczki,
nie protestowałem.
Kiedy zabronili
szkolić psów
na dziki, nie protestowałem*

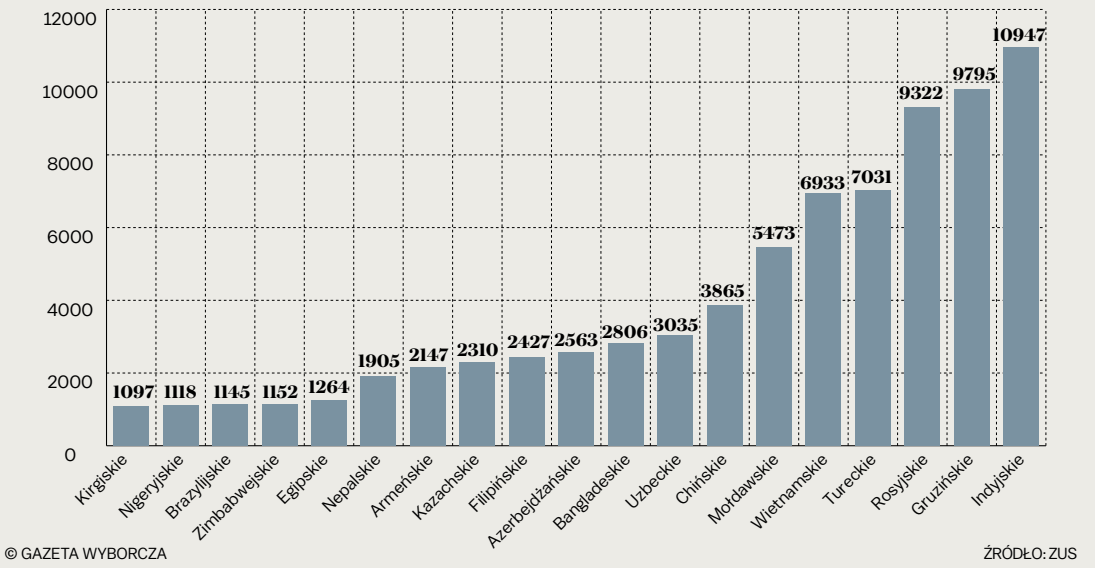
Tak Instytut Analiz Środowiskowych – organizacja lobbystyczna myśliwych – strawestowała słynny wiersz pastora Niemöllera, więźnia Sachsenhausen i Dachau, w proteście przeciwko planom zakazu przywozu do Polski egzotycznych trofeów.

Więcej
► [Wyborcza.pl/klimat](https://wyborcza.pl/klimat)

Wykres tygodnia
Wszyscy się mieszczą

Pracownicy cudzoziemcy z innym obywatelstwem niż ukraińskie i białoruskie

Pracownicy z Ukrainy i Białorusi, którzy są zgłoszeni do ZUS-u w Polsce, to 513 tys. osób. Na wykresie pokazaliśmy pozostałe kraje inne niż z UE, z liczbą pracowników ponad tysiąc. Dane na 31.03.2023 r.



ZUS wyliczył, że co roku powinniśmy przyjmować 200-400 tys. imigrantów. Aby utrzymać produktywność, w 2032 r. co ósma osoba (ok. 2,8 mln ludzi – tyłu mniej więcej przyjmuje co roku, nie licząc azylantów, cała Unia) w wieku produkcyjnym musiałaby być cudzoziemcem. 60 proc. legalnych gastarbeiterów ma poniżej 40 lat. Więcej na [Biqdata.wyborcza.pl](https://biqdata.wyborcza.pl) oraz w analizie „Polskie silver tsunami” na [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

Rozdział Kościoła od państwa

Kto się odważy zadzwonić do nuncjusza

30 lat konkordatu. Co się z nim stanie, kiedy wygra opozycja

GRUSZCZYŃSKI

Konkordat został podpisany, ponieważ religia katolicka była wyznawana przez większość polskiego społeczeństwa, Karol Wojtyła jako papież położył ogromne zasługi, a Kościół miał doniosły wkład w umacnianie moralności.

Tak można streścić znajdujące się w preambule uzasadnienie umowy zawartej w środku lata 1993 r. przez rząd RP ze Stolicą Apostolską.

Zgodnie z akapitem o „rozwoju osoby ludzkiej i umacnianiu moralności” w dokumencie znalazło się sporo punktów związanych ze sferą obywatelową i społeczną – małżeństwem, rodziną, edukacją.

Pierwszy, dotyczący zawierania małżeństwa, oprócz tego, że był niezwykle praktyczny, u progu XXI wieku wydawał się oczywisty: wkrótce po złożeniu podpisów przez ówczesnego ministra spraw zagranicznych Krzysztofa Skubiszewskiego oraz nuncjusza abp. Józefa Kowalczyka nie trzeba było brać dwóch ślubów, pierwszego przed urzędnikiem, a drugiego przed księdzem. Ale już drugi, o „obronie i poszanowaniu instytucji małżeństwa i rodziny, będących fundamentem społeczeństwa”, brzmiał jak rytualna formułka, lecz w razie niepomyślnych politycznych wiatrów uchylał niebezpieczną furtkę. Od 2015 r. i wygranej PiS widać, na czym ta obrona polega: na zaostrzeniu prawa aborcyjnego, braku praw dla związków osób tej samej płci czy cofnięciu refundowania in vitro.

Konkordat wprowadził również religię do szkół, oddając władzę nad programem biskupom. Dzisiaj to Episkopat decyduje, kto będzie uczył dzieci religii, a wynagrodzenie katechetów pokrywa w 100 proc. państwo, czyli podatnicy. Każda próba wprowadzenia katechezy z podstawówek czy lice-

ów musiałaby zostać skonsultowana z Watykanem. W dokumencie zapisano również twardo, że dwa katolickie uniwersytety – w Warszawie i Lublinie – są dotowane przez państwo, mimo że według prawa są uczelniami prywatnymi. Uwzględniono zapisy o mszach na koloniach letnich, w więzieniach, o organizacji ordynariatu polowego i wsparciu państwa w konserwacji należących do Kościoła zabytków.

Kościół katolicki cieszy się od 30 lat szczególnie przywilejami. Pytanie brzmi: jak długo?

Sprawy z Kościołem trzeba uporządkować. Według ostrożnych wyliczeń o. Tadeusz Rydzyski otrzymał od 2015 r. blisko 400 mln zł na swoje liczne inwestycje w Toruniu. Za rządów PiS środki przeznaczone na Fundusz Kościelny przekroczyły 200 mln zł rocznie. Ostatnio państwo przekazało ponad 800 mln zł na ocieplenie budynków należących do parafii. Przy tych wszystkich koncesjach liczne relikwiarze, sprzęty liturgiczne, remonty sponzorowane poza oficjalnym państwowym budżetem, bo przez spółki skarbu państwa, czy koszty zakupu miecza z czasów Mieszka I, który minister Jacek Sasin przekazał o. Rydzyskiemu, to grosze.

Najdalej idzie Nowa Lewica, która chce renegocjować konkordat, nałożyć podatki na Kościół, wyprowadzić religię ze szkół, wprowadzić kasy fiskalne do parafii, zlikwidować Fundusz Kościelny i walczyć o zadośćuczynienie dla ofiar księży pedofilów. Ale i Donald Tusk, nie zważając na argumenty ostrożnych publicystów o „niezrażaniu zachowawczego elektoratu” i „wciąż katolickim społeczeństwie” – czyżby, prócz intuicji i zmysłu obserwacji miał głębsze badania opinii? – ostro komentuje sojusz części Kościoła z obecną władzą. W ubiegłym roku zadeklarował, że po objęciu

władzy „skasuje pieniądze, jakie płyną do Kościoła”. Mówił też o „odspawaniu Kościoła od władzy i pieniędzy”.

Klimat wokół Episkopatu i Kościoła zmienił się na tyle, że w 2023 r. można hasłami związanymi z ograniczeniem wpływów hierarchów zyskać wyborców. Jeszcze 20 lat temu było to nie do pomyślenia. W polityce funkcjonowała niepisana zasada, że Kościoła i jego przywilejów się nie rusza, bo najpierw pomógł wprowadzić Polskę do Unii, wcześniej stał po stronie opozycji antykomunistycznej, a jeszcze wcześniej jego przywódcy byli zamykani w więzieniach.

W przyjaznym rozdziale tronu i ołtarza jest miejsce na kaplice w szpitalach, lekcje religioznawstwa w szkołach, remont zabytków czy współpracę w działalności charytatywnej

Czasy się jednak zmieniły, społeczeństwo zaczęło się laicyzować, hierarchowie strzelili sobie wiele samobójczych bramek, używając dyskryminującego języka, pojawiając się u boku skompromitowanych polityków i tuszując liczne afery pedofilskie. Innymi słowy: dożyliśmy czasów, kiedy to, co powie biskup, nie ma absolutnie żadnego przełożenia na kształt debaty publicznej. Chyba że powie coś o „tęczowej zarazie” lub morderstwach nienarodzonych dzieci, wtedy z okna apartamentu zobaczy tłum protestujących ludzi.

Ten klimat odczytują politycy partii opozycyjnych w przeciwieństwie do

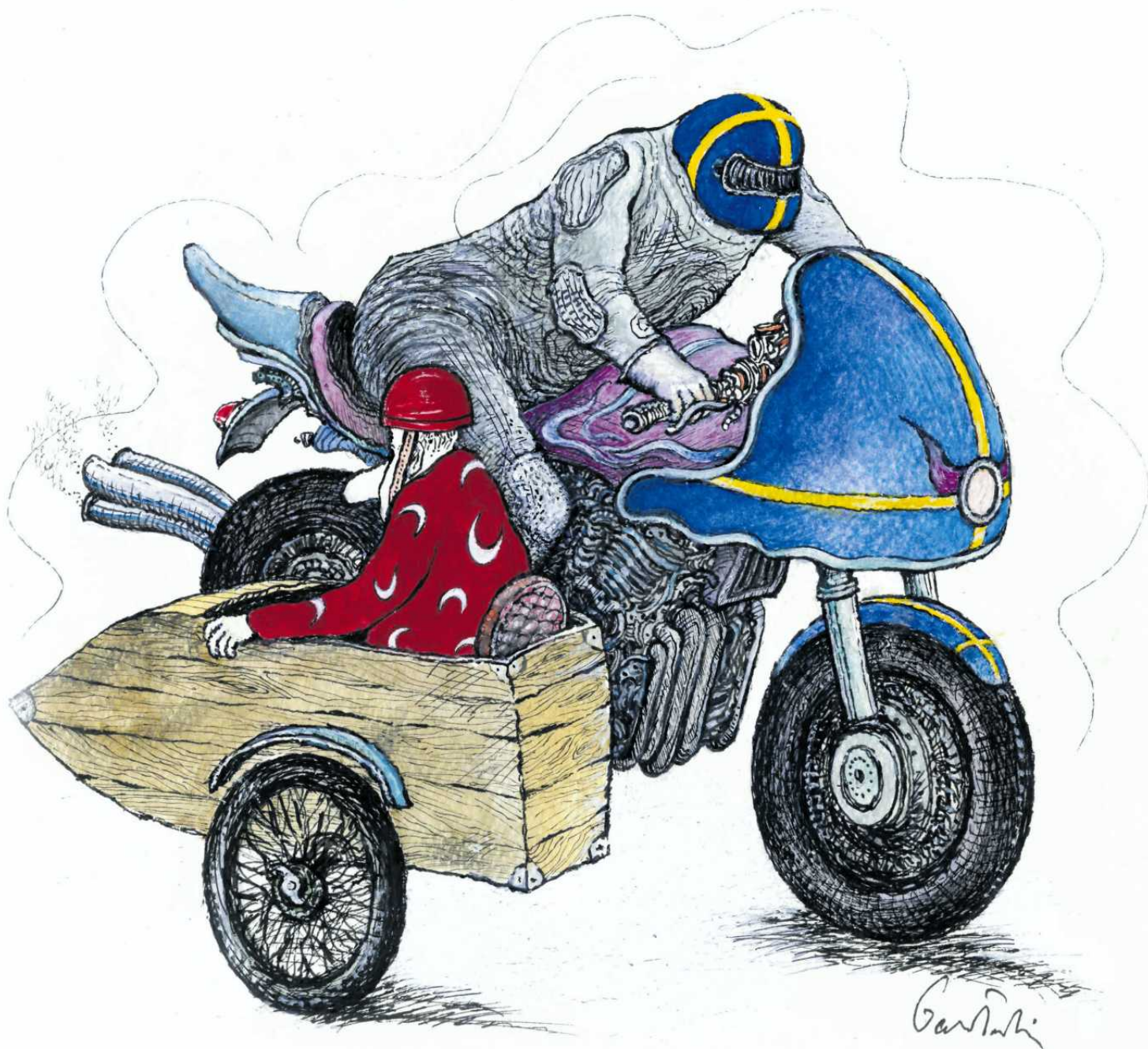
Kaczyńskiego, który postanowił pielęgnować sojusz tronu i ołtarza. Nie oszukujmy się: PiS realizuje najbardziej konserwatywny program uložony przez ludzi Kościoła, z maksymalnym ograniczeniem prawa do aborcji i dostępu do środków antykoncepcyjnych i tępieniem homoseksualizmu na czele. W wielu aspektach żyjemy już nie w Rzeczypospolitej Polskiej, ale w Wielkiej Polsce Katolickiej. Z obowiązkowych postulatów Kościoła do wprowadzenia pozostał jeszcze zakaz rozwodów.

Ludzie głęboko wierzący – niekoniecznie w Boga – zintegrowani wokół lidera i dającej im poczucie sensu społeczności zawsze łatwiej się mobilizują, więc wszelkie próby ograniczenia pozycji Kościoła wywołują protesty społeczne i wielomilionowe marsze. Liberalna większość zwykle uruchamia się przeciwko czemuś – zwłaszcza ograniczeniu jej praw – a rzadko za czymś, więc tym politykom, których horyzont wytycza cotygodniowy sondaż, wyda się mniejszością. Wysyp memów i komentarzy w sieci nie zrównoważy tego, co pokażą telewizyjne kamery.

Ale mądry rząd będzie w stanie wytłumaczyć zmiany. Dobrze poprowadzona kampania informacyjna wyjaśni również wierzącym, że nie ma racjonalnego uzasadnienia finansowej kropłówki dla katechetów czy przywilejów podatkowych księży. Że w przyjaznym rozdziale tronu i ołtarza jest miejsce na kaplice w szpitalach, lekcje religioznawstwa w szkołach, remont zabytków czy współpracę w działalności charytatywnej.

Z preambuły konkordatu po 30 latach pozostały wióry. Większość Polaków nie uczęszcza na niedzielne msze, autorytet Jana Pawła II został mocno nadszarpnięty, Kościół przestał być strażnikiem moralności. ●

Arkadiusz Gruszczyński



NIE DOTYKAJ SZWEDA

**Uchodźco, rozmawiając ze Szwedem, nie zbliżaj się bardziej niż na metr.
Nie siadaj nigdy w metrze obok kogoś, jeśli są inne wolne miejsca**

Z **MACIEJEM ZAREMBĄ BIELAWSKIM***
ROZMAWIA **DOROTA WÓDECKA**

O wykołejonej integracji imigrantów w Szwecji pisał pan ponad dekadę temu. – Wykrakałem?

Najwyraźniej.
– Nie ja jeden ostrzegałem.

Dlaczego socjaldemokratyczni spece od integracji nie traktowali poważnie tych ostrzeżeń?
– Zemścił się niestety szwedzki mit. Jesteśmy przecież najbardziej postępowym krajem na planecie, otwarci na świat i humanitarni, więc z imigracją nie możemy mieć problemu. Jeśli ktoś uważa, że możemy mieć, to znaczy, że nie lubi obcych. Szwedzka lewica – w szerokim pojęciu – nie przyjmowała do wiadomości, że niektórzy emigranci mogą nie zaakceptować szwedzkiego państwa prawa. Albo po prostu nie chcą się stać częścią tej wspólnoty. Jeśli imigrantowi jest niedobrze, to zawsze jest wina etnicznej większości, która go dyskryminuje. Taki był to dyskurs. Owszem, dyskryminacja istnieje. Ale nie tłumaczy wszystkiego.
Po publikacji moich tekstów dostałem chyba tysiąc listów. Niektórzy pisali, że gdybym nie nazywał się Zaremba, tylko Svensson, toby mi tego chyba nie opublikowali. I niestety, coś w tym było. Mnie było wolno więcej, bo nie byłem podejrzany, że chcę gnębić cudzoziemców.

Słowem, ważne było to, kto mówi, a nie to, co mówi?
– Tak, niestety. Teraz to się zmienia, ale przez dekady ta patologia, zwana polityką tożsamości, potrafiła zniszczyć w zarodku każdą ważną debatę, bo kto chce się narazić na zarzut, że jego poglądy tłumaczą się tym, że nie ma macicy, jest biały i do tego w średnim wieku? Albo po prostu osobnikiem z „etnicznej większości”.

Do dzisiaj nie rozumiem, jak ludzie lewicy, wnuczeta Oświecenia, dali się opętać tej ideologii, która jest przeciw zaprzeczeniem tradycji uniwersalizmu. Doszło do tego, że nawet państwowe instytucje uległy tej chorobie.

Na przykład?
– Na przykład Krajowa Rada do spraw Zapobiegania Przystępczości (BRÅ) nie notowała w statystykach rasistowskich incydentów wśród imigrantów, bo w mniemaniu Rady tylko rodowitemu Szwedowi można było zarzucić ksenofobię. Kiedy pisałem na ten temat reportaż, głośnym echem odbiła się sprawa kilkudziesięciu politologów i socjologów, którzy zaprotestowali przeciw mianowaniu szefem komisji mającej zbadać sytuację imigrantów w Szwecji niejakiego Masouda Kamalego. Gość miał to do siebie, że jeszcze przed podjęciem badań znał ich wynik, a mianowicie, że problemy imigrantów wynikały ze „strukturalnego rasizmu” w Europie. Czego profesor Kamali nie musiał dowodzić, bo to wynikało z postkolonialnej teorii. Po proteście naukowców jeden z polityków partii liberalnej ubolewał w parlamencie, że ta „szkodliwa polemiczna dyskusja, która wylała się na łamy gazety, może odbić się niekorzystnie na stosunkach pomiędzy społecznością imigrancką i rządem”.

Nie mam pewności, czy sformułowanie „społeczność imigrancka” nie tworzy we wspólnocie dużego zbioru osobnego i jednak niespójnego.
– Łagodnie się pani wyraża. „Społeczność imigrancka” to kompletny nonsens. Nie ma czegoś takiego. Do tego jest to nonsens autorytarny, bo narzuca ludziom tożsamość, o którą nie prosili, i sugeruje wspólnotę interesów, która nie istnieje. Ale niestety, przez dekady nasze władze upierały się przy tym absurdzie i oczekiwały, że każda grupa wyłoni swoich reprezentantów,

Tysiące dzieci imigrantów, których rodzice zagubieni w nowym kraju stracili autorytet, nawet w szkole nie mają kontaktu z ludnością tubylczą. Jest za to imam, który im tłumaczy, że Szwedzi nimi gardzą, i są gangi, w których można stać się „kimś”

którzy poinformują polityków o szczególnych bolączkach Polaków czy Somalijszyków w Szwecji.
Najbardziej perfidne jest to, że te pomysły zrodziły się na lewicy, która wyraźnie uważała, że imigrant dzieli jakieś cechy z innymi imigrantami, których z kolei nie dzieli ze Szwedami. Nie muszą chyba dodawać, z jaką radością Szwedzcy Demokraci podjęli ten wątek.

Skąd się wziął pomysł na „politykę tożsamości”?
– Kanadyjski filozof Charles Taylor lansował w latach 80. „politykę uznania drugiego”, politics of recognition. Bardzo upraszczając, chodziło o to, by większość etniczna czy religijna potrudziła się, by zrozumieć, dlaczego mniejszość upiera się przy swojej tożsamości, jakie w niej widzi wartości i skąd się wywodzi. Bez tego wysiłku – który już sam w sobie jest aktem szacunku – nie będzie dobrych stosunków w społeczeństwie. Oczywiście chodziło też o uznanie historycznych krzywd, głównie w stosunku do ludności autochtonicznej.
Bardzo mi się to wtedy podobało, bo czułem, że Szwedzi patrzą na mnie jako na Polaka z góry, nie mając zielonego pojęcia o polskiej historii. Po czym, jak to się zwykle odbywa, ta mądra filozofia została uproszczona do absurdu przez radykalnych polityków na lewicy i wyszło na to, że wszystkie kultury są równie dobre i nie wolno ich wartościować. A na pewno już nie wolno przedstawicielom większości krytykować obyczajów i wierzeń mniejszości. Tak więc szwedzka lewica prawie do wczoraj ignorowała fenomen zabójstw honorowych. Bo przyznać, że mordowanie dziewczyn przez ich braci i kuzynów za to, że straciły cnotę, ma miejsce wyłącznie w niektórych społecznościach imigranckich, oznaczałoby, że te kultury stoją niżej na drabinie cywilizacji.
I jak na nieszczęście jednocześnie z drugiej strony zaatakowała myśl postmodernistyczna, wedle której nie ma czegoś takiego jak prawda, są tylko punkty widzenia. Po czym te dwie ideologie spotkały się w persyjnym uścisku. Bardzo trudno dyskutować publicznie na drażliwe tematy w takiej atmosferze.

Bo można zostać uznanym za rasistę kulturowego na przykład?
– Nie tylko. Kiedy jakiś socjolog ostrzegał, że w emigranckich gettach dzieci tracą zdolność integracji, bo nawet w szkole nie słyszą już szwedzkiego, to się dowiadywał, że nie wie, o czym mówi, bo nie jest imigrantem i do tego „stygmetyzuje przedmieścia”. Kiedy Nalin Pekgul, Kurdyjka z pochodzenia, socjaldemokratka, członkini parlamentu, była prezes Kobiet Socjaldemokracji, opisała życie w jednej z tych okolic, sterroryzowanej przez fanatyków religijnych i innych, żadne wydawnictwo nie chciało wydać jej książki. Wydrukowała własnym kosztem. Co chce przez to powiedzieć? Otóż, że w wydaniu politycznej lewicy z „polityki uznania” wyszła polityka obojętności. I to właśnie szeroko pojęta obojętność jest moim zdaniem głów-

ną przyczyną wykołejonej integracji. Albo gorzej – narcyzm narodowy.
Ważniejsze było, że dobrze brzmi, co my, Szwedzi, mówimy o imigrantach, niż wiedza o tym, jak się żyje w imigranckich gettach.

Kiedy zaczęły powstawać?
– Niespełna 30 lat temu rząd prawicowy zniósł przepis, wedle którego uchodźca tracił zasiłek, jeśli nie zamieszkał w gminie, do której go skierowano. Chodziło oczywiście o rozsianie imigracji mniej więcej równo po całym kraju. Pamiętam, jak przykładałem zniesieniu tego przepisu, bo uważałem go za objaw paternalizmu. Teraz rozumiem, że miał sens, chociaż wtedy nie było tylu uchodźców z kultur klanowych jak somalijska. Dziś wiemy, że puszczenie kwestii mieszkaniowej luzem zaowocowało gettami, bo uchodźcy z terenów, gdzie państwo albo się rozpadło, albo jest wrogiem i nie przeżyjesz bez pomocy kuzynów czy też współwierców, pragną mieszkać blisko swoich. No więc mieszkają. I odradzają struktury klanowe na przedmieściach metropolii czy w całych miastach jak Södertälje. Teraz tamten przepis zostanie przywrócony. I słusznie moim zdaniem. Popiera go też Abdullahi Cadaani, uchodźca z Mogadysz w 2003 roku, a obecnie burmistrz miasteczka Bollnäs. Jego zdaniem przez pierwsze pięć lat w Szwecji, dla własnego dobra, uchodźca nie powinien mieć prawa do zasiłku, jeśli zamieszka w getcie.

Przez 30 lat rząd nic nie zrobił, tylko przyglądał się owej gettoizacji?
– Powiedziałem, że zemścił się autowizerunek Szwecji jako awangardy postępu, bo siła przewodnia nie ma się, rzecz jasna, czego uczyć od tych z tyłu. I chyba się nie zdarzyło, żeby szwedzki minister przyjrzał się, jak inne kraje radzą sobie z integracją cudzoziemców. A przecież wystarczyło przeczytać na przykład „Śmierć w Amsterdamie. Zabójstwo Theo van Gogha i granice tolerancji” Iana Burumy, żeby zrozumieć, że szwedzki model integracji to tykająca bomba.
Tysiące dzieci imigrantów, których nikt nie wychowuje, bo ich rodzice zagubieni w nowym kraju stracili autorytet, które jeśli nauczyły się języka, co nie jest pewne, nawet w szkole nie mają kontaktu z ludnością tubylczą. Jest za to imam, który im tłumaczy, że Szwedzi nimi gardzą, i są gangi, w których można stać się „kimś”.
Czego nie pojęli szwedzcy eksperci, to zrozumieli Somalijszczy w Szwecji, którzy regularnie wysyłają dorastających chłopców na długie wakacje w Somalii, żeby się tam nauczyli moresu i szacunku dla starszych.

Powiedział pan, że nie jest pewne, że dzieci imigrantów nauczyły się języka.
– A gdzie miały się nauczyć?

W szkole? Jeśli nie w domu.
– A po co miały się go uczyć? Szwecja jako bodajże jedyne państwo w Europie nie żądała przy nadawaniu obywatelstwa znajomości języka ani nawet konstytucji. Wystarczyło tu legalnie pomieszkać cztery-pięć lat i nie

popelnąć większego przestępstwa. To oczywiście absurd, którego pierwszą ofiarą są imigranci, którym państwo wmawia, że nie znając języka, zostaną przyjęci do wspólnoty. Nie zostaną. Będą mieli marne życie. Chyba że są programistami i świetnie władają angielskim. Socjaldemokracji nie dawało się wytłumaczyć, że jeśli co dziesiąty obywatel nie rozumie, o czym mówią w parlamencie, to demokracja ma pewien problem. Uważali, że wymóg języka jest „wykluczający”, bo ktoś może nie zdać testu. Kiwali pobłażliwie głowami, kiedy tłumaczyłem, że to nieznamość języka wyklucza, bo Szwedzi – w przeciwieństwie do Francuzów, Anglików czy Amerykanów – czują się obco wobec kogoś, kto duka w ich języku. Język jest nie tylko narzędziem komunikacji, ale i wytrychem do wspólnoty. Nie wszystkie narody tak mają. Można się zintegrować w USA czy w Australii, nie znając dobrze języka, bo te młode narody złożone z imigrantów mają doświadczenie pluralizmu w genach i są do tego kulturami „intensywnego kontekstu”, co oznacza, że człowiek uczy się odczytywać znaki, gesty, język ciała, mimikę, żeby zrozumieć, z kim ma do czynienia. Szwecja jest na drugim końcu skali. Do całkiem niedawna była tu ekstremalnie jednorodna kultura, w której język jest dominującym środkiem komunikacji. Jeśli Szwed ma wrażenie, że osoba, z którą rozmawia, nie bardzo chwytła, co mówi, czuje się w jej towarzystwie niepewnie, co wzmacnia obcość. A w konsekwencji – nieufność.

Jak pan ją przełamał?
– Zrozumiałem to dość wcześnie, więc chętnie się uczyłem. Po czterech latach mojego pobytu w Szwecji zaczęła mnie wieczorem banda wyrostków. Zanosilo się na bicie czarnowłosego intruza. Ale kiedy odpowiedziałem na ich zaczepki sztokholmskim slangiem, opadły im szczęki i odeszła ochota.
Ale tak jak ryby nie wiedzą, czym jest woda, Szwedzi nie są świadomi własnego egotyzmu. Na przykład faktu, że reagują alergicznie na fizyczną bliskość drugiego, nie mówiąc już o dotyku. Jakiś mądry integrator wywiesił ulotkę w obozie dla uchodźców: „Pamiętaj: rozmawiając ze Szwedem, nie zbliżaj się bardziej niż na metr. Nie siadaj nigdy w metrze obok kogoś, jeśli są inne wolne miejsca”. Pół wieku temu miałem nauczyciela szwedzkiego, który to wszystko rozumiał. Hippisa, który długo mieszkał we Francji i do tego pasjonował się antropologią społeczną. Obwoził nas po muzeach, a szwedzkich manier uczył praktycznie. Aranżował w naszej klasie konfliktowe scenki. „Ta tam przepycha się w kolejce. Co jej powiesz?”. Ale to były inne czasy, imigracja nie była masowa, a on był wyjątkowy. Obecnie nauka szwedzkiego dla imigrantów bywa na tak niskim poziomie, że więcej można się nauczyć, słuchając radia.

Jak to możliwe?
– Nauczycielem może zostać prawie każdy, bo kursy dla imigrantów są z reguły prywatnym biznesem, składają bardzo intratnym. Znam przypadek pedagoga, który pytał kole-

gów, co to jest rzeczownik. Klasy są ogromne, do 50 osób, chirurg z Bagdadu obok analfabetki z Mogadiszu. I nic się nie stanie, jeśli nie zdasz testów. Ale trzeba odsiedzieć te miesiące, żeby utrzymać prawo do zasilku.

Przez kilka miesięcy można się sporo dowiedzieć o kraju, do którego się przyjechało.

– Przejrzałem najczęściej używane podręczniki szwedzkiego dla obcokrajowców. W żadnym nie było słowa o szwedzkich tradycjach, wierzeniach i kulturze, jeśli nie liczyć porad, by nie przepychać się w kolejkach, sprzątać po sobie w pralni i przychodzić punktualnie na spotkania. W jednym z podręczników nie znalazłem nawet słów „słońce” i „księżyc”, za to „PESEL” występował siedem razy.

Jednym słowem taki obraz na temat aspiracji imigrantów mają autorzy podręczników? – Niestety.

Skąd się wziął?

– Z obojętności? Ignorancji? Braku wyobraźni? Narodowego narcyzmu? Nie wiem, jak to nazwać. Szwedzi się obrażą, jeśli powiem, że traktują uchodźców jak kulturowo upośledzoną masę, potencjalnych klientów opieki społecznej, a nie przyszłych współobywateli. Gombrowicz by powiedział: upupiają. Ale jak inaczej wytłumaczyć taki absurd, że urzędy nie notowały, jakie wykształcenie mieli ludzie ubiegający się o azyl czy prawo pobytu? Zdesperowana brakami kadrowymi służba zdrowia importowała lekarzy z Polski, podczas gdy chirurg z Bagdadu czekał pół roku na kurs integracyjny, na którym przez kolejne sześć miesięcy wysłuchiwał pouczeń, że w Szwecji myjemy ręce i zażywamy świeżego powietrza, bo to zdrowe.

Szwedzi musieli między sobą rozmawiać o imigrantach, czym prawdopodobnie tylko dozbrajali tę tykającą bombę.

– Oczywiście, rozmawiali. Ale rozmowy zepchnięte na margines wytwarzają własną dynamikę. Mój kolega z redakcji był kiedyś kierowcą tira. Piętnaście lat temu wpadł na pomysł, że znowu pojedzie w trasę i posłucha w przydrożnych knajpach, o czym ludzie rozmawiają. Spędził miesiąc za kierownicą i napisał reportaż, którego redakcja nie opublikowała, bo „byłby wodą na młyn ksenofobów”, czyli nie należało informować opinii publicznej, w jakiej tonacji kierowcy ciężarówek mówią o imigrantach. Brało się to z paternalistycznego przekonania, że jeżeli pozwoli się obywatelom przejrzeć się w lustrze, to wyjdą jakieś straszne rzeczy.

„Lepiej tego nie mówić albo nie pisać” – to nie jest tylko szwedzkie doświadczenie.

– Nie jest. Ale szwedzki strach przed kontrowersją ma wyjątkowo wielkie oczy. Kilkanaście lat temu moja znajoma politolożka badała, jak w różnych krajach dyskutuje się na najbardziej drażliwe tematy. Porównywała Polskę, Szwecję i Niemcy. Temat dotyczył in vitro, surrogatek, badań zarodków i zabiegów prenatalnych. W Polsce publiczne dyskusje na ten temat stawały się natychmiast walką między dobrem a złem. Nie było szansy na dyskusję racjonalną. W Niemczech natomiast debata była szeroka i rzeczowa. Dyskutanci traktowali poważnie argumenty adwersarza. W Szwecji debaty w ogóle nie było, bo politycy uznali, że to tematy tak kontrowersyjne, że lepiej publicznie o nich nie dyskutować, tylko oddać je do rozważenia ekspertom i na postawie ich opinii przegłosować stosowną ustawę. Pani politolożka bardzo trafnie opisała szwedzką atmosferę. Podstawą zgody społecznej, konsensusu jest unikanie kontrowersyjnych tematów.

Nie tylko ona. Susan Sontag pisała w 1969 roku, że Szwecja to kraj tematów tabu.

– Od tego czasu nic się nie zmieniło. Tutaj wrzody pękają dlatego, że zbyt długo pozwala im się nabrzmiewać.

Rząd zmienił zdanie. Już nie będzie tak łatwo zostać obywatelem Szwecji.

– Bez żadnej debaty, pod naciskiem sytuacji. I jeśli przejdą ustalenia między rządzącą prawicą a Szwedzkimi Demokratami, Szwecja rzuci się z jednej ekstremy w drugą. Będziemy mieli najbardziej rygorystyczną ustawę w Europie. Osiem lat pobytu w kraju, nienaganne prowadzenie się i własne utrzymanie, znajomość kultury i deklaracja lojalności, jeszcze nie wiadomo, czy z państwem, czy z „narodem”. Mam nadzieję, że ten projekt nie przejdzie, bo nie jest godny państwa prawa. Tu chodzi przecież nie o przemyślaną definicję obywatelstwa, tylko o odstraszenie przyszłych imigrantów. Sprawdziłem, jak wygląda kwestia naturalizacji w Niemczech i Anglii.

I?

– Trzeba zdać test, który jest w danym języku. Niemiecki zdałem, mimo że nie znam języka, ale szwedzki też germański, więc można zgadnąć, o co chodzi. Angielski oblałem, mimo że jako tako władam.

Test niemiecki sprawdzał znajomość państwa prawa i zasad współżycia – na przykład, czy to prawda, że kobietom nie wolno palić papierosów na ulicy. Musiałem zakreślić jedną z czterech odpowiedzi na temat konstytucji, prawa karnego, parlamentaryzmu i najnowszej historii. Przykładowo: jak Hitler doszedł do władzy. Pytań dotyczących niemieckiej kultury było niewiele, a jeśli już, to typu: czy Wielkanoc to klub futbolowy, czy święto religijne. W brytyjskim teście było podobnie, ale do tego mnóstwo pytań ze znajomości historii i kultury angielskiej, aż od Średniowiecza, na czym się wysypałem. Anglicy wymagają pewnego poziomu „zangliczenia” u cudzoziemca, który chce zostać ich obywatelem, natomiast Niemcy wymagają tylko poszanowania ustaw i zasad współżycia, co moim zdaniem jest wariantem o wiele mądrzejszym, bo przecież chodzi nie o asymilację, tylko o integrację.

A pan jest...?

– Zintegrowany. Asymilację potrafię symulować na potrzeby chwili. Nie mam zamiaru stać się kulturowym Szwedem i chyba nie mogę, bo musiałbym wpierw zapomnieć lektury z dzieciństwa. A moja edukacja sentymentalna to było „Serce” Edmonda de Amicisa, a nie „Pippi Pończoszanka” Astrid Lindgren. Mam własne przesady, ani polskie, ani szwedzkie. I się tym szczycę.

Należy rozumieć, gdzie się żyje, i wiedzieć, jak upewniać tubylców, że się jest jednym z nich. Nie trzeba szanować obyczajów, wystarczy je znać. Natomiast żądanie od imigranta zmiany tożsamości jest żądaniem despotycznym i bezsensownym, bo nie można sobie zmienić postrzegania świata. Dla mnie na przykład śmierć jest kobietą, a dla Szweda i innych Germanów jednoznacznie mężczyzną. Pamięta pani „Siódmą pieczęć” Bergmana? Dla mnie to był szok. Raz w życiu zdarzyło mi się napisać artykuł o malarstwie. O Jacku Malczewskim i jego serii „Thanatos”, portretów śmierci, która zrobiła na mnie ogromne wrażenie, kiedy byłem dzieckiem. Dorodna dziewczyna, która muśnięciem palców zamyka nam powieki. Tłumaczyłem Szwedom, że tak właśnie ma być. Nie mam zamiaru zmieniać poglądu w tej kwestii, bo trudniej mi przyjdzie umierać. Umrę więc jako Słowianin, pod Drogą Mleczną, a nie jakąś tam okropną Winterstrasse.

Jednym słowem Szwedzkim Demokratom dopomogły dobre, tolerancyjne i antyrasistowskie siły?

– Tak uważam, niestety. Ale nie tylko im. Partie prawicowe albo dały się zastraszyć, albo też nie dostrzegały rosnącego problemu. Ale moim zdaniem sukces Szwedzkich Demokratów ma więcej przyczyn.

Jakich?

– Pod koniec lat 90. największa partia prawicowa, Moderaterna, wyzbyła się tradycyjnego konserwatyzmu. Ostatnim przywódcą liberalno-konserwatywnym w tym kraju był Carl Bildt. Po jego odejściu partia stała się jednoznacznie liberalna i osierociła setki tysięcy wyborców, dla których ważne są tra-

dycje, kultura regionalna, obrona narodowa i pewien konserwatyzm w sprawach obyczajowych, którzy do tego uważają, że naród jest pewną wspólnotą, wobec której ma się obowiązki. Rozmawiałem z ludźmi, którzy nie mieli nic przeciwko imigrantom, ale głosowali na SD na przykład dlatego, że obiecywało przywrócić autorytet nauczyciela w szkołach.

Trzeba wspomnieć, że dla partii centrum i prawicy kwestia integracji miała niski priorytet. W 2002 roku Partia Ludowa, obecnie Liberalowie (co za znacząca zmiana nazwy), miała w programie wyborczym wymóg podstawowej znajomości szwedzkiego dla ubiegających się o obywatelstwo. Została natychmiast oskarżona przez socjaldemokrację, lewicę i Zielonych, że nie lubi imigrantów. I mimo że z badań wynikało, że absolutna większość Szwedów popiera ten warunek, i prawica wygrała wybory, sprawę odłożono na bok, bo socjaldemokraci byli przeciw, a w tym kraju panuje rozsądna skądinąd tradycja, że w sprawach fundamentalnych nie forsujemy ustaw, które mogą nie przeżyć następnych wyborów.

I tym sposobem debatę na temat integracji imigrantów oddano w ręce prawdziwych ksenofobów.

– Pomysł na traktowanie Szwedzkich Demokratów ze strony wszystkich partii był najpierw taki, że udajemy, że ich nie ma. Kiedy dalej rośli w siłę, nastąpiło ich piętnowanie. Bez względu na to, o czym była dyskusja, zawsze wyciągano, że ta partia ma korzenie neonazistowskie. I słusznie, bo ma, i one są ciągle żywe. Ale tym argumentem ucinano z nimi rozmowę, zamiast polemizować z ich programem. Awanturowałem się od lat o to, by rozmawiać z wyborcami SD. Z liderami partii raczej nie ma sensu, bo ta grupa uważa demokrację za pociąg, do którego trzeba wsiąść, żeby zdobyć władzę, a potem się wysiada. Ale z wyborcami trzeba rozmawiać, bo to są ludzie, którym różne rzeczy w państwie dopieklły i którzy uważają, że wszystkie partie ich opuściły. A że SD ma dwa programy: jeden, by zdobyć władzę, i drugi – do czego jej użyć, tego ich wyborcy na ogół nie przejrzel. To, co się wydarzyło w ubiegłorocznych wyborach, jest dramatyczne, bo o 180 stopni nastąpił zwrot ze strony partii centrum i prawicowych. Wcześniej nie chcieli przebywać w tym samym korytarzu ze Szwedzkimi Demokratami, a teraz mają wspólny dokument programowy. Uznali, że warto zapłacić tę cenę, by odsunąć socjaldemokrację od władzy. Prawicy się ponadto wydaje, że jeśli przejmie część retoryki SD, to tym sposobem ich zneutralizuje.

Nie mam zamiaru stać się kulturowym Szwedem. Dla mnie na przykład śmierć jest kobietą, a dla Szweda jednoznacznie męską

Pytanie, czy to możliwe.

– Słyszałem wypowiedź jednego z liderów: „Wpuścimy ich do salonu, a potem stłamsimy do 10 procent”. Jakoś na razie nie widać efektów tego tłamszenia. SD ma się nadal dobrze w notowaniach, ich partnerzy trochę gorzej, bo tracą zaufanie tradycyjnych wyborców.

W wyborach dostali 20 procent. To ogromne poparcie.

– Bo co drugi dzień mamy morderstwa na ulicy. Szwecja bije w tej chwili rekord Europy w liczbie zabójstw z bronią w ręku. I to nie są morderstwa w afekcie, kiedy szwagier szwagra po pijaku pchnie nożem, tylko strzelaniny w centrach handlowych. Szwedzi stracili poczucie bezpieczeństwa i to jest główne wytłumaczenie sytuacji politycznej.

Czy Szwedzi boją się imigrantów?

– W tym roku z przyczyn rodzinnych musiałem sobie pomieszkować po szwedzkich szpitalach. Co drugi lekarz i trzy czwarte pielęgniarek to byli imigranci albo dzieci imigrantów. Nie odniosłem wrażenia, żeby pacjenci ich się bali. A już na poważnie: pani pytania normalny Szwed już dzisiaj nie zrozumie, bo słowo „imigrant” przestało oznaczać „obcy”. To może być pani lekarz, fryzjer, listonosz, naczelny pani gazety, kasjerka w supermarkecie i policjant na pikiecie. Między innymi z tego powodu Szwedzcy Demokraci wyciszyli szczucie przeciw „imigrantom” i skupili się na muzułmanach.

To, co budzi strach, to kryminalne gangi w żyjniach na przedmieściach i islamistach, czyli faszyzm przebrany w religijne szaty. A najwięcej powodów do strachu mają właśnie imigranci, którym przyszło żyć w tych dzielnicach.

„Radykalni islamistach” to fraza, która budzi strach w społeczeństwach całej Europy. Jakie Szwecja ma pomysły, by sobie z nim radzić?

– Przebudzeniem była wojna w Syrii i Iraku, kiedy się okazało, że około 300 obywateli Szwecji walczyło po stronie Państwa Islamskiego. Absolutna większość z nich to mieszkańcy szwedzkich gett, a co drugi był wcześniej karany za przestępstwa kryminalne, więc nie ma pewności, że to z pobożności pojechał nawracać niewiernych. Ale to meczety i szkoły muzułmańskie organizowały nabór wojowników. Od tego czasu zamknięto wiele takich szkół, niektórym imamom odebrano prawo pobytu, no i zaczęto sprawdzać islamskich reprezentantów w szwedzkich organizacjach. Włącznie z zarządem socjaldemokracji, z której wyleciał Omar Mustafa, prezes Szwedzkich Muzułmanów, bo się okazało, że jego stowarzyszeniu nie są obce homofobia i antysemityzm. O czym wcześniej koledzy partyjni wyraźnie nie wiedzieli.

To nie jest oczywiście pomysł na to, jak sobie radzić, to tylko naprawianie szkód. Najwyraźniej istnieje w Szwecji niejawna struktura Braci Muzułmanów, której udało się zinfiltrować wiele organizacji, nie tylko islamskich. Dopiero tej wiosny ten przykry fakt został przyjęty do wiadomości przez partie i media mainstreamu za sprawą teologa Sameha Egyptsona (swoją drogą tak się przezwiał, bo Sameh Nabeh Basely Khalil jest Koptem z Egiptu). Jego dysputacja w Lund miała ochronę bezpieczeństwa, bo ujawniła nazwiska przywódców Braci Muzułmanów w Szwecji i ich powiązania. Po czym, oczywiście, Egyptson został oskarżony o islamofobię.

Z jakim skutkiem?

– Tym razem już nie zadziałało.

Najwięcej pomysłów mają teraz chyba służby bezpieczeństwa. Rządowe pomysły (zaostrzyć kary za terroryzm na tle religijnym) nie robią na mnie wrażenia, bo jeśli jesteś gotów zabijać w imię bóstwa, to cię nie odstraszy, że możesz dostać dożywocie, a nie 20 lat. Za to ktoś, kto może dostać trzy lata za coś, co dotychczas robił bezkarnie (wypożyczenie konta, rekrutacja młodzieży, kolportowanie propagandy), zacznie się zastanawiać. Lepszym więc pomysłem jest kryminalizacja przynależności lub wspierania organizacji ekstremistycznej, bo do dzisiaj za samą przynależność nikt nie mógł zostać ukarany. Za rok już będzie.

Zdaniem muzułmanki Nalin Pekgul najłepsze, co rząd mógłby zrobić dla integracji, to odebrać wszystkim islamskim i innym „tożsamościowym” stowarzyszeniom państwowe dotacje – bo finansują one przekaz, że w Szwecji muzułmanin/ciemnoskóry nie ma szans – i przeznaczyć te miliardy na szkoły w imigranckich gettach. Czyli na budowanie wspólnoty. Ja bym się pod tym podpisał.

Dlaczego Niemcy nie mają szwedzkich problemów z imigrantami?

– Naukowcy tłumaczą to strukturą imigracji. W przeciwieństwie do Niemiec Szwecja była bardzo długo zamknięta dla gasterbeiterów podobnie jak Holandia. Przyjmowano za to

uchodźców. A więc takich, którzy przyjechali nie po to, żeby tu żyć, tylko by nie żyć tam, skąd uciekli. A to zmienia warunki integracji. Gastarbeiter integruje się przez pracę, uchodźcy trudniej ją znaleźć, bo może być strau-matyzowany, a do tego ma słabszą motywację, bo jest na zasilku. Kiedy pisałem swoje teksty, różnica w zatrudnieniu między przeciętnym Szwedem a przeciętnym imigran-tem wynosiła 17 procent. Podobnie w Holandii. W Niemczech nie było różnicy. Imigranci mieli pracę w tym samym zakresie co Niemcy.

W Polsce rząd prawicy ogłasza roz-pisanie referendum, w którym Polacy zdecydują, czy przyjmować uchodźców.

– Odpowiem po chrześcijańsku, że kuszenie jest grzechem. Alexis de Tocqueville uważał, że większość ma prawo decydować tylko o tym, co w tym samym stopniu dotyczy wszystkich. Natomiast referendum na temat uchodźców, in vitro czy aborcji to pomysł z piekła rodem. Nie można mieć referend-um o prawach mniejszości. Nie mówiąc o tym, że idiotyzmem jest referendum, któ-rego wynik może oznaczać, że Polska wypi-suje się ze wspólnoty narodów. To już lepiej postawić sprawę otwarcie.

Jak?

– „Tak, my, Polacy, przez stulecia jak ma-ło który naród korzystaliśmy z prawa azylu. Owszem, nasza poezja narodowa powsta-ła na uchodźstwie. I co z tego? Niech się głu-pi Francuzi i Anglicy wstydzą, że się dali wy-cyckać. Jak ktoś daje, to bierzemy. Ale głupi nie jesteśmy i nie znamy wstydu. Takie jest nasze prawo i nasza sprawiedliwość”. Coś w tym stylu.

Tak w każdym razie to wypisanie się ze wspólnoty narodów zostanie zrozumia-ne i zapisane w encyklopediach. Hasło „pol-ski Sejm” już zamieniono na burdel politycz-ny, a teraz dojdzie „polska wdzięczność”. Nie chcę wierzyć, że Polska zrobi sobie takie hi-storyczne świństwo.

Populiści podsycają strach przed imi-grantami. Szczególnie przed obywatela-mi z „krajów islamskich”.

– I co? Działa?

Potomkowie zwycięzców pod Wiedniem trzęsą portkami na widok rodzin wielodziet-nych i ich ojców w podkoszulkach? Nie wie-rzę. To nie moja Polska.

Imigrantów i uchodźców będzie w Euro-pie przybywać. Z powodów demograficz-nych, ekonomicznych i kryzysu klima-tycznego. Jakie powinny obowiązywać zasady w społeczeństwach multi-kulti?

– Te, które mimo wszystko sprawdziły się ja-ko tako w Stanach Zjednoczonych. Bądź lo-jalny wobec konstytucji. Możesz praktyko-wać swoją wiarę, ale nie narzucaj jej innym. Czuj się odpowiedzialny za losy wspólnoty. Do tego bym dorzucił lekturę Timothy’ego Snydera: „O tyranii. Dwadzieścia lekcji, jak stawiać opór”. ●

***Maciej Zaremba Bielawski** – ur. w 1959 r. Emigrował do Szwecji w 1969 r. Dzienni-karzem został w czasach „Solidarności” – w 1981 r. wrócił do Polski z zamówieniami od kilku redakcji. W stanie wojennym jako kierowca ciężarówki przyjeżdżał z pomocą, a przy okazji zbierał materiały, które publiko-wał w Szwecji pod pseudonimem „Zaremba”. Publikował w szwedzkim dzienniku „Dagens Nyheter”. W 1997 r. nagłośnił sprawę przymu-sowych sterylizacji, które państwo szwedzkie przeprowadziło w latach 1935–76 na tysią-cach „niepożądanych” obywateli. Skutkiem tych tekstów było wypłacenie ofiarom ponad 250 mln koron odszkodowania. Otrzymał m.in. kilkakrotnie Nagrodę Akademii Szwedz-kiej, Wielką Nagrodę Dziennikarską i Złote Pióro Klubu Publicystów. Jego książka „Dom z dwiema wieżami” dostała Nagrodę im. Ry-szarda Kapuścińskiego. Najstarszy w Szwecji Wydział Prawa Uniwersytetu w Lund przyznał mu tytuł doktora honoris causa. Jest mężem Agnety Pleijel, szwedzkiej pisarki, z którą przekładał na język szwedzki poezję Zbignie-wa Herberta

Gdzieś znikli czarni sprzedawcy

Gospodyni w Toskanii powitała mnie: Czujecie? Nie da się oddychać. Sirocco. Z Afryki. Jak wszystko, co najgorsze

Jarosław Mikołajewski

Rekordy turystyczne i rekordy migracyjne to dwie twarze letniej, wyjątkowo intensywnej w tym roku ruchliwości na obszarze Włoch.

Co do wakacji – włoscy i zagra-niczni turyści po kilku latach w koń-cu nie boją się podróżować. Nie wa-hają się wydawać pieniędzy, choć w porównaniu z zeszłym rokiem ce-ny wzrosły boleśnie. Coraz więcej barów podaje kawę już nie za jed-no euro – kwotę przez wiele lat jakby chronioną święconą kredą – lecz eu-ro dwadzieścia. Różnica jest symbo-liczna, lecz także znacząca i ostrze-gawcza: skoro w wielu miejscach wzrosła cena kawy, wzrosną też ce-ny innych usług. O blisko (według własnych obserwacji i szacunków) 20 procent wzrosły ceny hoteli i ra-chunków w restauracjach.

Gdybyśmy spojrzeli na ziemię i mo-rze z perspektywy Boga, zobaczylibyśmy dwie różne nici: złotą i szarą. Dwa wzmożone szlaki: jeden roześmiany, ludzi ładnie ubranych, w luksusowych samochodach; drugi biedny, zmęczony, konwulsyjny, wylękniony. Niby mi-gracja polityczna i ekonomiczna jest dawnym zjawiskiem, a przecież w ca-łym zeszłym roku przybyło do Włoch 34 tys. migrantów, natomiast od stycz-nia do lipca 2023 roku przybyło ich 83 400. Ponad dwa razy więcej w cią-gu sześciu miesięcy.

Razem z liczbą migrantów rośnie liczba ofiar. Jeszcze na początku ro-ku obowiązywał rekord z 3 paździer-nika 2013 – 368 martwych o milę od najpiękniejszej plaży świata – Wyspy Królików na Lampedusie. Ponad mie-siąc temu prymat objęło Morze Egejskie, obszar grecki, choć celem tych ludzi była Sycylia. I nigdy nie wiado-mo, jakie są rekordy ofiar morskich katastrof. Ilu nie zauważono. Już kil-ka lat temu ratownicy mówili o kata-strofie z 700 ciałami u wybrzeży Egip-tu, wylowionymi przez włoskich stra-żaków, żeby je pochować.

Obozy przesiedleńcze są zatłoczo-ne, co niekoniecznie pokrywa się z liczbą migrantów w miejscowościach tu-rystycznych. W tokańskiej osadzie, w której od kilkunastu lat spędzam wakacje, plaża bywała prawdziwą pro-menadą sprzedawców kolorowych sznurowadł, kurtek puchowych, afry-kańskich bębenków, ręczników, blu-zek z bawełny i indyjskiego jedwabiu. Od trzech, może pięciu lat sprzedaw-ców jest znacznie mniej. Ci, którzy po-zostali, opowiadają, że wielu nie ma koncesji, nic nowego, ale zaczęli bać się aresztowania i deportacji. Po pla-żach chodzą więc tylko ci, którzy są tu od lat i w okresach większej łaskawości władz zdolali zdobyć prawa.

W tym roku ze starych znajomych pozostał już tylko Ndiai, wzruszająco kulawy, może siedemdziesięcioletni Senegalczyk, sprzedawca zwiewnych sukienek. Raz w tygodniu, w niedzie-le, klapki i sukienki sprzedają Tune-zyjczyk i Marokańczyk, od lat usado-wieni w centrum, przy punkcie in-formacji turystycznej. Nie mieszka-ją w miejscowości turystycznej, do-jeżdżają kilkadziesiąt kilometrów po-ciągami lub busem. Zwraca uwagę, że większość z nich wynajmuje pokoje w Pontederze – mieście Jerzego Gro-towskiego. Myślę, że na tym skojarze-niu dałoby się osnuć jakiś znaczący dramat i spektakl.

Choć Włochów dręczą w tym ro-ku skrajne zjawiska atmosferycz-ne – ogniste upały na południu, grad, ulew-y i trąby powietrzne na północy („Upały jak COVID” – takim tytułem

W całym zeszłym roku przybyło do Włoch 34 tys. migrantów. Od stycznia do lipca tego roku

83 400

otwiera bez żadnej przesady jeden z lipcowych numerów „La Repubbli-ca”), rząd za najważniejsze wyzwanie uznaje migrację, czyli problem, dla rozwiązania którego Giorgia Melo-ni została wybrana na szefową rządu i z którego jest głównie rozliczana.

Na poziomie moralnym migra-cje są tutaj próbą człowieczeństwa – Włosi uczą się tego między innymi z książek Kapuścińskiego, uznawa-nego tutaj zgodnie za mistrza – lecz również treścią (czy tylko bezmyśl-ną?) obraźliwych zwrotów. Kiedy przyjeżdżam do Toskanii, łagodna, życzliwa żona właściciela kąpieliska komentuje gotowym słowem aurę pogodową i społeczną: „Czujecie?... Nie da się oddychać. Sirocco. Z Afry-ki. Jak wszystko, co najgorsze”.

Kiedy patrzę pytająco, powtarza, mając na myśli – co objawi się wielo-krotnie w późniejszych rozmowach – niechcianych przybyszów z Afry-ki. Odpowiadam, że był za komuniz-mu w polskiej telewizji pan od po-gody, niejaki Wicherek, który nara-ził się władzom komentarzem „Idzie wiatr od wschodu... Wszystko, co najgorsze, przychodzi ze wschodu”. Nie wiem, czy tak było naprawdę, ale tak mówiło mi wielu wujków w cza-sach, kiedy byłem chłopcem.

Tak czy inaczej, bez względu na to, co mówią analizy socjologiczne, najwięcej osób powtarza, że głów-nym zadaniem Meloni jest właśnie ograniczenie migracji. I dzieje się we Włoszech tak samo jak w Polsce: wielu obywateli nie przyznaje się, że głosują na Kaczyńskiego (bo uwa-żają to za obciach i kompromitację w oczach humanistycznych inteli-gentów), podobnie wielu Włochów wypiera się sympatii do pani pre-mier, lecz oddaje na nią głos, bo ma nadzieję, że ograniczy napływ cu-dzoziemców, którzy (za co nie cier-piała ich Oriana Fallaci) bez żadne-go szacunku obsikują florenckie bap-tysterium.

Ciekawym zastrzeżeniem opar-tym na doświadczeniach dnia co-dziennego i obawach o przyszłość turystyki jest tożsamość pracow-ników lokali gastronomicznych. Kiedy wchodzi się na starówkę w Ferrarze, cztery pierwsze bary prowadzone są

przez Azjatów. Według wielu ferra-ryczyków i nostalgicznych cudzo-ziemców odbiera to (słyszałem na własne uszy) włoskim barom urok, poetykę, styl. „Cudzoziemcy – głosu-je klient baru w centrum – przesta-ną przyjeżdżać, jeśli cappuccino bę-dzie przyrządzał nie neapolitańczyk, lecz Chińczyk”.

Giorgia Meloni przyjęła wyzwanie, jakie stawia migracja, opowiadając się po stronie solidarności i huma-nizmu w sporze z własną faszystow-ską przeszłością i sojusznikami w ro-dzaju Salvini’ego. Próbując być rów-nocześnie ludzka i skuteczna, prowa-dzi własną politykę migracyjną opar-tą na nienowym, lecz niezrealizowa-nym dotychczas postulacie: prowa-dzić działania w krajach pochodzenia migrantów. Szuka współpracy z kra-jami Morza Śródziemnego (najinten-sywniej z prezydentem Tunezji Ka-isem Saiedem), licząc m.in. na soli-darną walkę z przemysłnikami ludzi.

A z perspektywy organizacji mo-nitorujących stan ksenofobii: w spo-łeczeństwie włoskim wzrasta wpływ prawicy na rozwój niechęci do mi-grantów. ●

Opowiadanie na jutro

KEBAB,
PAŁA
I EUROPA
BIAŁA

Balem się wyjść z hotelu, gdy wybuchła rewolucja,
bo nie wiedziałem, na kogo będę wyglądał
i komu podpadnę

Ziemowit Szczerek

Europo, ach, Europo. A miałaś być cichym zakątkiem, cichym zaułkiem na mapie oszalałego świata, w którym siedzi się obok domu, w ogródku knajpki z zaprzyjaźnioną obsługą. Miałaś być wysprzątany, spokojnym domem pełnym bibelotów, do którego wpada blask popołudniowego słońca. Miałaś być trochę, cokolwiek by mówić, uprzywilejowana w świecie. Miałaś być ekskluzywnym miejscem w łagodnym klimacie, które żyje z procentów i – ewentualnie – z wyrafinowanego, drogiego rękodzieła.

Tak miało być, ale prawo Murphy'ego mówi, że jeśli można coś spieprzyć, to ktoś to – wcześniej czy później – spieprzy.

Zresztą, w tej wizji tacy jak ja mieli być właśnie tą obsługą kelnerską.

A dziś – oho, a dziś – oj dana dana, płoną auta w Palermo, w Paryżu, srożą się gminy w Warszawie, drga w konwulsjach cielsko czegoś, co było Rosją, i bryzga palącym kwasem, aż dymi. Warto stąd uciec, warto, tylko dokąd?

Jestem aktualnie w Palermo i żałuję, bo trudno się wydostać. Tego dnia Różgi Liktorskie, rządząca we Włoszech partia, ogłosiła program Morza Zamkniętego i kazały wojsku cofnąć kolejne łodzie migrantów do płonącej, rozgrzanej jak piec, przekraczającej temperaturę wybuchu i strzelającej w szaleństwie do samej siebie Afryki. A właściwie ten piec już wybuchł i rozrzuca ludzkie iskry.

Wywrotne migranckie łodzie się potopiły, a aktywistów z Mare Apertum wylawiających topielców aresztowano pod zarzutem „udzielania pomocy najeźdźcy”, bo tak oficjalnie nazwano migrantów. I z powodu tego topienia i nieudzielania pomocy rozpoczęły się dzisiaj zamieszki, takie na poważnie. Takie, jakich na Sycylii jeszcze nie widziano. Ciemnoskóre postacie uwiijały

się w blasku płonących samochodów i małych sklepików, też, notabene, należących do migrantów, tylko że z Rumunii i Ukrainy, a więc białych, a więc dla tych czarnoskórych ledwie odróżnialnych od Włochów. Bo na Sycylię, co ciekawe, to nie ludzie z Maghrebu głównie przyjeżdżają, tylko czarnoskórzy właśnie. Najbardziej na tych protestach ponoć (tak donosiła włoska propagandowa telewizja państwowa) szaleli ci z nigeryjskiej mafii, Czarnych Toporów. Tu nie było przebaczyć i krew się lała. Siedziałem w pokoju swojego Bed and Breakfast, patrzyłem w telewizor i za okno, próbowałem się upić ze strachu miniaturkami butelek wódki i whisky z minibaru i modliłem się, żeby nikt nie wpadł na to, by urządzać rewolucję w mojej kamienicy.

Za nimi wszystkimi uwiijała się włoska policja w operetkowych oficerkach i mundurach jak z fetyszystycznych filmów o gejach-nazistach, palując i strzelając z gumowej (albo i z ostrej) ile wlezie. I tak to szło. Ja sam – cóż. Balem się wyjść z hotelu. Nie bardzo wiedziałem, na kogo będę wyglądał i komu podpadnę. Nie jestem bowiem ani do końca biały, ani do końca kolorowy. Ani w tę, ani w tę. I w zasadzie mogłem podpaść wszystkim.

Na imię rodzice dali mi Ahmed, na nazwisko mam Popieluski. Jestem Polakiem. Wielu mówi, że zdradziłem polskość, no ale żeby zdradzać, to jednak najpierw trzeba być Polakiem. W Polsce się urodziłem, ojciec – Polak, matka – Syryjka, choć w Polsce wychowana. Ahmed to po dziadku. Jej, znaczy, ojcu. Matka się uparła, a ojciec, młody wówczas lewicowiec, nie widział przeszkód.

Dziadek Ahmed w Syrii był inżynierem. W Polsce jak mówił, że jest inżynierem, to się wszyscy śmiali i mówili, że takie inżynierki to baby w Europie gwałcą. No więc w Polsce dziadek nie był inżynierem, tylko prowadził kebab w Palicy na rynku. Wychowałem się w tej kebabowej budzie, wśród wielkich plastikowych butli sosów ostrego, łagodnego i średniego, prażyłem

się przy rożnach, pomagałem kroić pomidory i kapustę pekińską. Stary Ahmed, mój dziadek, i ja: mały Ahmed. Czasem lubię to imię, a czasem mnie drażni, bo to przez nie, w połączeniu z moją śniadawą karnacją, mówili na mnie w szkole „brudas”. A dziadek Ahmed bardzo chciał zostać Polakiem, że to jego obowiązek. Znam te ich, matki i dziadka, opowieści do znudzenia: z Syrii uciekli przed fanatykami, którzy palili ludzi żywcem i nożami obcinali im głowy, do obozu w Turcji. Potem zapłacili mafii, która przewiozła ich łódkami do Grecji, na Lesbos. Stamtąd do Macedonii, potem ich wozili autobusami od granicy do granicy, żeby dostali się do Niemiec: przez Macedonię, Serbię, Węgry albo Chorwację – i dalej, na Austrię i Niemcy. Mój dziadek, przez jakiś dziwny splot przypadków, zawędrował nie do Niemiec – ale do Polski. Mieszkam w Polsce, mówił potem, chcę być Polakiem. Gdybym mieszkał w Syrii i przyjechałby tam żyć Polak, mówił, tobym od niego oczekiwał, że będzie dobrym Syryjczykiem. Pod koniec życia mówił już całkiem dobrze po polsku – z uśmiechem i pogodną cierpliwością zmywał napisy typu „Idź na pustynię jebać wielbłądy”. Sąsiedzi mó-

wili „ten ciapak” albo „tak zwany inżynier od kebaba”, choć go lubili, ale gdy umarł, to ksiądz nie chciał go pochować na palickim cmentarzu. „Już lepiej, żeby był islamistą, a on był ateistą, zwykłym bezbożnikiem – mówił ksiądz. – Jak tak się zastanowić, to przehandlował swoją wiarę jak jakiś komunista”.

– A gdyby się nawrócił? – zapytałem wtedy tego księdza. Popatrzył na mnie oczyma bładymi jak u wędzonej sielawy.

– A to co innego – odpowiedział. – Poznanie prawdziwej wiary to nie handel.

Wyszedłem, zostawiłem go z moim ojcem, Polakiem z krwi, kości i braku innego wyjścia, i matką, Polką po prostu z braku innego wyjścia, której wielu znanych jej Polaków, zresztą, za Polkę nie miało skłonności uważać. Bo co to za Polka, co się urodziła w Syrii i ma na imię Salima. I rozmyślałem, że może i rację mieli ci arabscy koledzy dziadka, bo on tu z syryjską diasporą w Polsce utrzymywał kontakt, taką tajną siatkę powiązań arabskich kebabiarzy mieli, którzy mówili, że gównie to całe uczenie się polskiego da i że gównie da to podlizywanie się Polakom. I wtedy, kiedy wyszedłem od księdza, myślałem, że może mie-

Migrantów nie oszukali
tylko prawicowcy
– od początku mówili,
że mają dla nich pałę,
obóz i deportację





FOT. AP/CHRISTOPHE ENA

li rację. Potem znów próbowałem tak nie myśleć, potem znów tak myślałem, potem znów myślałem odwrotnie, aż w końcu zrozumiałem, że nikt tu, kurwa, nie ma ani nie może mieć racji.

No więc uciec, tylko dokąd?

W Niemczech – sroży się rządząca AfD i kanclerz Braunschweiger ze swoimi Przy-musowymi Obozami Integracyjnymi dla Imigrantów i Ich Potomków, z których to obozów pensjonariusze wychodzą (o ile wychodzą, bo w tych obozach, mówią, nowa mutacja koronawirusa się bardzo szerzy) jeszcze mniej zintegrowani niż dotychczas, bardzo nienawidzący za to państwa, które ich do nich wtrąciło.

W Skandynawii, pod władzą Szwedzkich Narodowych Demokratów, Legionu Norweskiego i Duńskiego Frontu Ludowego – to samo. Imigranci wychodzą z Przy-musowych Obozów Integracyjnych i zaraz do nich wracają, bo nie zdają cyklicznych Obowiązkowych Egzaminów Integracyjnych.

A dodatkowo kanclerz Niemiec rozwinął niemiecki program zbrojeniowy i teraz coś bąka jeszcze do Polski o zwrot „Ostgebiete”, niemieckich ziem wschodnich, bo „tego chce niemiecki wyborca”. W Polsce, co prawda, rządzi pokrewna ideologicznie AfD Konfederacja Sprawiedliwych, ale AfD im też nie odpuszcza. W sprawie „ostgebi-tów” Konfederacja pyta więc niemieckich pobratymców ideologicznych: „Chcecie nasze Ziemie Odzyskane? No a co zrobicie z Polakami tam mieszkającymi? To samo co w czasie II wojny? Mało macie własnych problemów z mniejszościami? Z Turkami? Z Arabami?”.

We Francji Partia Islamsko-Demokratyczna jawi się już jako centrowa, bo idą ekstrema: islamskie, chrześcijańskie i komunistyczne. Świeccy republikanie, uważani za dziaderski przeżytek, ledwo zipią.

W Polsce... a, szkoda gadać. No, nie ma dokąd uciekać.

Pilem i modliłem się, żeby nikt nie urządził rewolucji akurat w mojej kamienicy

Chociaż... Patrzę na mapę. Ten popękany południowo-zachodni koniec Finlandii? Te dzikie wyspy na Bałtyku, jakby się tam ląd kruszył... To koniec świata. Tak, może tam ucieknę. Do Finlandii. Na wyspy. Na koniec Europy. Zwrócony ku jej środkowi. Jednak i na wszelki wypadek zwrócony. Jest ich, tych wysp, tysiące, umlaudy w nazwach, takie same, płaskie i zielone latem, ciemne i zaśnieżone zimą, czasami bezładne. Można kupić kontener mieszkalny, wykopać latrynę, uprawiać ogródek, łowić ryby i dożyć świętego spokoju. Nawet leśniczy cię tam nie znajdzie. Nawet rządzący Finlandią Najprawdziwsi Finowie.

Tylko że aktualnie jestem daleko od Finlandii, w płonącym Palermo.

Europa Odnowiona walczy z „nowymi Europejczykami”, gdy do władzy doszli wszędzie parafaszyści i zamienili swoje kraje w paramilitarne obozy. I ogłosili w miejsce bezwładnej Unii Europejskiej konfederację Odrodzonej Chrześcijańskiej Fortecy Europa. No i teraz „nowi Europejczycy” walczą z Europą Odrodzoną.

Co gorsza, widzę – przynajmniej tyle wynika z propagandy rządowej włoskiej telewizji – że po Sycylii ruszyły się całe Włochy, ruszyło wielkie powstanie wyklęte-

go ludu ziemi: migrantów i ich potomków. Oszukiwani przez wszystkich, łącznie z samymi sobą. Przez lewicę, która mówiła: „Wszyscy są miłe widziani, żaden człowiek nie jest nielegalny”, a nie pomysłu, jak sprawić, by aspiracje mojego dziadka nie smażyły się w budce z kebabami. Przez liberałów, którzy obiecywali tolerancję, ale gdy islamisci zaczęli zakładać swoje partie we Francji, Holandii, Belgii, Niemczech i Skandynawii, to posrali się w spodnie.

Nie oszukiwali ich tylko prawicowcy: od początku mówili, że mają dla nich pałę, obóz albo deportację.

I świeccy republikanie oraz socjaldemokraci, którzy chcieli tworzyć integracyjną, wspólną, świecką platformę dla „starych” i „nowych Europejczyków”, bazującą nie na religii, ale na humanistycznej spuściźnie i prawach człowieka. Ale nikt ich nie słuchał. I teraz płoną Palermo, Messyna, Neapol, Reggio, Bari, Rzym, Mediolan.

A widzę, że i Francja. Bo internet, społecznościówki, place gier wirtualnych. Że Marsylia. Że w Monako bogaci Europejczycy i Rosjanie, którzy uciekli przed Szarą Smutą, trzęsą się ze strachu, że pójdą na nich kohorty rozczerowanych „nowych Europejczyków”, nowego Wyklętego Ludu Ziemi, i rozniosą ich bogactwa w puch. Jak bolszewicy pałace arystokratów.

Muszę wyjść, muszę, na stację, pociągiem do Messyny, potem mostem nad Scyllą i Charybdą, w górę, do Neapolu, może jakoś się uda. Przez Austrię, tylko że tam Partia Normalności – to samo co w Niemczech, a mój polski paszport będzie w nich budził wstręt jak arabskie imię. I kto wie, czy mnie puszczą przez swoje na nowo postawione i odmalowane granice. Tym bardziej że przełączyłem na amerykańskie wiadomości i tam mówią, że i w Austrii ruszyło: w Grazu i Wiedniu migranci wyszli na ulicę, a policja zaczęła wielką akcję prewencyjną, szukając nielegalnych imigrantów i terrorystów. I zamknęła kraj. Żeby było ciekawiej, znaleźli się niezbyt chcieli pomagierzy: w oddolnej akcji tłuczenia śniadoskórych muzułmanów na ulicach pomagali serbscy i chorwaccy migranci, którzy weszli w chwilowy, taktyczny sojusz z austriackimi skinheadami. Chwilowy, bo przecież na co dzień to jedni i drudzy biorą się za mordy aż miło. No więc Austria – średnio.

To może przez Słowenię, ale i tam serbscy, chorwaccy i bośniaccy migranci, mieszkający na co dzień na blokowisku pod stolicą, powstali sami i zaczęli palić samochody Słoweńców, którzy nimi, cóż, nieco zazwyczaj pogardzali. I czy mnie wpuszczą? Moje imię budzi w Słowenii niechęć Słoweńców i Serbów. No, może muzułmańscy Boszniacy by nic do mnie nie mieli, ale nie lubią za bardzo Polaków, z zazdrości, że rozwijali się szybciej niż pojugosłowiańskie państwa, a przecież ich dziadkowie opowiadali, że w takiej Jugosławii to Polak był niczym, jak Rumun w Polsce albo Cygan w Rumunii.

Ach, gdyby nie to, że w Palermo zamknęli lotnisko, bo wdarli się tam protestujący i spalili wieżę kontroli lotów...

Do Szwajcarii? Od dawna zamknięta. Rządzą tam Narodowo Zorientowani Ludowcy, którzy mają w logo słoneczko, a pod nim białą owcę wykopującą czarną owcę z pastwiska. Tam mogą tylko ci, co pokażą na granicy Nielimitowaną kartę kredytową.

Francja? W drugą stronę. Zresztą pchać się teraz na Marsylię czy na Lyon – bezna-
dziejna sprawa.

Pozostaje Bari. I prom do Albanii. Al-
bania – parias Europy, ta mnie przy-
mie z otwartymi ramionami. Jako Ahme-
da, jako Polaka. Być może, bo w sumie to
nie bardzo wiem, co się u nich dzieje. Nikt
o nich nie pisze, sami o sobie piszą po al-
bańsku. Mogę użyć translatora i używam
– ale cóż: piszą o tym, co na świecie, znaczy
– w Europie. Z satysfakcją.

No ale dobrze. Albania to jakaś opcja,
oczywiście, jeśli uda mi się dostać na prom.
Tam pewnie mnie wpuszczą. Tylko co da-
lej? W Czarnogórze wojna domowa od lat
pomiędzy Serbami a Czarnogórcami, a im
bardziej niejasne kategorie, które ich dzie-
lą, tym bardziej wojna się rozgrzewa i te
kategorie wyostrza. Zresztą to samo się
działo w Ukrainie podczas wojny z Ro-
sją. Która to wojna, notabene, doprowadzi-
ła właśnie do Szarej Smuty, zapoczątko-
wanej puczem Diumina wspartego przez
część armii, zajęcia przez niego Moskwy
i zmuszenia ówczesnego prezydenta Puti-
na do ucieczki do Petersburga, gdzie wy-
tworzył się alternatywny ośrodek władzy.
Gdyby Putin uciekł na wschód, powiedz-
my: do Jekaterynburga albo Nowosybirsk,
to być może Syberia i Daleki Wschód by się
od Rosji nie oderwały i nie byłoby ani trze-
ciego, ani – gdy i wschód zaczął się dzie-
lić – czwartego, piątego i szóstego ośrod-
ka władzy. I niepodległych Tatarstanu, Cze-
czenii, i całej tej gmatwaniny na Kauka-
zie Północnym. I tej wojny, która trwa tam
od trzech dekad, tli się, raz bucha, raz ga-
śnie jak dopalające się pola naftowe. No ale
uciekl do Petersburga – i są.

Alę przez Rosję podróżował nie będę.
No więc z Albanii niby można już sa-
molotem, ale stamtąd przecież drogie bile-
ty, bo poza sezonem. Nie bardzo mnie stać.
A przecież potrzebuję kasy na kontener
mieszkalny w Finlandii.

No to można do Kosowa, ale wtedy mnie
do Serbii nie wpuszczą. Tam też Ahmedów
nie lubią, ale mniejszości nie ma, a młody
Vucić rządzi twardą, kleptomańską, by nie
rzec: neofeudalną, ręką już którąś dekadę,
więc jest jako taka stabilizacja. Nieliczne
mniejszości od dawna wzięte za pysk. Jak
i reszta narodu. Pewnie więc ponabijają się
ze mnie na granicy, ale jakoś przejadę.

No więc nie przez Kosowo z Albanii.
Przez Czarnogórę też nie, no to pewnie le-
piej przez góry: do Pogradeca, a potem
przez Macedonię. Stop. W Macedonii wal-
ki przecież. Z Albańczykami we wschod-
niej części kraju. No to przez Grecję: ale
i tam protesty. Jasna cholera. Granice za-
mknięte.

No to zaraz... promy. Promy do Chor-
wacji. Z Włoch do Chorwacji będę musiał
przepłynąć, sprawdzę z Bari, o, coś pływa,
alleluja, alhamdulillah, potem Węgry, tam
w zasadzie tak samo jak w Serbii. István Ti-
borcz rządzi już piątą kadencję, jest ponu-
ro, feudalnie, za mordę, śmiertelnie spo-
kojnie, ogrodzone dookoła wysokim pło-
tem, ale może jakoś przepuszczą przez ten
Mordor. Potem już z górki: faszystowska
Słowacja rządzona przez neotisowców mo-
że mnie nie lubić jako Ahmeda, ale raczej
przepuści jako Polaka. A jak nie, to przeja-
dę przez Ukrainę. Tam, co prawda, też na-
cjonałści, ale jacyś bardziej weseli, zresztą
boją się Ameryki, swojego najważniejsze-
go sojusznika, więc nie przesadzają z wy-
skokami. Zajęci są od trzydziestu lat bezu-
stannym reformowaniem się, z mniejszym
lub większym skutkiem, bardziej niż rasi-
stowskimi histeriami. No a potem już Pol-
ska.

Ojczyzna moja. ●

Ech.
No cóż: w Polsce również nie mam
ochoty zostawać.

Bo z tą Polską to zawsze miałem kłopot.
Nie pamiętam, by to normalny był kraj,
choć dziadek Ahmed i dziadek Maciej, tak
samo jak moi starzy, opowiadali, że jakoś

tak pomiędzy komunizmem a pierwszą de-
kadą XXI wieku było w miarę normalnie.
Biednie i bandycko, ale przynajmniej czło-
wiek mógł mieć nadzieję, że to wszystko
idzie w jakimś kierunku. „Do Europy” – się
mówiło.

Mnie się, jak byłem mały, Europa podo-
bała. Teraz też mi się jakoś podoba, z wy-
jątkiem tego, kto w niej rządzi, ale wtedy
wszystko nie padło jeszcze na zbity pysk
i nie zrobiło się Odrodzone, Chrześcijań-
skie i Białe. Ba, uważałem – i nadal uwa-
żam – Europę za najlepsze miejsce do ży-
cia.

No bo gdzie żyć: na Południu, gdzie go-
rąco jak na patelni, gdzie fizycznie nie
można przeżyć? Gdzie naukowcy zaczyna-
ją projektować ubrania dbające o wilgoć,
jak w „Diunie”, by przeżyć na chodniku?

Na Syberii, którą Chińczycy do spółki
z Amerykanami odkupili od nie do końca
określonych rządów w Irkucku i Władywo-
stoku i na której próbują osiedlać setki mi-
lionów uchodźców klimatycznych z Azji
Południowej i Afryki? Tam dopiero jest pie-
kło. No i komary tną jak cholera.

W Australii? Nowej Zelandii? W USA?
A wpuści cię tam ktoś? Podobnie jak do
Argentyny czy Chile? Zresztą – ja nie chcę
do Australii ani do Argentyny. Ja się czuję
dziedzicem i spadkobiercą cywilizacji Eu-
ropy. A może i Bliskiego Wschodu, a co. Le-
want, z którego pochodzi mój dziadek, Eu-
ropa – przecież to jedno i to samo. Tylko

■
*Europa podlega
prawom Murphy'ego
– jeśli można coś sieprzyć,
to ktoś to sieprzeży*

religia inna, choć też z tego samego rdze-
nia. Dajcie spokój. Chrześcijaństwo, kurwa,
jest z Lewantu. Z Lewantem stara Europa
miała kontakty, zanim w ogóle ktokolwiek
wpadł na to, żeby wybierać się na te zaro-
śnięte bagnista puszcza, rozbrocone albo
zaśnieżone bezdroża nad Wisłą, nad który-
mi tysiąc lat laskawie po Chrystusie dopie-
ro zaczęła się tworzyć jakaś Polska.

No ale nic. Im większym peryferium
Polska na własne życzenie się stawiała,
tym bardziej się puszyła i nazywała pep-
kiem świata, który, być może, nie jest ra-
jem, jakim chciałby być, ale dlatego, że za-
zdroszczą jej tradycji i duchowości zli są-
siedzi: Zachód, Wschód, Południe i Północ.
I jej złośliwie szkodzą, i rozwijać się nie da-
ją. Tak. Wrogami dla partyjnej propagan-
dy Konfederacji Sprawiedliwości stali się
nawet jedyni jeszcze sojusznicy, jacy pozo-
stali – Amerykanie, ale zaczęli sobie zda-
wać sprawę, że jeśli chodzi o polski rząd, to
sprawę mają z wariatami.

Bo cóż, na ostro zaczęło się od tego,
że populistyczny, proureligijny polski rząd
na początku lat dwudziestych XXI wie-
ku upartyjnił całe państwo i postawił na
czele Ministerstwa Edukacji fanatyka re-
ligijnego, który z polskiej nauki zrobił po-
śmiewisko, czyniąc Polskę potęgą świato-
wą w teologii katolickiej, a poza tym w ni-
czym już innym. A później ten katolicki fa-
natyzm, nowa kontrreformacja zaczęły się
tylko wzmacniać: prawo kanoniczne usta-
nowiono w Polsce prawem posiłkowym,
uchwalono nową konstytucję, w którą wpi-
sano rzymski katolicyzm jako wiarę pań-
stwową i w której zlikwidowano już całko-
wicie podział władz na ustawodawczą, wy-
konawczą i sądowniczą jako obmierzły re-
likt rewolucji francuskiej. Żeby było cie-
kawiej – w ogóle wbrew jakiegokolwiek lo-
gice, ale o logikę już nikt nie pytał – nadal
obchodzono, z rozpędu i przyzwyczaję-
nia, święto Konstytucji 3 maja. Zachowano
elekcję, zarówno Naczelnika Państwa (któ-
ry powoływał sobie wedle upodobania Ra-

dę Ministrów), jak i do Sejmu, ale te elek-
cje były czysto teoretyczne, bowiem – po-
dobnie jak na Węgrzech czy w Serbii – ża-
dnej innej poza Konfederacją Sprawiedli-
wości siły politycznej w Polsce nie było, a jeśli
cokolwiek oddolnego zaczynało kielkować,
to propagandowe media od razu to coś za-
szczuwały, wywlekając wszystkie – praw-
dziwie lub wymyślone – brudy i kierując
nienawiść tłumom na to oddolnie kielkujące.
I tłum pomagał władzy zadeptywać. A po-
licja, wyjątkowo lojalna wobec władzy, ta
bowiem tolerowała wszelkie policyjne fa-
naberie, a nadużywanie władzy „w szla-
chetnym celu” i „na rzecz zachowania mo-
ralności” i „w interesie Rzeczypospolitej”
nawet premiowała – to zadeptywanie za-
bezpieczała, żeby odbywało się w majesta-
cie prawa.

Wychowywałem się w tej Polsce, oddy-
chałem przez dziury w systemie, jakoś mi
się udało prześlizgnąć przez system eduka-
cji, ba, nawet wślizgnąć na studia bez świa-
dectwa chrztu (choć nie było to proste),
i czułem się Polakiem. Kochałem uczyć
się historii i czułem, że polska historia jest
moją historią, że ja, szczerze mówiąc, ja-
ko z matki Lewantyńczyk, jestem jej łącz-
nikiem raczej z europejską starożytnością
niż skazą na jej jednorodnym, katolicko-
różowoskórym, słowiańsko-lacińskim ob-
razie. Ale mieszkalem na ziemiach ponie-
mieckich, w Palicy, dawnym Palitz, i wi-
działem, czym różni się dawna niemiecka
cywilizacja od tej źródłowopolskiej, i choć
nie miałem z tym problemu, to coraz czę-
ściej wydawało mi się, że ta różnica po-
wstała nie tylko z powodów historycznych
od nikogo niezależnych, ale również z uwa-
gi na bezsensowny polski upór i idiotycz-
ne wybory. Żeby się różnić. Żeby się nie in-
tegrować. To bardzo. To znaczy – ja się mu-
siałem z Polską integrować, bo tego Pol-
ska ode mnie oczekiwała, i mimo że ja sam
czułem się Polakiem w moim mniemaniu
bardziej swojej polskości świadomym niż
większość moich podwórkowych polskich
rówieśników, to z racji mojego imienia, po-
chodzenia i koloru skóry musiałem co rusz
to swoje zintegrowanie z polskością udo-
wadniać. Najpierw na podwórzu, przed
rzeczonymi rówieśnikami, od których i tak
o Polsce i polskości wiedziałem więcej, niż
im się kiedykolwiek śniło, to później, gdy
wprowadzono Prawo o Prawdziwych Pol-
akach, również urzędowo. I nie zawsze mi
się to podobało. I cóż, kusily mnie też inne
rozwiązania. Tak samo jak kolonizowane
przez Rzymian ludy rezygnowały ze swo-
jej tożsamości i przyjmowały rzymską, tak
samo Polacy spodziewali się, że nie tylko
migranci, ale i rdzenne na terenach Polski
mniejszości – jak Ukraińcy na przykład czy
Niemcy na Opolszczyźnie – też zrezygnują
ze swojej tożsamości i staną się Polakami.
Ale sama Polska nie robiła nic, żeby choć
trochę wkomponować się w tożsamość eu-
ropejską. Nic. I pogrążała się w kolejnej
w swojej historii dyktaturze ciemniaków.

Uciec. Uciec od tego zwariowanego, co-
raz bardziej nieprzyjemnego świata. Uciec
jak najdalej. Przez kraje bałtyckie, też po-
padające w paranoję i odrętwienie, bronio-
ne, obsadzone i pilnowane przez USA, zde-
cydowane nie pozwolić odrodzić się rosyj-
skiej agresywności, a więc w miarę cywil-
izowane systemowo (Polska też była czę-
ścią tego systemu, ale Amerykanie mach-
nęli już ręką na odklejone polskie władze,
dbając tylko o to, by polskie siły zbrojne
były jako tako sprawne w razie odnowie-
nia się zagrożenia ze strony Rosji), prze-
prawić się przez Zatokę Fińską – do Fin-
landii. Ale tylko po to, żeby przez nią prze-
jechać. Żeby wydać wszystkie oszczęd-
ności na kontener mieszkalny, na sprzęt
wędkarski, na jakiś topór i ciepły śpiwór
– i osiąść na którejś z najbardziej odlud-
nych wysp na Bałtyku. Tam, gdzie nikt
mnie nigdy nie znajdzie. Lepiej by było, co
prawda, na jakąś wyspę chorwacką: wia-
domo, cieplej. Ale tam się ukryć nie da.
Nowe Niezależne Państwo Chorwackie też
nie przepada za mniejszościami. A poza
tym wiadomo: turyści...

● ● ●
Za oknem tymczasem zapadła noc i zrobi-
ło się jakby spokojniej. Syreny alarmowe
przycichły, samochody się dopalały. Wy-
dawało się, że moja ulica jest spokojna. Za-
brałem więc plecak, zasnurowałem buty,
naciągnąłem kaptur na głowę, żeby jak naj-
mniej była widoczna moja śniada karnacja
– i wyszedłem z pokoju. Obok wyjścia sta-
ła hulajnoga, jakimś cudem niezniszczona
przez tłum protestujących. Wskoczyłem
i na dworzec autobusowy, na pociągi nie li-
czyłem. Spodziewałem się, że o ile jeżdży-
ły – musiały być pełne uciekinierów z mia-
sta. Turystów, a może i zwykłych obywateli
bojących się o jutro. Byłe do Messyny – my-
ślałem. Jakoś się tam dostanę. Choćbym
miał auto ukraść, skuter, nie wiem. Wszyst-
ko jedno. Byłem zdesperowany. Ładowa-
ła się we mnie adrenalina. Do momentu,
gdy wjechałem za róg i zobaczyłem trzech
wielkich czarnych koleśi siedzących na
krawężniku w świetle latarni przy spalo-
nym samochodzie i podających sobie z rę-
ki do ręki dżointa. Nie widzieli mnie. Scho-
wałem się za przewróconym śmietnikiem.
Położyłem hulajnogę na ziemi i wyłączy-
łem ją aplikacją. Zapikała. Przekląłem się
w myślach. Tamtych trzech podniosło gło-
wy i się rozejrzało. Nie dostrzegli mnie. Ale
wstali i zaczęli iść w moim kierunku. Mia-
łem uciekać, ale leżałem pod drzewczkami
prowadzącymi do budki z kebabem. Ma-
łej budki z kebabem. Dokładnie takiej, jaką
miał mój dziadek. Spróbowałem je, leżąc,
uchylić. Były otwarte. Widocznie kebabiarz
uciekl stąd przed wściekłym tłumem. Al-
bo przed policją. Diabli wiedzą. Wpелzłem
do środka i przykucnąłem za ladą. Ode-
tchnąłem, odchylając głowę w tył. I aż pod-
skoczyłem, bo uderzyłem głową we włącz-
nik światła, a budka z kebabem rozjarzy-
ła się jasno.

Usłyszałem śmiech tych trzech. Wie-
działem, byłem pewien, a mój strach jesz-
cze bardziej tę pewność podsycił, że to nie
byli zwykli koleśie z Palermo, czarnoskó-
rzy czy nieczarnoskórzy. Byłem pewien, że
to Czarne Topory. Że to ci z okrutnej, naj-
okrutniejszej nigeryjskiej mafii. Ci, którzy
rąbią kończyny i tną ciało nożami.

– Hey, ragazzo – powiedział wesoło je-
den z nich, zaglądając za ladę, gdzie sie-
działem nadal w kucki, przykrywając gło-
wę dłońmi. – Non aver paura. Il tuo doner
kebab aperto?

– S... si – zająknąłem, wstając. – Aperto.
– Tre kebab per favore – facet uśmiech-
nął się szeroko, a twarz miał nawet sym-
patyczną. Nie miałem pojęcia, jak jest po
włosku „na grubym czy na cienkim” i czy
w ogóle stosuje się tu to rozróżnienie, więc
po prostu odwróciłem się w stronę różnów
i jak automat zacząłem wykonywać czyn-
ności, których nauczyłem się w kebabie
u dziadka. To była sprawa uniwersalna. Jak
McDonaldy. Albo Irish Puby. Włączyłem
opiekacz. Wyciągnąłem cienkie ciasto i za-
cząłem łądować do niego łopatką sałatkę.
Odwróciłem się w ich stronę.

– Salsa piccante o delicata? – zapytałem
cienkim głosem.

– Medio – odpowiedzieli wszyscy trzech
chórem. Poczekali, aż przyrządzą im keba-
by, zapłacili mi euroowymi monetami i po-
szli.

Znów usiadłem, spocony, na ziemi. Sie-
działem tak, zdrętwiały, nie wiem, jak dłu-
go. Aż usłyszałem nowy głos. Basowy i wą-
saty.

– Hey, ragazzo! – zahuczał. – Aperto?
Wstałem. Przede mną stali włoscy gli-
niarze. W rynsztunku tych od prewencji.
Też trzej.

– Come ti chiami, Ahmed? – zapytał ten
wąsaty, w środku stojący.
– Ahmed – odpowiedziałem.
– Lo sapevo! – roześmiał się. – Tre kebab
per favore, Ahmed. ●

Co mnie urzekło

JEDI NAPRAWDĘ ISTNIELI

Smagana sztormem pionowa skała pośrodku niczego? Znakomicie, przeprowadzamy się tam!

Przemysław Urbańczyk

Na końcu siódmej („Przebudzenie mocy”, 2015) i na początku ósmej („Ostatni Jedi”, 2017) części „Gwiezdných wojen” odnajdujemy podstarzałego Luke’a Skywalker’a na jakiejś niemal pionowo wystającej z morza wyspie. Ostatni rycerz Jedi mieszka tam samotnie na skalnej platformie zabudowanej dziwnymi kopulastymi konstrukcjami z łupanego kamienia.

Wielbicieli tej kosmicznej sagi nic nie zdziwi, bo znają niepoahamowaną wyobraźnię scenografów, którzy są przecież w stanie wyczarować dowolny krajobraz, aby ułokować w nim kolejną scenę kosmicznego starcia dobra ze złem. Uważny obserwator zauważy jednak, że od czasu do czasu akcję umieszczali w prawdziwej, choć czasem trochę podrasowanej scenerii. Widać mają spory budżet na wyszukiwanie i sprawdzanie scenograficznego potencjału różnych miejsc, które poświadczają niepoahamowaną wyobraźnię naszych przodków.

Tak było i tym razem. Kosmiczną samotnię Luke’a sfilmowano na jak najbardziej prawdziwej wyspce Skellig Michael, wystającej z Atlantyku ponad 11 kilometrów od południowo-zachodniego krańca Irlandii. Nie nadaje się ona do dłuższego zamieszkania, ale (a może raczej – dlatego) już półtora tysiąca lat temu przyciągnęła uwagę wczesnochrześcijańskich mnichów, którzy poszukiwali miejsc gwarantujących radykalne odosobnienie od doczesnych problemów ludzi żyjących codzienną walką o przetrwanie i spokojną, albo w ogóle jakąś, przyszłość dzieci.

Eremitów interesował tylko jak najbliższy kontakt z Bogiem, realizowany w modlitewnym skupieniu, którego nie zakłócałyby przyziemne problemy reszty śmiertelników. Odosobniona w wodach morskich, bezludna skała doskonale nadawała się na siedzibę zdeterminowanych pustelników. Według legendy ściągnął ich tam już w VI wieku św. Fionan, który urzeczony krajobrazem skrajnie niesprzyjającym zamieszkaniu, założył tam klasztor.

Całą infrastrukturę, która tak zafrapowała scenografów „Gwiezdných wojen”, mnisi musieli sobie zbudować od zera z jedyne go dostępnego budulca, to jest dobrze się łupiących piaskowców i mułowców. Wszystkie ściany wzniesli w technice „suchego muru”, czyli bez użycia jakiegokolwiek lepiszcza, i zadaszyli je bez użycia drewna budowlanego, co stanowi duże wyzwanie konstruktorskie. Okrągłe budynki przykryto tzw. fałszywymi kopułami, które buduje się przez stopniowe zmniejszanie średnicy kolejnych warstw płaskich kamieni. To konstrukcja samonośna, która nie wymaga podparcia. W siedmiu takich kamiennych ulach znajdowały się cele pustelników.

Na modlitewne skupienie mnisi gromadzili się w dwóch prostokąt-



• Wyspa Skellig, Irlandia
FOT. ARMIN BINZ/SHUTTERSTOCK

nych oratoriach, które też zadaszono konstrukcją samonośną, ale uzyskaną przez stopniowe zbliżanie do siebie pasów kamieni wspartych na przeciwnieległych ścianach. Najbardziej znanym przykładem takiej architektury jest zbudowane w tym samym czasie Oratorium Gallarusa, które warto odwiedzić w niedalekim An Daingean w hrabstwie Kerry. Takie zwieńczanie budynków kamiennych nie jest wynalazkiem średniowiecznym, to prądawna myśl konstrukcyjna stosowana kilka tysięcy lat temu już w neolicie, czyli młodszej epoce kamienia.

W XI wieku na Skellig Michael wzniesiono jeszcze – dzisiaj już zrujnowany – kościółek pod wezwaniem św. Michała, w którym odprawiano liturgię mszy świętej. Nie bez powodu wybrano właśnie tego patrona, bo archanioł Michał zarówno w judaizmie, chrześcijaństwie, jak i w islamie dowodzi walką z siłami zła, ikonograficznie symbolizowanymi przez węża. Miał więc pomagać mnichom w odpieraniu diabelskich podszeptów.

Nietrudno sobie wyobrazić, na jakie pokusy Szatan mógł wystawiać kilkunastu mieszkańców tego wygwizdowa, gdzie było zawsze zimno i wietrznie, za pożywienie służyły złowione w oceanie ryby, schwytywane na wyspie ptaki i podebrane im jaja oraz trochę warzyw i zbóż uprawianych na powierzchni zaledwie 1,2 hektara. Jedy-nym źródłem wody pitnej była deszczówka gromadzona w wykutych w skale zbiornikach. Żeby tam wytrzymać, potrzebna była skrajna determinacja, podtrzymywana wiarą w osiągnięcie zbawienia przez umartwianie. Tych, którzy dobiegli kresu życia na tym skalnym odludziu, współbracia grzebali na maleńkim cmentarzyku, na którym do dzisiaj stoją bezimienne krzyże wykute z lokalnego kamienia.

W 1998 roku wyspę wpisano na listę światowego dziedzictwa UNESCO, co zwiększyło zainteresowanie turystów. Aby zabezpieczyć unikatowy klasztor, dostęp na wyspę jest ściśle reglamentowany. Dzienną liczbę zwiedzających ograniczono do 180 osób przywożonych małymi stateczkami z pobliskiego Portmagee, jeżeli akurat pogoda pozwala zacumować w skalnej przystani, skąd ponad sześćset skalnych stopni prowadzi na Przełęcz Chrystusa i dalej na położony 180 metrów nad poziomem morza klasztor.

Nawet te kilka godzin, które można spędzić na Skellig Michael, wystarcza, aby zmierzyć się z myślą, czy chcielibyśmy spędzić tam resztę życia – może nie samotnie, jak Luke Skywalker, ale w towarzystwie dwunastu niezbyt rozmownych współbraci skupionych na pielęgnowaniu swojej wiary. ●

Przemysław Urbańczyk

• związany z UKSW i PAN, jeden z najbardziej znanych polskich mediewistów, autor wielu książek, m.in. „Rok 1000. Milenijna podróż transkontynentalna”, „Zanim Polska została Polską”, „Mieszko Pierwszy Tajemniczy”, „Co się stało w 966 roku?”, „Bolesław Chrobry – lew ryczący” i najnowszej „Trudna historia zwłok” oraz kilkuset artykułów

Wino w krainie chmielu

Trunkiem, który króluje na polskich stołach, nadal jest piwo. Coraz częściej jednak miejsce kufli zajmują kieliszki do wina. Na Lubelszczyźnie, nazywanej polską Bawarią, gdzie znajduje się 80 proc. upraw polskiego chmielu, obok chmielników wyrastają winnice. Region ten jako pierwszy w Polsce sporządził swoją Kartę Winiarską i podejmuje próby utworzenia apelacji.

Wawrzyniec Świąciecki

Winiarstwo w Polsce rozwija się w imponującym tempie. W ciągu 10 lat liczba winnic zwiększyła się dziesięciokrotnie. Jeszcze w sezonie winiarskim 2012/13 zarejestrowanych było 35 wytwórców wina. Obecnie jest ich 481 – jak wynika z danych Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa. Czy to oznacza, że za kolejne dziesięć lat Polska stanie się drugą Francją lub Włochami?

– Francją oczywiście nie – mówi Marek Rak, współwłaściciel młodej, ale prężnie rozwijającej się winnicy Kazimierskie Wzgórza w pobliżu Kazimierza Dolnego, osobiście

oprowadzający enoturystów po swojej plantacji – ale mamy szansę stać się znaczącym producentem wina porównywalnym z innymi krajami winiarskimi regionu klimatu chłodnego – Czechami, Niemcami czy Austrią.

Dekadę temu, gdy globalne zmiany klimatu nie były jeszcze tak odczuwalne, a w polskich uprawach dominowały szczepione na odpornych podkładkach i bardzo plenne, ale mniej szlachetne odmiany hybrydowe, nikt by nie pomyślał, że po tak krótkim czasie w kraju nad Wisłą uprawa bardzo wymagającej winorośli właściwej (*Vitis vinifera*)

stanie się nie tylko możliwa, ale również opłacalna.

Wina produkowane obecnie w coraz liczniejszych, dobrze zarządzanych i dokapitalizowanych winnicach średniej i dużej – jak na polskie warunki – wielkości prezentują bardzo przyzwoity poziom i odnoszą sukcesy na międzynarodowych wystawach. Polskie wino o specyficznej, cenniejszej przez koneserów rzeźkiej kwasowości i aromacie powoli wyrabia sobie markę. Również dzięki rozwijającej się enoturystyce, dającej możliwość degustacji lokalnych win, poznania ich twórców i ich warsztatowych tajemnic.

KRĘTA HISTORIA WINA W POLSCE

Pojawiło się na ziemiach polskich w XII w. wraz z chrześcijaństwem. Początkowo służyło głównie do celów liturgicznych. Ponieważ sprowadzanie wina z południa Europy było utrudnione, zaczęto zakładać przykasztołowe winnice na miejscu.

W XIV w. nastąpił wyraźny rozwój polskiego winiarstwa. Uprawą winorośli zajęli się mieszkańcy. Wino rodzimej produkcji stało się cenionym towarem, choć nadal nie tak powszechnym jak piwo i miód.

W XVII w. ochłodzenie klimatu na półkuli północnej zwane „małą epoką lodowcową”, rozprószyło winnicę jako środek konserwujący wino oraz rozwój transportu wywołały wzrost importu wina i regres uprawy winorośli w Polsce.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. podjęto próbę odbudowy polskiego winiarstwa. Paradoksalnie pomógł w tym kryzys 1929 r. i antyimportowa polityka akcyzowa rządu. Najwięcej winnic działało na Pomorzu i Podolu.

II wojna światowa spowodowała ogromne straty w branży winiarskiej. Zniszczone zostały winnice i sprzęt, wielu specjalistów zginęło. W wyniku zmian granic Polska utraciła winnice na Kresach (zyskując nowe na ziemiach zachodnich).

W okresie powojennym w realiach gospodarki centralnie planowanej zrezygnowano z rozwoju winiarstwa na rzecz sadownictwa. Gospodarstwa winiarskie na pomorskich terenach upaństwowiono, skutecznie propagując tanie wino owocowe.

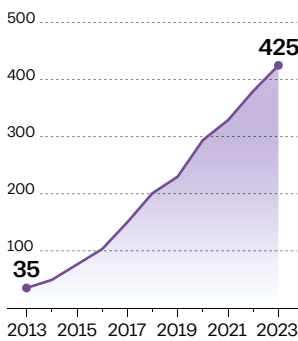
W latach 80. XX w. Roman Myśliwiec rozpoczął eksperymenty z uprawą nowych, bardziej odpornych na choroby i przymrozki odmian mieszańcowych (hybrydowych) winorośli. Zapoczątkowały one nowy rozdział w historii polskiego winiarstwa.

U NAS KRZYWE WINA ROSNĄ

Pod względem konsumpcji wina Polska jest jedynym rosnącym rynkiem w Unii Europejskiej. W 2018 r. statystyczny Polak wypił 100,5 l piwa i 6 l wina. Trzy lata później odpowiednio 92,7 l piwa i 6,7 l wina. Za wzrostem popytu i świadomości klientów podąża prężnie rozwijające się w ostatnich latach polskie winiarstwo. Taką dynamikę wzrostową, jaką obecnie obserwujemy w Polsce, kraje europejskie notowały ostatnio 150 lat temu.

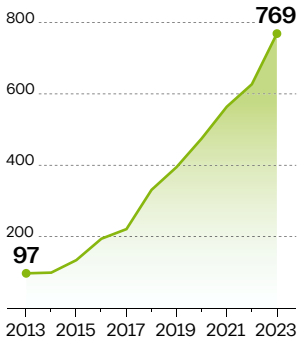
Przybywa winiarzy

Liczba producentów*



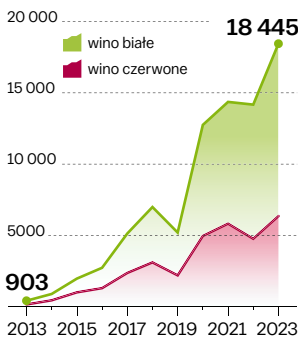
Rozrastają się winnice

Dane w ha



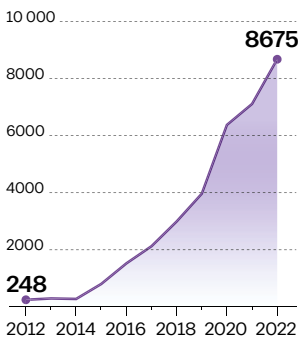
Rośnie produkcja...

Dane w hektolitrach



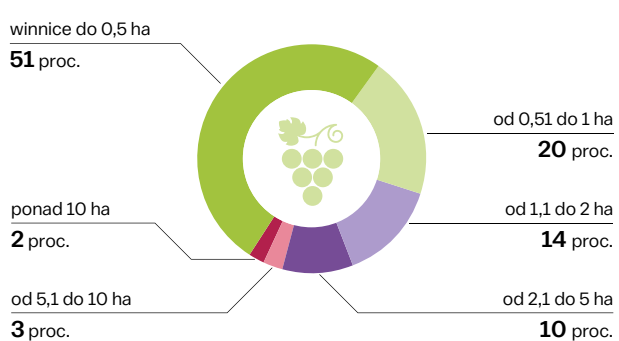
...i sprzedaż wina

Dane w hektolitrach**



Przeważają małe winnice

Udział winnic według ich wielkości



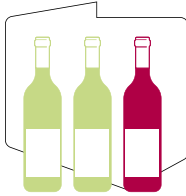
© GAZETA WYBORCZA

*według ewidencji KOWR

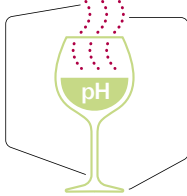
**brak danych za rok 2023

SPECYFIKA POLSKIEGO WINIARSTWA

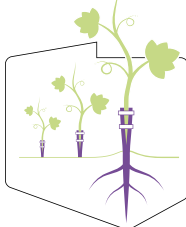
Globalne ocieplenie klimatu sprawiło, że warunki klimatyczne w Polsce w ostatnim dziesięcioleciu zbliżyły się do tych panujących w winiarskich krajach klimatu chłodnego (północne Włochy, Austria, Niemcy itp.). Nakładające się na to zmiany świadomości i preferencji konsumentów oraz korzystne regulacje prawne zaowocowały rozwojem rodzimej produkcji wina, zyskującego z roku na rok coraz więcej zwolenników.



W Polsce produkuje się dwa razy więcej wina białego niż czerwonego. Białe winogrona dojrzewają szybciej niż czerwone, wystarcza im mniejsza ilość słońca i krótszy okres wegetacji.



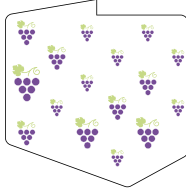
Polskie wina charakteryzują rzeźka kwasowość i dobrze rozwinięte aromaty. Cechy te są związane z występującymi w naszym klimacie dużymi zmianami dobowych temperatur.



W polskich winnicach dominują odmiany hybrydowe winorośli szczepione na odpornych na choroby i przymrozki podkładkach. Nie są uważane za szlachetne, ale są bardzo plenne i mają dobry smak.



Na tle wielu tradycyjnych regionów winiarskich w Europie świeżo zakładane winnice w Polsce często wyróżniają się nowoczesnymi metodami produkcji opartymi na nowych technologiach i wiedzy.

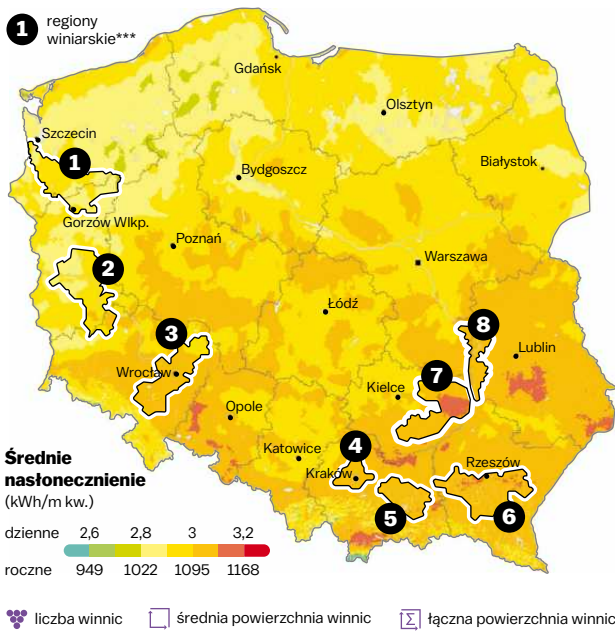


W Polsce przeważają małe winnice (średnio 1,8 ha). Za dużą uważa się winnicę o powierzchni powyżej 5 ha, podczas gdy w innych krajach winiarskich winnice mają po kilkadziesiąt hektarów.



Cena polskiego wina na tle win masowo importowanych wydaje się wysoka. Wynika to z małej skali i związanych z tym wysokich kosztów produkcji oraz braku programów pomocy dla branży winiarskiej.

REGIONY WINIARSKIE W POLSCE



- 1 Szczecińsko-gorzowski**
13 winnic, 6 ha, 78 ha
Klimat zbliżony do morskiego – łagodne zimy, niezbyt upalne lata, dość długi okres wegetacyjny, przepuszczalne gleby. Dobre warunki do uprawy *Vitis vinifera*.
- 2 Lubuski**
47 winnic, 3 ha, 143,6 ha
Łagodniejszy niż w innych rejonach kraju klimat i kulturowane bez przerwy od XII w. tradycje winiarskie sprawiają, że jest to najważniejszy region winiarski w Polsce.
- 3 Dolnośląski**
28 winnic, 2,5 ha, 70 ha
Dużo ciepłych dni w roku, długi okres wegetacyjny, łagodne zimy oraz urozmaicona powierzchnia terenu i duża różnorodność skał macierzystych i gleb.
- 4 Jurajski**
23 winnic, 2,2 ha, 51 ha
Specyficzne warunki siedliskowe: chłodne zimy i ciepłe lata, duża różnica temperatur między dniem i nocą oraz charakterystyczne wapienne podłoże pokryte gliną.
- 5 Podkarpacki**
49 winnic, 1,2 ha, 58 ha
Duża różnorodność siedliskowa i mikroklimatyczna, urozmaicona rzeźba terenu, krótki sezon wegetacyjny, surowe zimy. Uprawia się tu odporne odmiany hybrydowe.
- 6 Pogórzański**
38 winnic, 1,2 ha, 44 ha
Klimat kontynentalny (surowe zimy, przymrozki), krótki okres wegetacji, dobrze nasłonecznione zbocza, wyniesione ponad strefę inwersji. Dominują odmiany hybrydowe.
- 7 Sandomiersko-świętokrzyski**
27 winnic, 1,5 ha, 40 ha
Wysoka średnia roczna temperatura powietrza, długie i ciepłe lato, stosunkowo krótka zima, wysokie nasłonecznienie, łagodne stoki, sprzyjające uprawie gleby lessowej.
- 8 Małopolski Przełom Wisły**
22 winnic, 1,7 ha, 37 ha
Specyficzny mikroklimat związany z obecnością Wisły, pagórkowate ukształtowanie terenu, duże nasłonecznienie, obecność skał wapiennych oraz gleb lessowych.

***według Enoportal.pl

O SMAKU WINA DECYDUJE TERROIR

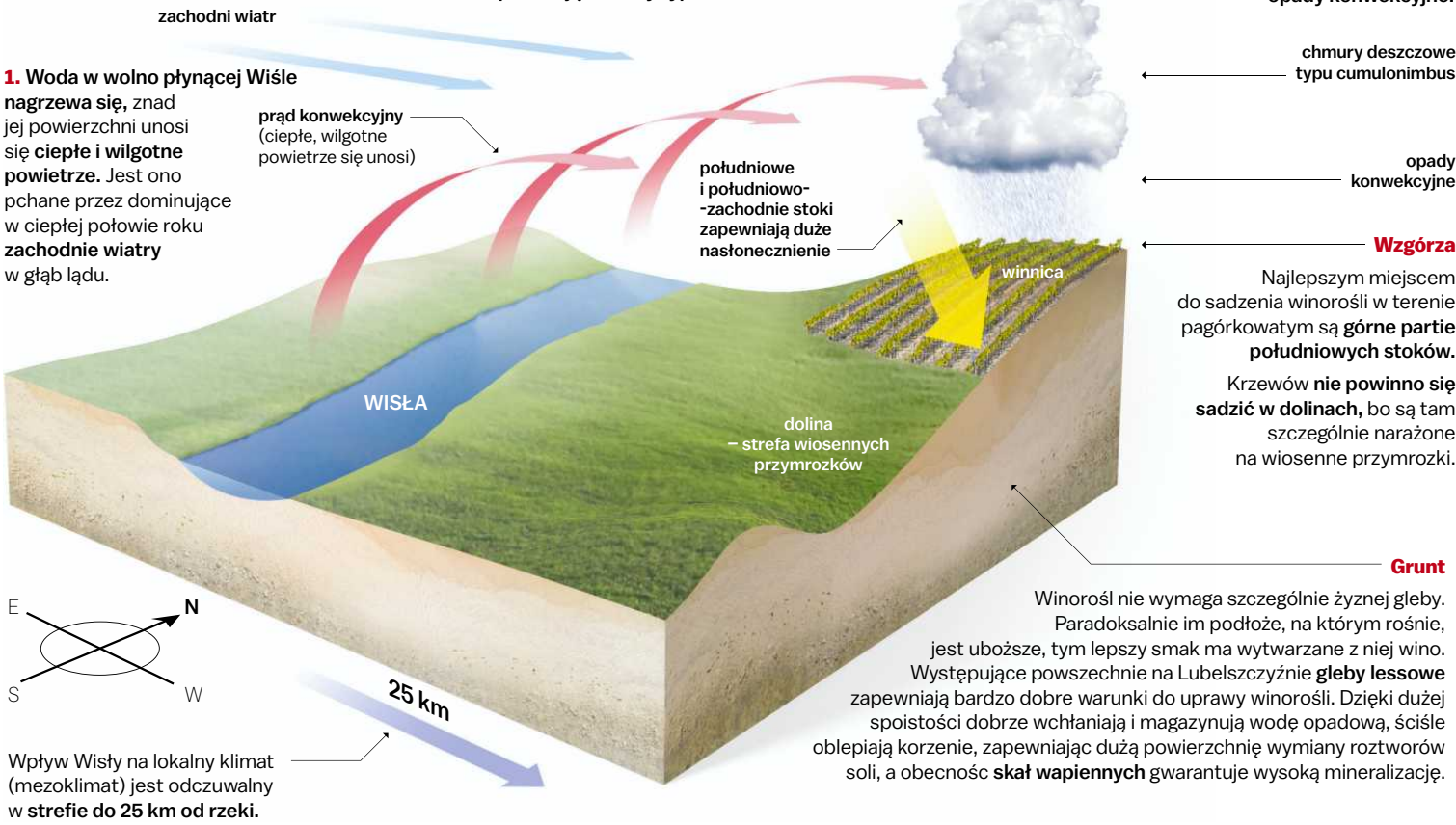
Oprócz rodzaju winogron i metody produkcji na charakter wina olbrzymi wpływ ma **zestaw unikatowych dla danej uprawy cech geograficznych, geologicznych i klimatycznych** określanych jako **terroir**. Na terroir składają się m.in. **wysokość bezwzględna, ukształtowanie terenu, nasłonecznienie, rodzaj gleby i leżącej pod nią skały, mikroklimat (opady, wilgotność, wiatry, wahania temperatury itp.)**. Nie ma dwóch takich samych terroir, każda winnica ma własny. W pewnym stopniu wyjątkowy jest pod tym względem region Małopolskiego Przełomu Wisły, najbardziej spójny siedliskowo ze wszystkich regionów uprawy winorośli w Polsce. Większość istniejących tu winnic ma zbliżony terroir. Przede wszystkim obszar ten charakteryzuje się dużym nasłonecznieniem, któremu sprzyja pagórkowate ukształtowanie terenu. Występujące tu skały osadowe (wapienie, margle i kreda) zapewniają właściwą mineralizację, a leżące na nich spoiste gleby lessowe gwarantują odpowiednie nawodnienie. Jednak tym, co jest najbardziej charakterystyczne dla tutejszych terroir, to bezpośrednie sąsiedztwo dużej doliny rzecznej i wpływ samej Wisły na lokalny mikroklimat.

Elementy tworzące terroir na przykładzie regionu Małopolskiego Przełomu Wisły

0 specyficznym mikroklimacie regionu decyduje przede wszystkim obecność dużej rzeki – Wisły.

2. Wraz ze wzrostem wysokości nagrzane powietrze ochładza się. Gdy zawarta w powietrzu para wodna osiągnie punkt rosy, zmienia się w kropelki wody lub w kryształki lodu i powstają chmury typu cumulonimbus.

3. Silne ruchy wznoszące powietrza powodują zachwianie równowagi atmosfery i wywołują lokalne opady konwekcyjne.

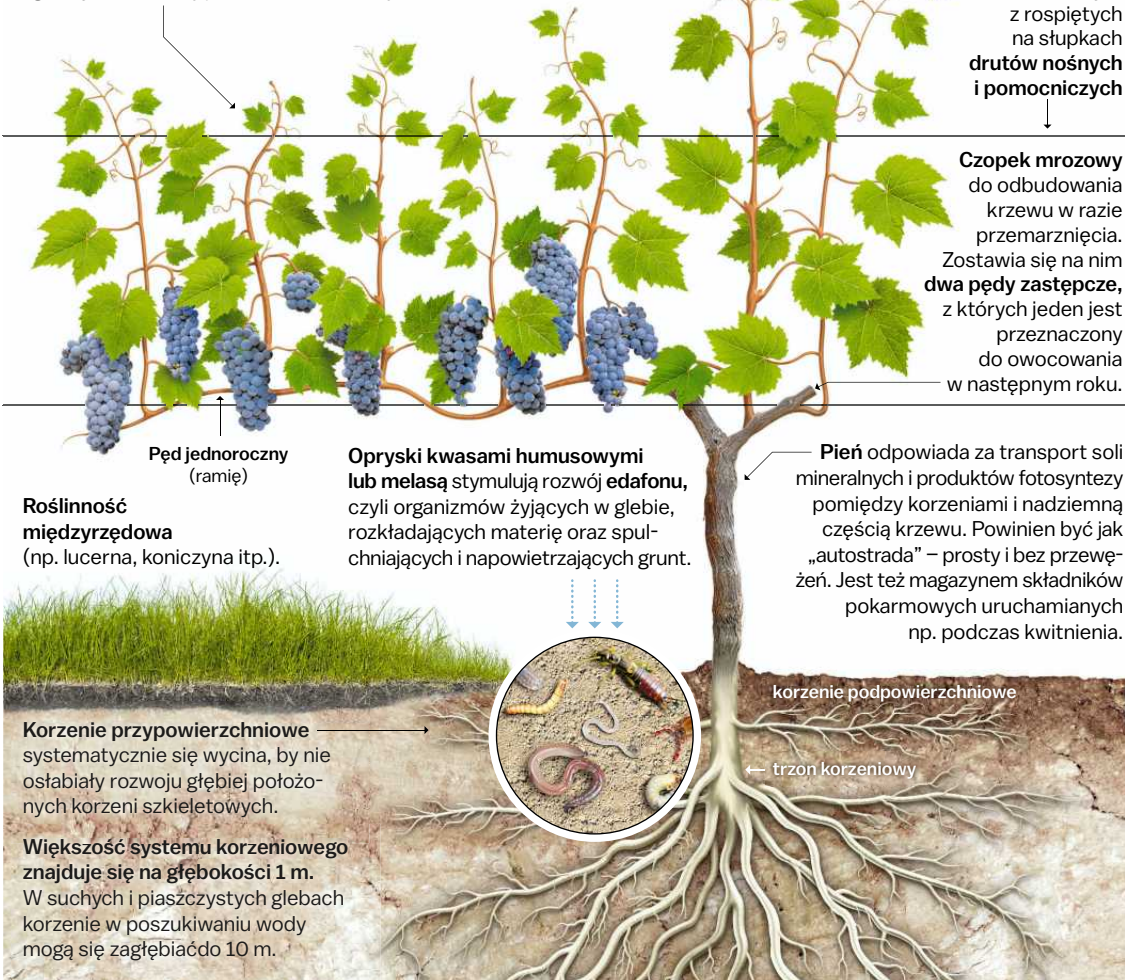


UPRAWA WINOROŚLI – ŻEBY WYJĄĆ, TRZEBA... PRZYCIĄĆ

Winorośl jest rośliną ciepłolubną, dlatego do jej uprawy wybiera się miejsca ciepłe, dobrze nasłonecznione i umiarkowanie przewiewne. Słońce jest szczególnie istotne, bo pod jego wpływem w owocach powstaje cukier, który odgrywa kluczową rolę w produkcji wina. Z tego powodu winnice często zakładają się na południowych zboczach wzgórz. Roślinom nie grożą tam wiosenne przymrozki występujące na nizinach i w zagłębieniach terenu. Korzystny jest też obecny na stoku przewiew usuwający nadmiar wilgoci i zabezpieczający owoce przed gniciem. Aby osłonić uprawy przed nadmiernym działaniem wiatru, obsadza się je szpalerami roślin. **Winorośl jest pnączem, które wymaga regularnego przycinania.** Od tego zależy jakość wytwarzanych kiści winogron. Roślina dysponuje ograniczonymi zasobami. Redukując liczbę pędów i kiści, zwiększa się jakość pozostałych owoców. **Formą krzewu najczęściej spotykaną w polskich winnicach jest jednoramienny sznur Guyota.** Z głównego pnia krzewu prowadzi się dwie łoży. Dłuższą wygina się poziomo, a wyrastające z niej pędy prowadzi się pionowo w górę. Z drugiej, krótko przyciętej łoży prowadzi się dwa pędy zastępcze, z których jeden w następnym roku utworzy nowe poziome ramię.

Latorośle to ulistnione pędy wyrastające w okresie wegetacji krzewu. Mogą być owoconośne (płodne) lub wegetatywne (niedające owoców).

Na pojedynczej latorośli zostawia się zazwyczaj najwyżej **dwa grona**, by zapewnić jak najwyższą jakość owoców.



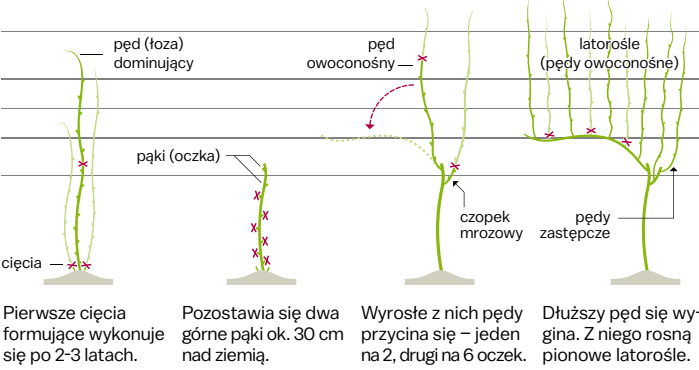
Roślinny międzyrzędowe

Sadzenie odpowiednio dobranych roślin między rzędami winorośli ma kapitalne znaczenie w dobie zacho-dzących zmian klimatycznych. **1.** Przy nawałnych deszczach chronią wierzchnią warstwę gleby przed **siłą spadających kropli i zapobiegają erozji**, wzmacniając grunt korzeniami. **2. Ograniczają wypłukiwanie składników odżywczych z gruntu**, przez co zachowują żyzność gleby i ograniczają eutrofizację rzek. Obecność roślin **wprowadza dodatkową ilość materii organicznej** do podłoża. **3. Ocieniają glebę i redukują odparowywanie wilgoci** w czasie suszy. **4. Zwiększają różnorodność mikrobiologiczną.** Drobnoustroje glebo-we, spulchniając grunt, zwiększają jego pojemność wodną i respirację. **5. Rywalizują o zasoby glebowe** z winoroślą, **ograniczają jej nadmierny rozwój wegetatywny.** Długie pędy i duże liście ocieniają owoce i sprzyjają gniciu kiści.

Korzenie

Długi, zdrewniały **trzon korzeniowy** stanowi zaporę chroniącą delikatniejsze, głębiej położone korzenie szkieletowe przed przemarzeniem i negatywnymi skutkami erozji. **Korzenie szkieletowe** zaopatrują krzew w wodę oraz składniki pokarmowe. Najbardziej aktywne w pobieraniu roztworów soli mineralnych z podłoża są **włośniki rurkowate**, żyjące zaledwie kilka dni wypustki zlokalizowane blisko wierzchołka wzrostu korzeni szkieletowych. **Korzenie podpowierzchniowe** to z kolei cienkie korzenie wyrastające z trzonu korzeniowego tuż pod powierzchnią ziemi. Na ciężkich glebach, w których głębiej położone korzenie szkieletowe mają gorsze warunki rozwoju, korzenie podpowierzchniowe mogą przejąć ich funkcje. Zwiększa to niebezpieczeństwo obumarcia krzewu w przypadku przemarznięcia korzeni w zimie.

Wyprowadzanie formy jednoramiennego sznura Guyota





Bartosz T. Wieliński

W hotelu spędzał całe dnie, choć nie figurował w żadnym wykazie gości. Przyjeżdżał w tygodniu, passatem lub citroenem. Prowadził sam, a samochód – z przyciemnionymi szybami – pobierał na parkingu pojazdów operacyjnych. Przed wjazdem na hotelowy parking podziemny kamera widziała wołomińską lub płońską rejestrację, szlaban podnosił się automatycznie. Z auta wysiadł w samym kącie, w miejscu, którego nie obejmowały kamery. Kilkadziesiąt metrów dzielących go od windy pokonywał przy betonowej ścianie, by nie zostawić żadnego śladu. Szedł w ogrodniczkach, niósł skrzynkę z narzędziami. Nikt nie pomyślałby, że na poziomie -2 w Warszawie można spotkać szefa policji politycznej przebranego za robotnika.

Wysiadł z windy na 10. piętrze, szedł do „Pomieszczenia technicznego”, kolejne drzwi, nad nimi kamera, skaner linii papilarnych, wąski korytarz, w przeszklonych pomieszczeniach rzędy ekranów. Mimo klimatyzacji powietrze było ciężkie od papierosowego dymu. W hotelu oficjalnie obowiązywał zakaz palenia, ale tu go ignorowano. I było to najłagodniejsze naruszenie prawa, jakiego dopuszczała się załoga z 10. piętra. Szef policji sunął wzdłuż ścian i drzwi. Dostał lekkiej zadyszki, tusza robiła swoje. Wszedł do ostatniego pomieszczenia, pracujący tam czterej młodzi mężczyźni zerwali się z krzeseł. Szef policji gestem kazał im siadać, ciężko opadł na fotel przy jednym z komputerów. Włączył monitor, załogował się do sieci hasłem „Niezlomny44”, sprawdzał wiadomości.

– No dobra, co dziś mamy ciekawego?
– zapytał w końcu, nie odwracając się do podwładnych.

– Najciekawsze chyba szefa ominęło
– odpowiedział najmłodszy.

Szef policji przejrzał nagranie, strzygąc wąsikiem.

– Pokój 59? Szkoda, że nie 69. Bardziej by pasowało – rzucił. Współpracownicy wybuchnęli śmiechem. Tekst czerstwy, ale trzeba się śmiać.

– A chociaż pełnoletnia? – drążył.

– Tak, od niedawna. To sekretarka z jego biura poselskiego – odpowiedział inny chłopak i podsunął mu pod nos tablet z kartoteką dziewczęcy, bo za pieniądze UE służbę zdigitalizowano. I dobrze, nie trzeba będzie znowu palić dokumentów na wypiskach, wystarczy „delete”.

Szef policji otworzył na tablecie akta gościa z pokoju 59. Spojrzał na zdjęcie, odrażająca postać. Nocnych nagrań było wiele. „Gdyby umieścić je na PornHubie, można by nieźle zarobić”, pomyślał i znowu zastrzygł wąsikiem, ale zaraz skarcił się za tą myśl. Bo nie potrzebowali pieniędzy, a upubliczniając nagrania, bardzo zaszkodziłby swojej partii. Nagrany kilkanaście kamerami gość z pokoju 59 był jej lojalnym członkiem od 2002 roku. W 2005 roku zdobył poselski mandat, 10 lat później dzięki nieskazitelnemu opinii został wiceministrem. Tak, w pokojach tego hotelu inwigilowała tylko swoich.



Opowiadanie na koniec władzy

POKÓJ Z WIDOKIEM NA KAMERĘ

Przewodniczący Partii obawiał się spisku,
dlatego nakazał inwigilować Partię bardziej intensywnie niż opozycję

Pomysł był genialny w prostocie. W hotelu sejmowym mieszkano się w ścisłości i na świeczniku, na mieście trudno coś znaleźć, ceny wysokie. A poza tym ludzie Partii potrzebowali spokoju. Akurat w centrum Warszawy budowano okazały wieżowiec, najnowocześniejsza architektura. W wieżowcu miał się mieścić jeden z ważnych urzędów, w centrali Partii jednak wnikliwiej przeanalizowano projekt i okazało się, że da się upchnąć czterogwiazdkowy hotel z sauną, jacuzzi i salą fitness. Wszystko powstało po cichu, ukryte w budżetach kilku ministerstw. Suweren nie powinien wiedzieć, że pije szampana i je kawior ustami swoich przedstawicieli. Zresztą bez przesady. W tym specjalnym hotelu przy ulicy Puławskiej kawioru nie było. Wykreślono go z menu, bo kojarzył się z Rosją. Na parte-

rze nie nie przypominało hotelu. Nad ścianą przy wejściu godło i czerwona tablica informowały, że siedzibę ma tu ważna państwowa instytucja. W środku, za biurkiem, siedziało dwóch znudzonych ochroniarzy, wpuszczali tylko ludzi z listy.

Zanim ekipy budowlane – sprawdzona austriacka firma, budująca niegdyś na Łazurowym Wybrzeżu wille rosyjskim oligarchom – przystąpiły do kładzenia tynków, weszła tam ekipa tajnej policji. W każdym pokoju, na korytarzach, w siłowni i basenowej przebieralni kładła swoje kable, do których potem podłączano kamery i mikrofony. Po sprzęt szef tajnej policji osobiście pojechał do Izraela. Można było oglądać miłosne uniesienia, nawet gdy w pokoju panowała ciemność, można było słyszeć słowa wypowiedziane szeptem. Materiały nagrywano i analizowano 24 godziny na dobę.

„Mamy podręcznikowy przykład inwigilacji totalnej. To był genialny pomysł”, gratulował sobie w myślach szef tajnej policji, gdy hotel po cichu utworzył swoje podwoje. Ale pomysł wcale nie był jego.

– Najpierw swoich – przykazywał funkcjonariuszom tajnej policji przewodniczący Partii na transmitowanych przez państwową telewizję spotkaniach.

„Najpierw swoich” w powszechnym odczuciu miało oznaczać, że Partia będzie pilnować nieskazitelności własnych szeregow i usuwać tych, którzy nie byli w stanie przestrzegać wyśrubowanych moralnych standardów. O tym, że była to tylko propaganda, szef tajnej policji wiedział doskonale. Wystarczyło sprawdzić liczbę niepodjętych śledztw i umorzonych postępowań wobec działaczy partyjnych i ich krewnych oraz przyjaciół. Ale przewodniczącemu Partii chodziło o coś innego – bardziej oba-

wiał się, że swoi zawiązą spisek i zrzućą go z tronu. I właśnie dlatego nakazał inwigilować Partię bardziej intensywnie niż opozycję, która była na nieustannym podsłuchu. Wezwał szefa tajnej policji i pokazał mu leżący na biurku projekt wieżowca.

– A gdybyśmy tak... – powiedział. Szef policji pojął w lot i z wrażenia zastrzygł wąsikiem. Czemu sam na to nie wpadł i nie podsunął przewodniczącemu? Za tę myśl też się skarcił. Przewodniczący nie znoził ludzi mądrzejszych i bardziej cwanych niż on sam. By przetrwać w jego otoczeniu, trzeba powstrzymać naturalną chęć, by błyszczeć.

W Partii hotel obrósł legendą. Przekazanie karty, która pozwalała spędzić chociaż dwie noce w tym luksusowym przybytku, traktowano jako najwyższe wyróżnienie. Lista działaczy, których wpuszczano za próg, nieustannie się zmieniała. Zdarzało się, że trzeba było sprawdzić, czy działacz nadaje się na wiceministra. Długi staż, mocne plecy, działalność w Sejmie i w terenie bez zarzutu, żadnych niepokojących SMS-ów i wiadomości na telefonie... No ale to nie wystarcza. Trzeba sprawdzić do końca. Jak zachowa się w miejscu, w którym nie spodziewa się zagrożenia? O czym będzie mówić? Co mu się nie będzie podobać? Upije się (nawet lepiej, bo będzie więcej gadać)? Ściągnie kobietę, mężczyznę? Wystarczą dwie noce przy Puławskiej, by tajna policja uzupełniła wiedzę i wydała Partii rekomendację. Przy czym fakt nadużywania alkoholu czy pozamałżeńskich kontaktów seksualnych, nawet nieheteroseksualnych, nie zawsze był dyskwalifikujący. Przewodniczący zdawał sobie sprawę, że człowiek to grzeszna istota, i był w stanie przejść nad tym do porządku dziennego. I dobrze mieć haka na każdego. Prezes był szczególnie wyczulony na spiski. Gdy tajna policja wykryła, że na Puławskiej zawiązywano jakieś koterie, uczestników zapraszano do hotelu na stałe i filmowano z każdej strony, aż plany stały się jasne. Rozbijaniem wewnątrzpartyjnych spisków zajmowały się inne wydziały tajnej policji, bezwzględne i skuteczne. Przewodniczący dbał, by członkowie jego partii zdawali sobie z tego sprawę.

Szef policji przez kilkadziesiąt minut przeglądał inwigilacyjne streszczenia. Miał wielu ludzi do pomocy, ale główną robotę odwalala sztuczna inteligencja. Specjalistyczny program przepisywał nagrane rozmowy z podziałem na role (sztuczna inteligencja rozpoznawała wszystkich funkcjonariuszy Partii po twarzy i głosie), wyławiał podejrzane zwroty, pisał streszczenia. Z kilkugodzinnej pijackiej balangi potrafił wyluskać obrzydliwy dowcip o przewodniczącym. Albo ciekawą informację o innym partyjnym działaczu, który wykorzystywał państwowy majątek z naruszeniem prawa. Inny system analizował nagrania, by ustalić kondycję inwigilowanej osoby. Producent oprogramowania zapewniał, że na podstawie zachowania może ocenić stężenie alkoholu we krwi z dokładnością do 0,3 promila, rozpoznać zażyta substancję odurzającą, a nawet zaburzenia natury psychologicznej. O tym, że podsłuchiwane były wszelkie rozmowy prowadzone przez telefony komórkowe i komunikatory, nie ma sensu wspominać. To oczywistość.

Nie licząc miłosnych uniesień, dzień wydawał się nieciekawym, szef policji szykował

się nawet, by o 15 zmyć się do domu, zjeść golonkę, poleżeć w basenie. Ale przeglądając sporządzone przez sztuczną inteligencję streszczenia, zauważył przy jednym nazwisku lakoniczny zapis: „cały wieczór poświęcił na modlitwę i inne czynności o charakterze kontemplacyjno-religijnym”. Szef policji zamrugał. Coś podobnego w hotelu się jeszcze nie zdarzyło. Może sztuczna inteligencja sfiksowała, wzięła pijacki belkot za modlitwę? Na komputerze wyszukał nagranie. Młody działacz z południowej Polski, zaproszony do hotelu, by mu się bliżej przyjrzeć. W kartotece wpisano pochwały – zaangażowanie, pomysłowość, znajomość technologii, że wzorowy mąż i ojciec, i listę rekomendacji duchownych i świętych. Złote dziecko Partii. Szef policji widział takich prawych młodzieńców, ale nie mógł uwierzyć w to, co widział na ekranie. Nie, sztuczna inteligencja się nie pomyliła. Chłopak wszedł do pokoju, ściągnął marynarkę, zaparzył sobie herbatę, a potem włączył telewizor na religijną stację z Torunia. Z brewiarzem w rękę przez pół godziny odmawiał modlitwy, potem czytał tygodniki katolickie. W końcu zaczął chodzić po pokoju i dyskutując sam ze sobą, recytował przemówienia prezesa o tym, że Polskę trzeba odzyskać, podnieść z kolan, obudować. O wrogach ze wschodu i z zachodu, o zdrajcach o rudych włosach. Mówił to pełen zapалу, czasem gestykułował. System analizy zachowania wywnioskował, że jest trzeźwiutki i w 100 procentach szczerzy. A na koniec poszedł grzecznie spać.

Szef tajnej policji wyjął z marynarki swój zabezpieczony przed podsłuchami telefon. Zadzwonił do osobistej sekretarki przewodniczącego.

– Mam bardzo pilną sprawę. Będę za pół godziny – powiedział do słuchawki. Sekretarka przewodniczącego potrafiła spławić prezydenta, ale lakoniczny komunikat szefa tajnej policji był jednoznaczny. Dzieje się coś złego.

Pięć minut później mknął przez Warszawę. Właściwie powinien był odwieźć samochód na parking operacyjny i przejąć się do służbowej limuzyny, ale sprawa nie mogła czekać. „Chyba dawno nikt nie jechał do szefa Partii tak starym samochodem”, pomyślał w biegu. Gdy przed placem Unii Lubelskiej droga zaczęła się korkować, wyjął ze schowka koguta i postawił go na dachu. Policijny sygnał utorował mu drogę, koguta zdjął dopiero pół kilometra przed partyjnym komitetem. Nie chciał wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania.

Przewodniczący długo oglądał nagranie na tablecie. Miał pogodny wyraz twarzy.

– No cóż, trafiliśmy, jak by to powiedzieć, na cwane go zawodnika. Rozgryzł nas już w pierwszej sekundzie. Dobrze, że z tym przyszedłeś – pochwalił, a następnie polecił objać chłopaka szczegółową kontrolą. Przewodniczącego interesowało, czy młodego działacza ktoś – łamiąc otaczającą hotel tajemnicę państwową – uprzedził, że wszystko, co zrobi, zostanie nagrane, czy też sam się domyślił, że w takim miejscu należy się spodziewać całkowitej inwigilacji. Jeśli ktoś go ostrzegł, to należy ustalić kto i wyciągnąć odpowiednie konsekwencje. Jeśli domyślił się sam, to mamy do czynienia z bardzo mądrym i przebiegłym młodym politykiem.

– I przez to bardzo niebezpiecznym. Trzeba otoczyć go wszechstronną opieką – zawyrokował przewodniczący. Szef tajnej policji do identycznych wniosków doszedł pół godziny wcześniej. Pamiętał jednak, że przewodniczący Partii nie lubił mądrzejszych od siebie. ●

TikTok, TikTok, bomba tyka

Dla homo ludens polityka bez polaryzacji jest jak mecz charytatywny

Marcin Matczak

Wiadomo, że media społeczno-ściowe nam szkodzą – promują wiadomości złe i bardzo złe, zwiększają agresję i zamykają jeszcze bardziej w bańkach, w których i tak już jesteśmy zamknięci. To wiedza powszechna, ale w pewnym sensie bezużyteczna: niby każdy wie, ale większość i tak używa.

Może jednak coś się zmieni. Bo okazuje się, że social media są groźne nie tylko dla zwykłych zjadaczy glutenu, ale i dla bezpieczeństwa państw. Tak jest przynajmniej z TikTokiem. Większość Amerykanów uważa, że ta popularna aplikacja nazywana „YouTube’em na sterydach” zagraża ich krajowi, ponieważ jest chińskim sposobem na szpiegowanie użytkowników. A sprawa nie jest blaha – TikTok ma 3 miliardy użytkowników na świecie, z tego 13 milionów w Polsce. Nic więc dziwnego, że szef TikToka był w marcu pięć godzin przesłuchiwany przed Kongresem, jak rzeczywiście działa aplikacja.

Jej użytkownicy publikują krótkie filmy, które przewijają się na rolce. Wśród treści jest sporo rozrywki, ale coraz częściej TikTok staje się medium przekazu politycznego – w Polsce na przykład polityków Konfederacji. Nie tylko dlatego jednak, że jest na nim Mentzen, uważam TikToka za zło w czystej postaci.

Jest bowiem nie tylko zagrożeniem dla demokracji. Jest zagrożeniem dla ludzkości, jaką znamy, bo zamienia homo sapiens w phono sapiens – w telefontyczny zombi z siną od światła ekranu twarzą. Praktycznego, zmieniającego rzeczywistość człowieka pracującego (homo faber) zamienia w żyjącego jak w symulacji czy grze człowieka bawiącego się (homo ludens).

Ponieważ media społecznościowe zmieniają człowieka, zmieniają politykę: ona, jak TikTok, staje się grą, narzędziem pobudzania emocji, zwycięstwa chwilości i konkretnie nad dłuższą perspektywą i myśleniem systemowym. TikTok zagraża nam nie tylko dlatego, że to chiński wynalazek, który podejrzewa się o wyludzanie danych od użytkowników. Zagraża nam, ponieważ kształtuje nowy typ myślenia: rolka krótkich filmów, którą przewija się w nieskończoność, a na której jak w kalejdoskopie zmieniają się postaci, zmienia człowieka racjonalnego w człowieka uzależnionego od emocji.

Algorytm TikToka dba, aby zdiagnozowana potrzeba emocjonalna została zaspokojona – wykorzystuje coś, co skupiło twoją uwagę, by przytrzymać cię przy ekranie dłużej. Raz wywołana emocja jest podsycana podobnymi bodźcami. Dodatkowo to, że obraz dominuje nad tekstem, powoduje, że coraz mniej myślimy w kategoriach systemowych, a coraz bardziej w kategoriach emocjonalnych. Obraz konsumuje się natychmiast, głównie emocjonalnie. Inaczej jest ze słowem, które trzeba intelektualnie przetworzyć.

Przebadzcowany emocjami oglądacz rolki na TikToku oczekuje podobnych doznań od świata realnego. Tym samym staje się bardziej podatny na populistyczną propagandę, która zawsze opiera się na emocjach, nie na racjonalności. Czyż bowiem jest lepszy sposób na mobilizację niż pobudzenie emocji, i to na najgorszych: strachu, nienawiści, resentymentu? „Okradają cię!”, „Nie zapłacili za zniszczenia Warszawy!”,

„Będą ci kazać jeść robaki!” – to komunikaty jak z tiktokowej rolki, wobec których oglądający nie może przejść obojętnie.

To, że TikTok zabija praktycznego homo faber i wychowuje zatopionego w grze homo ludens, także ma poważne skutki. Na przykład pogłębia polaryzację. Jeśli życie publiczne postrzega się w kategoriach gry, to jasne jest, że muszą w niej być „nasi” i „wasi”. Co więcej, muszą się oni od siebie zdecydowanie różnić, najlepiej kolorami, bo wtedy jest jasne, komu kibicować. Dla wychowanego na TikToku homo ludens polityka bez polaryzacji jest jak mecz charytatywny – nie budzi poważnych emocji. Świat bez plemion jest jak spotkanie, w którym obie drużyny występują w takich samych koszulkach. Nie da się tym emocjonować, bo nie wiadomo, za kim się jest.

To, że TikTok przekształca racjonalnego człowieka w kipiący emocjami garnek (żeby nie powiedzieć: dzban), jest groźne dla mechanizmów życia publicznego, które działają systemowo: na przykład dla prawomocności wyroków sądowych, systemu ubezpieczeń społecznych czy szczepień obywatelskich. Skoncentrowani na indywidualnych emocjach, na strachu czy cierpieniu, ludzie przestają rozumieć ich sens. Bo te wszystkie rozwiązania stawiają na system, nie na jednostkę, po to właśnie, żeby jednostkę chronić.

Jeśli jestem emocjonalny, punktowa niesprawiedliwość systemu prawnego jest dla mnie wystarczająca, by cały system zaorać. Na tym opiera się przecież atak na praworządność: wzburzenie punktowym skandalem („sędzia ukradł kiełbasę!”), pojedynczym niesprawiedliwym wyrokiem wykorzystuje się jako pretekst, by zniszczyć system albo go przynajmniej zdestabilizować (vide skarga nadzwyczajna).

Jeśli jestem emocjonalny, moje aktualne potrzeby są ważniejsze niż odroczone korzyści w postaci emerytury czy też jeszcze bardziej abstrakcyjna stabilność systemu emerytalnego – stąd popularność takich propozycji jak likwidacja ZUS.

Jeśli jestem emocjonalny, bardziej boję się skutku ubocznego szczepienia, niż podziwiam efekt w postaci odporności całego społeczeństwa. To zjawisko podobne do strachu przed lataniem: śmierć w taksówce w drodze na lotnisko jest bardziej prawdopodobna niż śmierć w katastrofie lotniczej, ale emocje są silniejsze niż racjonalna statystyka. Stąd coraz więcej w Europie skarg konstytucyjnych kwestionujących legalność obywatelskich szczepień.

Jeśli oczekiwania tiktokowe przeniesie się do polityki, nie dziwi kierunek, w którym się ona rozwija. Emocje stają się ważniejsze od racjonalności – nikt nie chce gadać o reformach głów, wszyscy za to chętnie pooglądają drących się na sobie Kowalskiego z Kołodziejczakiem. Nieopatrzny „dupiarz” staje się ważniejszy politycznie niż wstrzymanie pieniędzy z KPO. Emocje są wszystkim, konsekwencje niczym. Innymi słowy: polityka się nam stiktokizowała. Brzmi to strasznie, ale właśnie takie jest. ●



„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”. Książka Marcina Matczaka już w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl

NASZA EUROPA

Sekrety nazistów

Największe PRYWATNE ARCHIWUM DOTYCZĄCE III RZESZY JEDZIE DO USA

Hoover Institution przenosi ogromną prywatną kolekcję kontrowersyjnego reportera „Sterna” Gerda Heidemanna z Hamburga do Kalifornii i udostępni te źródła publicznie. Czy to będzie nowy impuls w badaniach nad nazizmem?

Sven Felix Kellerhoff

WELT

Skarb znajduje się pod ziemią, a dokładniej: w piwnicy niepozornego biurowca naprzeciwko stacji kolejowej Altona w Hamburgu. Betonowe schody w dół, na końcu stalowe drzwi, za nimi wąskie korytarze z metalowych regałów, każdy wysoki na sześć półek i wypełniony czarnymi, szarymi lub niebieskimi plastikowymi segregatorami, starannie oznakowanymi wytłoczonymi etykietami samoprzylepnymi. Piętnaście do szesnastu sztuk na półkę, prawie setka na regał i kilkadziesiąt z nich w różnych pomieszczeniach. W sumie ok. 7 tys. teczek. Do tego pu- dla wypełnione po brzegi kasetami audio, ponad 100 tys. fotografii i innych materiałów. – Jest to prawdopodobnie najważniejsza prywatna kolekcja dotycząca nazistowskich sprawców i ich motywacji – mówi historyczka Katharina Friedla. – Wiele z nich jest dostępnych wyłącznie tutaj, a nie w żadnych archiwach państwowych – wyjaśnia.

Zszargana reputacja Gerda Heidemanna

Oczywiście historia III Rzeszy z pewnością nie musi być „częściowo napisana na nowo” – jak twierdzono w artykule redakcyjnym „Sterna” pod koniec kwietnia 1983 r. Wtedy niemiecki tygodnik ogłosił sensacyjnie, że ma rzekome „pamiętniki Hitlera”. Redakcja z wielką pompą opublikowała nawet pierwsze fragmenty, które jednak eksperci bardzo szybko zdemaskowali jako fałszerstwo. Hamburski magazyn stracił swoją reputację na lata.

Fakt, że archiwum w piwnicy w Altonie leżało nietknięte przez tak długi czas, jest konsekwencją tamtego skandalu, jednego z największych w historii RFN. Materiał został bowiem opracowany przez Gerda Heidemanna, reportera „Sterna”, który tym

samym całkowicie zrujnował swoją reputację znakomitego badacza okresu III Rzeszy. Został za to nawet skazany na ponad cztery i pół roku więzienia – z paragrafu za oszustwo.

Odtąd jego archiwum, którego istnienie nigdy nie było tajemnicą, uznano za toksyczne, podobnie jak oficjalne kontakty z Heidemannem. Niektórzy historycy, ale przede wszystkim dziennikarze, w ciągu ostatnich dekad, uzyskawszy poufną zgodę Heidemanna, korzystali z jego zbiorów, ale jednocześnie bagatelizowali ten fakt lub całkowicie go przemilczali.

Dopiero teraz ogromna ilość materiałów istotnych dla współczesnej historii będzie naprawdę udostępniona publicznie. I to Katharina Friedla jest odpowiedzialna za archiwum Heidemanna, począwszy od czerwca 2023 r. Ta była reporterka „Sterna”, obecnie 91-letnia, przekazała materiały do Hoover Institution na Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii, prywatnej instytucji z ogromną biblioteką liczącą ponad milion woluminów i archiwum zawierającym ok. 6 tys. różnych zbiorów. Pełnią funkcję europejskiego kuratora w Hoover (Taube Family Curator for European Collections – to oficjalna nazwa jej stanowiska), Friedla organizuje transport kolekcji z Hamburga do USA. Tam zawartość teczek, zdjęcia i taśmy audio będą sukcesywnie digitalizowane. – Udostępniamy te materiały historykom i dziennikarzom bezpłatnie – podkreśla historyczka, która kształciła się w Berlinie, Jerozolimie i Bazylei.

Instytucja założona w 1919 r. przez przyszłego prezydenta USA Herberta Hoovera, oficjalnie nazywana Hoover Institution on War, Revolution and Peace, często dawała impuls międzynarodowym badaniom. Od pewnego czasu wiele materiałów z jej zasobów jest również dostępnych za pośrednictwem internetu. Jednym z przykładów są „Biogramy nazistów”, w sumie 584 raporty Niemców, którzy wstąpili do NSDAP przed dojściem do władzy Adolfa Hitlera i napisali w 1934 r. o tym, dlaczego stali się narodowymi socjalistami. Ponad 3,7 tys. arkuszy tych relacji należało do polsko-amerykańskiego socjologa Theodore’a Abla, któ-

ry zebrał je w ramach konkursu z nagrodami w Niemczech (i przy okazji przy wsparciu NSDAP). Te zdigitalizowane w 2017 r. dokumenty dają wgląd w postrzeganie siebie przez zwolenników nazizmu. Archiwum z Altony ma być wykorzystywane w podobny sposób w przyszłości.

Jednak zbiór Heidemanna to znacznie większa ilość materiałów.

Wśród nich tysiące fotokopii dokumentów z głównego archiwum NSDAP, z których część nie zachowała się nigdzie indziej – bo np. oryginały były w prywatnym posiadaniu Hitlera i zostały spalone pod koniec kwietnia 1945 r. na jego bezpośredni rozkaz. Ponadto dokumenty o majątkach wielu osób z najbliższego otoczenia Hitlera, które przeżyły koniec III Rzeszy w 1945 r. W tym prywatne dokumenty różnych adiutantów, prywatnego pilota, a nawet jednego z niewielu bliskich przyjaciół dyktatora. Już sam ten materiał powinien elektryzować współczesnych historyków.

Ale to nie wszystko, co pod koniec czerwca specjaliści wyciągnęli z piwnicy w Hamburgu i załadowali na statek i samolot do USA. Częścią kolekcji jest również prawie 800 kaset magnetofonowych z wywiadami lub nagraniem rozmowami telefonicznymi. Są to wypowiedzi prywatnych sekretarzy Rudolfa Hessa, zastępcy Hitlera w NSDAP, oraz samego dyktatora. Ale też np. dowódcy ostatniej pozycji obronnej wokół Führerbunker w Berlin-Mitte w kwietniu 1945 r.

Szczególnie istotny jest zapis wypowiedzi Karla Wolffa (1900-84). Były SS-Obergruppenführer był bliskim powiernikiem szefa SS Heinricha Himmlera przez ponad 10 lat, a potem jednym z najwyższych rangą esesmanów, którzy przeżyli koniec wojny. Zbiory Heidemanna obejmują 30 tomów dokumentów i 92 kasety z lat 1976-83, nagrane po przedterminowym zwolnieniu Wolffa z więzienia w Straubingu w Bawarii, gdzie odsiadywał wyrok za współudział w zamordowaniu co najmniej 300 tys. Żydów z Warszawy.

– Wolff nigdy nie opublikował osobistej relacji o swoim udziale w wojnie za życia – mówi niemiecki historyk Thomas We-

ber. 49-latek pracuje jako visiting fellow w Hoover i jest profesorem na Uniwersytecie Aberdeen w Szkocji. Mówi: – Materiał rzuca nowe światło na jednego z głównych sprawców wojny i ludobójstwa, na osobowość Hitlera, na rolę Himmlera w systemie obozów koncentracyjnych oraz na operacje wywiadowcze i tajne negocjacje z zachodnimi aliantów pod koniec wojny.

Według Webera to odnosi się w zasadzie do całego zbioru. Oczekuje „zupełnie nowych impulsów do badań nad sprawcami”. Dlatego już odegrał kluczową rolę w dostarczeniu dokumentów z Altony do Stanforda: zinventaryzował zbiór, zaproponował jego nabycie i towarzyszył mu przez kilka lat.

To będzie „magnes dla naukowców” – uważa Niall Ferguson, jeden z najbardziej znanych historyków na świecie.

Np. w parogodzinnej rozmowie z Heidemannem były kierownik personelu SS Bruno Streckenbach (skazany na 25 lat, z których odsiedział 10) ujawnia, co prawa ręka Himmlera, Reinhard Heydrich, powiedział mu o rozkazie masowego mordowania europejskich Żydów. Jest to temat, nad którym badacze Holocaustu pracują od dziesięcioleci.

Jak powstało to ogromne archiwum? Od lat 50., kiedy rozpoczął karierę jako fotograf prasowy, Gerd Heidemann niemal maniakalnie zbierał wszystko, co wydawało mu się choćby odrobinę „istotne”. Urodzony w 1931 r., zasłynął z reportaży wojennych z Afryki i Bliskiego Wschodu. Opublikował głośne na całym świecie reportaże, np. o niemieckim najemniku w Afryce Środkowej, znanym jako „Kongo-Müller”. Heidemann otrzymał World Press Photo w 1965 r. za zdjęcia z krwawej wojny domowej. Ponadto stał się odnoszącym sukcesy dziennikarzem śledczym, który miał talent do zadawania właściwych pytań wpływowym ludziom.

Od lat 70. Heidemann coraz bardziej koncentrował się na nowszej przeszłości Niemiec, zwłaszcza na okresie nazistowskim. Była to faza, w której uniwersytecka nauka historyczna zajmowała się przede wszystkim „strukturami” i „procesami społecznymi”, podczas gdy zainteresowana publiczność nie miała dość czytania o III Rzeszy – po sensacyjnym sukcesie „Wspomnień” powiernika Hitlera i ministra infrastruktury Alberta Speera, opublikowanych w 1969 r., „fala Hitlera”, jak ją wówczas nazywano, przetaczała się przez media i wydawnictwa, a redakcje wielu czasopism z powodzeniem na niej surfowały. Heidemann zdobywał tematy dla swojej redakcji tuzinami. W końcu popełnił fatalną pomyłkę – ale do tego czasu tropił sekrety wielu nazistów z niezwykłą pomysłowością.

■
*To będzie
„magnes dla naukowców”
– uważa Niall Ferguson,
jeden z najbardziej znanych
historyków na świecie*

NASZA EUROPA



• Gerd Heidemann podczas konferencji prasowej 25 kwietnia 1983 r. prezentuje odkryte „pamiętniki Hitlera”. Po publikacji w „Sternie” pierwszego fragmentu historycy demaskują fałszerstwo, a tygodnik latami odzyskuje reputację

FOT. AP/THOMAS GRIMM

Historia III Rzeszy musi być „częściowo napisana na nowo” – twierdzono w artykule redakcyjnym „Sterna” w kwietniu 1983 r.

Wtedy tygodnik ogłosił sensacyjnie, że ma rzekome „pamiętniki Hitlera”, które jednak eksperci szybko zdemaskowali jako fałszerstwo.

Fakt, że archiwum w piwnicy w Altonie leżało nietknięte przez tak długi czas, jest konsekwencją tamtego skandalu

– Długo dyskutowaliśmy, czy powinniśmy to zrobić, upubliczniać ten zbiór – mówi Katharina Friedla, doświadczona badaczka Holocaustu. Ale dodaje: – Zawsze dążyłam do przejścia tej niezwykle kolekcji pomimo jej obciążonego pochodzenia. I wskazuje na jeden przykład, żeby pokazać, jak cenny to materiał dla historyków.

Z „rzeźnikiem z Lyonu” nad jeziorem Titicaca

Oczekiwania wobec podróży podjętej latem 1979 r. były wysokie: Heidemann chciał wytropić dwie najbardziej poszukiwane osoby na świecie – Martina Bormanna, który zaginął w 1945 r., oraz Josefa Mengelego, lekarza obozu koncentracyjnego w Auschwitz. W tym celu wyruszył do Ameryki Południowej wraz z Karlem Wolffem. Reporterowi nie przeszkadzał fakt, że szkielet odkryty w Berlinie-Tiergarten w 1973 r. został już zidentyfikowany jako doczesne szczątki Bormanna na podstawie porównania zdjęć i danych dentystrycznych. Z pomocą Wolffa, dobrze poinformowanego byłego powiernika Himmlera, udało się uzyskać dostęp do ok. 20 byłych wysokich rangą nazistów przebywających w Ameryce Południowej.

Najpierw jednak Wolff i Heidemann udali się do stolicy Boliwii, La Paz, aby spotkać się z niejakim Klausem Altmannem. Kto krył się za fałszywym nazwiskiem, nie było już tajemnicą: był to Klaus Barbie, wówczas 66-letni. W 1935 r. został członkiem SS, a po szkoleniu w Gestapo w Berlinie został uznany za materiał na dowódcę. W latach 1940–42 „sprawdził się” w Amsterdamie jako „łowca Żydów”, a następnie został awansowany na szefa Gestapo w trzecim co do wielkości mieście Francji, Lyonie. Tutaj sadystyczny Barbie zyskał straszną reputację jako „rzeźnik z Lyonu”.

Heidemann przeprowadził otwarte rozmowy z tym człowiekiem (który po 1945 r. został trzykrotnie zaocznie skazany na śmierć we Francji), w dniach od 15 do 20 sierpnia

1979 r., które zarejestrował na 11 taśmach – łącznie 14 godzin. W rozmowach reporter nie polemizował z Barbie, nawet jeśli chodziło o najstraszliwsze zbrodnie. Sztuczka, by skłonić swojego odpowiednika do mówienia? W każdym razie na taśmach nie ma prawie żadnych krytycznych pytań. Heidemann wyjaśnia dziś, że sposób, w jaki prowadził rozmowy, był „taktyczny”. Niektóre z rozmów odbyły się w obecności Karla Wolffa w domu Barbiego w La Paz, w różnych lokalach, w samochodzie, a nawet na łodzi wycieczkowej na jeziorze Titicaca.

Ze względu na obecność Wolffa rozmowy przekształciły się w wymianę zdań między weteranami (oba esesmani byli całkowicie zgodni w swojej nienawiści do Żydów); nie są to prowadzone w rygorze reguł sztuki dziennikarskiej wywiady ze świadkami i sprawcami. Ale już jedna tylko próbka ujawnia trzy obszary tematyczne, na które często cynicznie wypowiedzi Barbiego mogą rzucić nowe światło.

Barbie opisuje swoją rolę w pierwszej dużej obławie na Żydów w Amsterdamie 22 i 23 lutego 1941 r. – Zostaliśmy rozmieszczeni. Batalion SS. Wtedy oczywiście zaczęło się szaleństwo – mówi, przerywając opowieść śmiechem. – Pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy, było rozebranie wszystkich mostów – z wyjątkiem jednego od strony kanału. A potem weszliśmy przez ten most. To była prawdziwa walka o każdy dom – dodaje z sarkazmem. Barbie osobiście dowodził doraźną egzekucją: – Tych jedenastu czy dwunastu mężczyzn było pierwszymi, którzy zostali oficjalnie rozstrzelani w Amsterdamie, a ja miałem pluton egzekucyjny. Wyraźnie rozbawionym tonem dodał: – Zrobiło mi się niedobrze, gdy zobaczyłem te wszystkie rozprysnięte mózgi.

Taśmy dają też powód do ponownego zbadania okoliczności śmierci Jeana Moulina. Ówczesny przywódca Résistance, francuskiego ruchu oporu, został aresztowany w pobliżu Lyonu 21 czerwca 1943. Jed-

nak Barbiego zaprzeczył, że torturował Moulina. Jest to sprzeczne z ustaleniami brytyjskiego biografa Barbiego, Toma Bowera, który przytacza różne zeznania świadków. Ale wypowiedzi Barbiego są godne uwagi, ponieważ esesman nie miał powodu, by pomniejszać swoją rolę w rozmowie z Heidemannem – bez skrupowania mówił o innych tematach, nawet gdy sam się obciążał. Sytuacja na tym spotkaniu w Boliwii była po prostu inna niż osiem lat później, kiedy Barbie był sądzony w Lyonie po ekstradycji do Francji i musiał starać się przedstawić siebie jako mały trybik w maszynie zbrodni.

Trzeci przykład dotyczy deportacji 44 żydowskich sierot z domu dziecka w Izieu wraz z kilkoma dorosłymi opiekunami do Auschwitz 6 kwietnia 1944 r. W rozmowie z Heidemannem Barbie upierał się, że „podpisał rozkaz deportacji” tylko dlatego, że akurat był w biurze, gdy podpis był potrzebny. Barbie mówi, że „koman-dosi od Żydów” byli „ludźmi Eichmanna”: „Zrobili tam swoje, raportowali do niego. Nie miałem z tym nic wspólnego”.

Historyk Thomas Weber zauważa, że Barbie był rzeczywiście do końca „niezdolny” do „zrozumienia swojej roli w Holocaustie”. Był to m.in. wynik „podziału działań SS na operacje bojowe, kontrwywiad, walkę z partyzantką i uprzedysponowane mordowanie Żydów”. „Jeśli nawet główny wykonawca zbrodni SS, taki jak Barbie, nie rozumiał swojego udziału, to rozpoznawalny staje się mechanizm, który działał w przypadku wielu innych współników i pomocników w mordowaniu milionów ludzi. Śledzenie tego rodzaju strategii samousprawiedliwienia niczego nie relatywizuje, a wręcz przeciwnie, umożliwia dziś analizę nieadekwatnej konfrontacji z tymi okrucieństwami, a także dynamiki ludobójstw” – uważa Weber.

Klaus Barbie pozostał nazistą i antysemity. Pod koniec 1965 r. spotkał niemieckiego dyplomatę w klubie w La Paz w towarzystwie dyplomatów amerykańskich, mówiąc: „To chargé d'affaires ambasady siedzi tam ze swoimi żydowskimi przyjaciółmi”. Ambasador nakazał wówczas wydalenie biznesmena, znanego jako Klaus Altmann, z renomowanego klubu – chociaż Altmann już wcześniej życzył dyplomacie szczęśliwego nowego roku ze słowami „Heil Hitler”. Nawet później, od maja do grudnia 1966 r., Federalna Służba Wywiadowcza (BND) zatrudniała „Klause Altmanna” jako informatora przez kilka miesięcy – ale nie wiedząc, że to Barbie. Porównanie dokumentów Heidemanna z pracami Niezależnej Komisji Historycznej BND, które zostały zakończone

dopiero w 2022 r., powinno również dostarczyć nowych informacji.

Jak poradzić sobie z „obciążeniem Heidemanna”

Oczywiście na wszystkim, co Gerd Heidemann zebrał przez dekady, spoczywa cień wątpliwości – to konsekwencja jego roli w skandalu z „pamiętnikami Hitlera”, który nigdy nie został w pełni wyjaśniony. Konrad Kujau, fałszerz rzekomego sensacyjnego znaleziska, i dziennikarz, który został natychmiast zwolniony przez „Sterna”, oskarżyli się nawzajem w sądzie w połowie lat 80. o oszukanie drugiej strony. Gdzie podziła się większość z 9,3 mln marek zapłaconych wówczas za fałszerstwo – nikt nie wie, nawet 40 lat po skandalu.

Ta wątpliwość jest najważniejszym powodem, dla którego zbiór Heidemanna trafił do USA, a nie pozostaje w Niemczech. Archiwa państwowe w tym kraju przechowują prywatne kolekcje dotyczące historii współczesnej, pod warunkiem że są one „istotne”. Np. Archiwum Federalne przechowuje zbiory prywatnego badacza Fritza Tobiasa (1912–2011), zwłaszcza na temat pożaru Reichstagu, a Archiwum Chrześcijańsko-Demokratycznej Polityki Fundacji Konrada Adenauera zawiera materiały wieloletniego dziennikarza ZDF Gerharda Löwenthala (1922–2002) na temat reżimu w NRD. Ale nikt nie odważył się zbliżyć do zbioru Heidemanna – wynik przekonania, że inwestycja pieniędzy niemieckich podatników w dokumenty człowieka od „pamiętników Hitlera” jest nie do przyjęcia.

Hoover Institution, który jest finansowany w całości z prywatnych darowizn, nie wydaje środków publicznych na indeksowanie materiałów. Ale oczywiście Katharina Friedla i jej koledzy również chcieli mieć pewność, że dokumenty są autentyczne. – Ze względu na objętość sprawdzenie wszystkich dokumentów w tej kolekcji jest problematyczne – przyznaje Friedla. Wiele z tego, co jest interesujące przede wszystkim dla ekspertów, zostanie zatem udostępnione naukowcom bez szczegółowego badania, ale zawsze z prośbą o wykorzystanie ich w sposób krytyczny.

Archiwiści zabezpieczyli się jednak najlepiej, jak potrafili, w odniesieniu do tych części, które prawdopodobnie będą miały największe znaczenie dla opinii publicznej. Przykładem może być materiał dotyczący Klause Barbiego. Nie ma wątpliwości, że Heidemann (wraz z Karlem Wolffem) faktycznie spotkał się ze starym nazistą w sierpniu 1979 r. Pewne jest również, że zdjęcia zrobione „Klausowi Altmannowi” przedstawiają tego samego człowieka, który był szefem Gestapo w Lyonie w latach 1942–44, został przekazany do Francji w 1983 r. i skazany tam na dożywocie w 1987 r. Cztery lata później zmarł na raka.

Jeśli chodzi o nagrania audio, dokonano kryminalistycznej analizy głosu. Hoover powołał Stefana Gfrörera, emerytowanego eksperta w Federalnym Urzędzie Policji Kryminalnej. Widzieliśmy jego szczegółowy, 22-stronicowy raport, w którym stwierdza, że „prawie na pewno istnieje tożsamość osobista” między mówcą na taśmach Heidemanna a Klausem Barbie, którego nagrywano we Francji. Jest to najwyższy możliwy poziom w kryminalistyce.

W 1983 r. „pamiętniki Hitlera” mogły zostać szybko zdemaskowane jako fałszerstwa – pod względem treści, ponieważ wpisy powtarzały znane błędy; pod względem technicznym, ponieważ zarówno papier, na którym pisano, jak i oprawa i okładka zeszytów zawierały substancje, które zostały opracowane dopiero po 1945 r. Z drugiej strony, nagrania Barbiego ze zbioru Heidemanna zostały sklasyfikowane jako autentyczne zgodnie ze wszystkimi zasadami nauki poprzez ekspertyzę kryminalistyczną. Hoover Institution dokonał zakupu, który może znacznie posunąć do przodu badania historyczne. ●

Koniec z Lazurowym Wybrzeżem? To pojedziemy zobaczyć wulkany na Kamczatce, a do SPA do Kaliningradu. Wreszcie mamy okazję zobaczyć, jak piękna jest Rosja

Wiktoria Bielaszyn

Dla mnie lato przez wiele lat było rosyjskie. W dzieciństwie kojarzyło się z babcią, mgłą nad Wołgą, łódką, złotymi kopułami cerkwi, herbatą z samowara, bajkami o Babie-Jadze, Morozku, carównie zaklętej w żabkę, czytany przed snem. Później z plecieniem wianków w Noc Kupały, rozpalaniem w bani, chodzeniem na kilkudniowe pochody do lasu, wieczorami z gitarą przy ognisku, zwiedzaniem z tatą najstarszych rosyjskich miast na szlaku Złotego Pierścienia Rosji. Z puszkiniowskim: „tu ruski duch, tu Rosia pachnie”. „Lato to całe małe życie”, powtarzały rosyjskie koleżanki. I miały rację.

W okresie nastoletnim i na studiach lato rzeczywiście wydawało się trwać wiecznie. A Moskwa była najlepszym miastem na świecie. Nie dlatego, że cała reszta świata była przedstawiana jako wroga i zła. Tylko dlatego, że wszyscy byliśmy bardzo młodzi i dopiero zaczynaliśmy odnajdować się w przestrzeni wokół nas. Fraza „na Zachodzie” nie brzmiała wulgarnie, a wiara w to, że wszystko nieuchronnie zmieni się na lepsze, wciąż była silna.

W zakurzonej, upalnej Moskwie poznałam przed laty najszczęśliwszych i najbardziej wolnych ludzi na świecie, wierzących w muzykę, prawdę, sprawiedliwość. Chodzących na spektakle opozycyjnych teatrów, słuchających głośno krytycznych wobec władz raperów, organizujących spotkania z pisarzami i działaczami, którym z Kremlu nigdy nie było po drodze. Ludzi przekonanych, że pewnego dnia wszystko będzie zależeć od nich.

Dzisiaj po moskiewskim lecie nie ma śladu. Fraza Mariny Cwietajewej „będę kochać cię przez całe lato” nie brzmi już jak całe życie, a termin „następne wakacje” oznacza jedną wielką niewiadomą. Co prawda wciąż czujesz na ramionach i z tyłu głowy pomarańczowe

Rosjanie na wakacjach

TĘSKNIĘ ZA MOSKWĄ LATEM

FOT. WIKICOMMONS (3)



ciepło tego, co może się wydarzyć, choć pewnie nie wydarzy się nigdy, ale horyzont planowania stał się tak wąski, że trudno go dostrzec.

Podobnie jak ślad po aktualnym jeszcze kilka lat temu wśród części Rosjan przekonaniu, że świat jest otwarty, że na nich czeka; że ci, którzy, tak jak 71 proc. rosyjskiego

społeczeństwa, nigdy jeszcze nie trzymali w rękach paszportu zagranicznego, pewnego dnia zobaczą Europę. A może i Amerykę?

Lecz coraz trudniej oprzeć się wrażeniu, że Rosjanie nie wybiorą się w podróż. I to

nie tylko na wakacje. Coraz częściej myślę, że wielu nie zostanie zabranych w przyszłość. I zastanawiam się, czy przyszłość dla Rosji w ogóle istnieje. A jeśli jednak, to jaka?

Moskwa stała się opustoszałym Gotham City, w którym nie ma już niemal nikogo spośród tych, którzy przez lata byli mi najbliżsi. Miastem z wyblakłymi ścieżkami rowerowymi, po których nikt nie jeździ, putinowskiemi swastykami na ścianach wysotek i manipulatorskimi ogłoszeniami ministerstwa obrony o konieczności „służenia ojczyźnie”, opatrzone twarzyczkami kilkuletnich, przerażonych dzieci, proszących ojców, by „bronili dla nich Rosji”.

W parku Gorkiego, który do niedawna był symbolem nowych czasów, nie grają już popularni raperzy czy modne wśród

młodzieży zespoły; większość emigrowała z kraju. Pozostali, którzy sprzeciw wobec wojny wyrazili mniej radykalnie, połowicznie, i tak mają nieoficjalny zakaz występowania ze względu na „niepewną pozycję światopoglądową”. Ich miejsce zajął festiwal Szaszлык Live, podczas którego posłuchać można kiczowatego popu i radzieckich pieśni.

Letnia, gwałtownie zeuropeizowana w ostatniej dekadzie, nowoczesna Moskwa przestała już kojarzyć mi się z trampoliną między przeszłością a przyszłością. Słowa Simona Kordońskiego, akademika i filozofa, który mówił, że „nasz kraj jest krajem solidnej teraźniejszości z różnymi wersjami przeszłości. Nasza przyszłość jest reprodukcją dobrej przeszłości”, budzą więcej obaw niż nadziei. Bo jaką wersję zobaczymy w kolejnych latach?

Przeglądam kanały w komunikatorze Telegram. To fascynująca zabawa: jako postronny obserwator możesz zajrzeć przez okienko do mikroświatów innych ludzi, poznać ich problemy, zobaczyć, czym żyją. Problem w tym, że ostatnio bawię się przy tym średnio. Głównie za sprawą czatów, w których Rosjanie informują się o planach spędzenia wakacji na Krymie. Nad morzem.

Jadą nad nie po trupach, skupiając się na rozważaniach, jak kadrować zdjęcia, żeby nie było widać zniszczeń wojennych, albo pytają się nawzajem: „jak tam z dronami”. „Lepiej nie jechać przez Mariupol, robi się mocno nieswojo”, ostrzegają się. „Jesteśmy Rosjanami, nie bo-



imy się, niech Bóg ma nas w swojej opiece”, napisała niejaka Jelena Worobjowa w reakcji na wiadomość, w której zwracano uwagę na możliwe „przyloty” i „wybuchy”. Jelena Worobjowa nie wie jeszcze, że Bóg już nikomu nie pomoże. Półtora roku temu odjechał ostatnim pociągiem z Mariupola.

Nie żeby podobnych osób było bardzo dużo. Ale są. Mówią o tym socjologzy, którzy ze zdziwieniem obserwują u części Rosjan obsesyjne pragnienie, by wyjechać na wakacje na Krym wbrew zdrowemu rozsądkowi i instynktowi samozachowawczemu.

Decydują się na to ci, którzy spełniają dwa warunki. Po pierwsze, ich sytuacja finansowa jest na tyle stabilna, że mogą sobie na to pozwolić. A po drugie, poddali się wpływowi propagandy, uwierzyli we własną wielkość i bezkarność, całkowicie wypierając ze świadomości, co się dzieje. Tych ludzi nie da się nie dostrzegać, choć stanowią, na szczęście, mniejszość. O czym zaświadcniają i sami wczasowicze, którzy w rozmowach z niezależnymi mediami przyznają, że „plaże na Krymie puściutkie”. I pracownicy branży turystycznej, którzy w zeszłym roku narzekali, że ze względu na „specjalną operację wojenną ruch zmniejszył się o ponad 30 procent”, a w tym – że jest „jeszcze gorzej”.

Nie tylko ze względu na wojnę. Rosjan zwyczajnie na wakacje nie stać. I to od lat.

Nie zawsze było to dla mnie oczywiste. Zachwyty i szok poznawanych podczas wizyt u babci dzieci z sąsiedztwa, które dowiadywały się o moich wakacjach w Chorwacji czy wycieczce do Londynu, odbierałam jako przesadną, niezrozumiałą kurtuazję. Przecież dzieci, z którymi spędzałam w Rosji czas, podróżowały. Te z lepiej sytuowanych rodzin za granicę: Czechy, Francja, Włochy, Hiszpania, Szwajcaria. Te, którym powodziło się gorzej: Gruzja, Ukraina, Turcja. Najmniej uprzywilejowani jeździli do Soczi. Tak mi się wtedy wydawało.

Jako dziecko nie brałam pod uwagę, że rodzice tych nawet w naszej grupce najbardziej dzieciaków prowadzą firmy złotnicze i jubilerskie albo zajmują wy-

sokie stanowiska na państwowych uczelniach, a ich wypieszczone domy odgradzają od szarego świata zewnętrznego wysokie mury i szczelnie zamknięte bramy. I choć dzisiaj nie mam z nimi kontaktu, sieci społecznościowe mówią mi, że te dzieci, dziś już młodzi dorośli, nadal podróżują. Co prawda nie do Europy, co potwierdzają najnowsze raporty. Wynika z nich, że kraje UE odnotowują skutki sankcji nałożonych na Rosjan. Tylko w 2023 roku do Francji przyjechało o 96 proc. mniej Rosjan niż w 2019 roku.

Ale reszta świata, choć mocno skurczona, jest dla Rosjan otwarta. Moi dawni znajomi wstawiają więc na Instagram zdjęcia z wczasów na Malediwach i Bali, z Dubaju, Turcji i Tajlandii.

A kiedy już zupełnie nie mają czasu czy możliwości na dłuższą podróż, ale czują potrzebę, by mimo wszystko gdzieś wyskoczyć, odetchnąć: z kurortu w Soczi, z oglądania zorzy polarnej w Murmańsku czy wulkanów na Kamczatce. Albo ze SPA w obwodzie królewieckim czy kajaków w Karelii. „Nie ma tego złego, jeśli chodzi o pandemię. Dopiero w 2020 r. mieliśmy okazję zobaczyć, jak piękna jest Rosja”, napisała na Instagramie Wika, która przed 28. rokiem życia zdążyła co prawda zwiedzić większość Europy, ale nigdy wcześniej nie była nad Morzem Czarnym.

Te ostatnie formy wypoczynku wybierają też „bardziej zwyczajni” Rosjanie. Jegor, dziennikarz niezależnego portalu, dzisiaj na emigracji, wspomina: „My zawsze preferowaliśmy wakacje w Rosji, bo lubimy przyrodę i brak tłumów turystów. Tylko że my nie jesteśmy reprezentatywni. W pewnym stopniu jesteśmy uprzywilejowani, mamy oszczędności, pochodzimy z dużych miast”.

Na podobny luksus nie może pozwolić sobie wielu moich znajomych, mimo że mają wyższe wykształcenie i od lat pracują w zawodzie. Trzydziestodwuletni Paweł, ekonomista, kolega z dzieciństwa z Włogogradu: „W całym swoim życiu byłem na wakacjach dwa razy, nigdy za granicą. Z pensji nie starcza mi na urlop”. Dima, trzydziestopięcioletni adwokat z Moskwy: „Byłem na Dominikanie, w podróży poślubnej. Pozostałe dwa wyjazdy były delegacjami, podczas których udało mi się zobaczyć coś nowego w czasie wolnym. Większość znajomych nie jeździ nigdzie. Nie mają pieniędzy”.

Zauważają to nawet kontrolowane przez władze media. Na łamach portalu ekonomicznego RBK nietrudno znaleźć informacje, z których wynika, że nawet ta niewielka część Rosjan, która pozwala sobie na urlop, „musi wziąć kredyt, by pełnowartościowo spędzić czas”.

Świadomość, że miazdżąca większość Rosjan najczęściej spędza wakacje we własnych domach lub, jeśli im się poszczęściło i odziedziczyli lub kupili niewielką działkę na wsi, „na dacz”, dziwi tylko, jeśli nie zna się wyników badań i sondaży. Te, które od lat przeprowadza na ten temat Centrum Lewady, wskazują, że 65 proc. Rosjan nie ma jakichkolwiek oszczędności, a blisko połowie społeczeństwa pieniędzy starcza jedynie na „jedzenie i opłatę rachunków”.

Nie wskazuje, by miało się to zmienić. A przynajmniej by miało zmienić się na lepsze. Nie tylko w kwestii dochodów przeciętnych obywateli. Gdy tuż po inwazji na Ukrainę rozmawiałam z Michaiłem Chodorkowskim, usłyszałam: „Wielu z nich rozumie, jak ważna i pomocna jest globalizacja. Wiedzieli, że mogli studiować za granicą, aplikować o granty na swoje projekty i badania, pracować w międzynarodowej korporacji, podróżować, zawierać, choćby przez internet, przyjaźnie z ludźmi z całego świata i odwiedzać ich albo zapraszać do siebie. Tego już nie ma. I niewykluczone, że w najbliższych latach, obejmujących całą ich młodość, nie będzie. A wszystko to przez jednego, konkretnego człowieka”. ●

Ile można o tym patriarchacie

Wysłałam z „Barbie” rozbawioną, ale i znudzoną. A potem przypomniły mi się koleżanki ze studiów w Moskwie.

Wiktoria Bielaszyn

Obejrzałam „Barbie”. Nie mogło być inaczej. Atakujące mnie z Facebooka, Instagrama, Twittera i wszystkich portali informacyjnych różowe szaleństwo, które ogarnęło większość bliższych i dalszych znajomych, sprawiło, że do kina szłam święcie przekonana: nie ma filmu, który chciałabym obejrzeć bardziej.

Z warszawskiej Kinoteki wychodziłam zdecydowanie mniej rozentuzjasmowana. Ot, kolejny przyjemny, bo estetyczny, zabawny, słodko-gorzki film. „Największe wrażenie i tak robi na świadomych, uprzywilejowanych kobietach z klasy średniej, które i bez niego świetnie zdają sobie sprawę z opresyjności patriarchy”, dzieliłam się przemyśleniami z koleżanką.

Ale to nie była moja jedyna refleksja. Myślałam, jak wielki to przywilej zachodnich społeczeństw: móc sobie dzisiaj pozwolić na to, by silny gniew, bezradność i złość odczuwać po pokazie filmu o słynnej lalce, emanującej różem, odwołaniami do popkultury i muzyką, której nie powstydziliby się didżeje obsługujący warszawskie silent disco.

A poza tym, no ile można o tym patriarchacie? Przecież wszystko już wiemy. Ucisła, frustruje i krzywdzi od wieków. Jest zakorzeniony w naszej kulturze na tyle mocno, a przez nas same silnie zinternalizowany, że, bądźmy szczerze, umiemy w nim żyć. „Barbie” nie wnosi nic nowego. Jakby tego było mało, jej hollywoodzka estetyka przypomina tylko, że kwestia równości płci to problem tzw. pierwszego świata. Tego, który – w odróżnieniu od Rosji i sporej części Europy Wschodniej – potrafi bezbłędnie odróżnić troskę od przemocy. Poza tym, czy emancypacja, rewolucja feministyczna i ogólny progres nie wyposażyły nas w narzędzia, za pomocą których możemy mu się przeciwstawiać? Przynajmniej na niektórych polach? Przynajmniej część z nas?

To były moje pierwsze wrażenia. Ale, jak to się mówi, check your privilege.

W jednej ze scen Barbie jest przerażona, bo przestała być „idealna” w stereotypowym rozumieniu tego słowa: traci zdolność chodzenia na czubkach palców, zauważa, że na udach pojawił się cellulit, za to z twarzy zniknęły dziewczęce rumieńce. Jej widoczne „zaniedbanie” wywołuje wręcz przerażenie całego otoczenia, które dopinguje Barbie do odbycia niebezpiecznej podróży. W świecie ludzi „stereotypowa” Barbie ma stoczyć walkę o młodość i piękno z „kobiecą” zwyczajnością, a więc także starością i przemijaniem.

Doznałam olśnienia: skądś to znam. Przecież to rosyjska rzeczywistość.

Odkąd pamiętam, nie cierpieć się stroić. W szafie od kilku lat królują czerni, czerni, czerni, szarości i beże. Sukienki noszę, jeśli jest gorąco albo wymaga tego dress code. W tym drugim przypadku upewniam się zresztą dyskretnie, „jak ładnie trzeba się ubrać w skali 1-10?”. Strój wieczorowy? Buty na obcasach? „Dziękuję za zaproszenie, niestety, mam tego dnia inne plany”. Tymczasem w moich nastoletnich czasach w Rosji obowiązywało konkretne wyobrażenie, jak powinna wyglądać kobieta. Pełny makijaż, obcasy, romantyczne sukienki, zwiew-

ny top w połączeniu z zakładanymi na wdechu spodniami były absolutną bazą; niezależnie od pory roku, dnia, sytuacji życiowej i pogody. Tylko że ja w Polsce ubierałam się inaczej. I w pewnym momencie zrozumiałam, że kompletowanie dwóch garderób: dla mnie i dla mojego rosyjskiego alter ego, to przesada. Z czasem, jako nastolatka, a później studentka, zaczęłam chodzić po Moskwie w ciuchach, w których i w modnej knajpie na placu Zbawiciela, i na squacie byłabym brana za „swoją”. Ale nie w Rosji.

Nigdy nie zapomnę, jak niespełna dziesięć lat temu, ubrana w jeansy z dziurami na udach i kolanach, trampki i bluzę z kapturem, weszłam na burżuazyjnych Patriarszych Prudach do spożywczaka. Zaniepokojona ekspedientka, patrząc to na mnie, to na mój koszyk, zwróciła mi uwagę, że ta czekolada „kosztuje bardzo dużo rubli”. „Czy na pewno mogę sobie pozwolić na taki luksus?”, zdawała się pytać. Precyzyjnie umalowana i starannie uczesana sprzedawczyni, jak znaczna część społeczeństwa, ma bardzo konkretne wyobrażenie o tym, jak powinna wyglądać kobieta. A już zwłaszcza młoda i bez obrączki na palcu.

Tylko że nie zaprzętałam już sobie tym głowy. Niepewności w tej sferze pozbyłam się równie szybko, co butów na obcasach i niewygodnych sukienek oraz relacji z tymi rosyjskimi koleżankami, które uważały, że bite przez partnerów kobiety „same są sobie winne”, a o mężatce nie po to mówi się, że jest „za-mężna”, by pełniła w relacji funkcję partnerki, a nie bezradnego dziewczątka.

■
W debacie antyputinowskiej opozycji w Brukseli – sami faceci. Rosyjska działaczka: Nie uważam, że płeć jest ważna. Ci mężczyźni po prostu więcej osiągnęli, więcej zrobili

Na czerwcowej konferencji rosyjskiej opozycji w Parlamencie Europejskim jeden z mówców podkreślił, że Rosja nie będzie wolna, dopóki nie będzie w niej równouprawnienia. Zmotywowała go uczestniczka, która, oburzona, że w jednej z wielu dyskusji udział biorą sami mężczyźni, zaproponowała głośno, by kobiety oraz wszyscy sojusznicy feministek ją zbojkotowali. Do tego daleka droga. „Nie uważam, że płeć jest ważna. Ci mężczyźni po prostu więcej osiągnęli, więcej zrobili”, rzuciła do mnie siedząca obok rosyjska działaczka.

Nie zdziwiła mnie. Dziewczynki w Europie Wschodniej od najmłodszych lat są trenowane do milczenia. W szkole prócz matematyki, biologii i literatury uczy się je ładnie siedzieć i ładnie, a w starszych klasach także ponętnie, wyglądać. Być grzecznymi. „Nie wysuwać się przed szereg”. Nie zabierać głosu, kiedy rozmawiają mężczyźni. A kiedy biją, nie zgłaszać się na policję. Nie ma to sensu, przecież i tak w większości przypadków policjant jedynie „po męsku” poradzi sprawcy przemocy, by „zrobił ze swoją kobietą porządek”, wsadził ją, jak Barbie na linii produkcyjnej, do pudełka: grzeczną, piękną i posłuszną.

Film Greta Gerwig jest o tym wszystkim. ●

NAPRAWDĘ BLISKI WSCHÓD

Rosja się rozpadnie?
Polacy kolonizowali Ukrainę?
Rządy Zjednoczonej Prawicy to „pisłam” i „katotaliban”?
Nie mamy zielonego pojęcia, o czym rozprawiamy

Z POLITOLOGIEM **ADAMEM BALCEREM***
ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**



Lubi pan syzyfowe prace, prawda?

– Raczej bym to nazwał donkiszoterią. Albo, żeby się nie nobilitować za bardzo, będę Sancho Pansą. Bo czuję, że to walka z wiatrakami.

W niedawnym raporcie „Na Wschodzie bez zmian? Orientalizacja we współczesnej Polsce” próbuje pan na 110 stronach zdefiniować, czym jest Wschód, czym jest Zachód, i jeszcze wpisać w ten kontekst miejsce Polski. To przecież esencja ostatnich 200 lat polskiej myśli intelektualnej. Syzyf jak nic.

– A i tak są wątki, które pominąłem. Nie ma na przykład analizy orientalizacji Żydów w Polsce. Albo Bałkanów. Cale to zjawisko jest naprawdę niewystarczająco zbądane w naszym kraju.

To porozmawiajmy o przyczynach. Sporo odnosi się pan do amerykańskiego historyka Larry’ego Wolffa i jego teorii, że Europa Wschodnia została wymyślona jako dopełnienie Zachodu przez tenże Zachód, żeby mógł się w niej przegłądać. Ale przecież taka Rosja sama się zdefiniowała jako imperium, a ludzie Zachodu to łyknęli i tak się utarło. Może więc jednak Europę Wschodnią wymyśliliśmy sobie my, wschodni Europejczycy?
– Jednak bardziej zachodni Europejczycy, bo tam od kilkuset lat jest centrum kontynentu. Z drugiej strony, po lekturze książki Wolffa można odnieść wrażenie, że nasz region jest pozbawiony sprawczości, po prostu wynaleziony na zachodzie Europy. „Wynalezienie Europy Wschodniej” to bardzo ważna i potrzebna książka, ale jednak takiego niemal totalnego uprzedmiotowienia nigdy nie było, mieliśmy pewien wpływ na nasz wizerunek.

Zachód nas skolonizował i opisał tak, jak chciał?

– Nie tylko nas. Francuz Dominique Dufour de Pradt, rezydent napoleońskiej Francji w Warszawie, orientalizował nie tylko Europę Wschodnią, ale i Hiszpanię. To on wymyślił powiedzenie, że „Afryka zaczyna się za Pirenejami”. A taki Metternich mawiał, że „Azja zaczyna się na Landstrasse” w Wiedniu.

We Włoszech nieraz słyszałem, że poniżej Rzymu zaczyna się już Afryka.

– No właśnie. Oczywiście nie ma się co kopać z koniem – jak spojrzymy na wskaźniki makroekonomiczne, innowacyjność gospodarek, poziom korupcji, ale też problemy z demokracją, rządami prawa, to rzeczywiście kraje Europy Południowej i Wschodniej wypadają gorzej. Ale Wschód i Zachód to nie są dwa oddzielne światy. Te pojęcia często raczej zaciemniają rzeczywistość, niż ją rozjaśniają.

Największy problem mamy ze zdefiniowaniem tej przestrzeni, którą w Polsce tak bardzo lubimy nazywać Europą Środkowo-Wschodnią – czyli teren pomiędzy Rosją a Niemcami. Stąd Międzymorze, Trójmorze, Trzecia Europa, Nowa Europa, Młodsza Europa – wszystko po to, żeby tę przestrzeń jakoś uporządkować. I wtedy Rosja staje się dla wielu z nas Azją, choć z punktu widzenia geografii 40 proc. terytorium Europy to... Rosja.

Czyli jednak sami trochę wymyśliliśmy ten Wschód.

– Tylko co to jest Europa Wschodnia? Jak jednoznacznie zdefiniować region tyłu religii, kultur i języków? Weźmy Rosję, która próbuje być teraz autoteliczna, chce sama siebie kreować w kontrze do Zachodu, ale w jej historii obok elementów stworzonych samodzielnie cały czas istniała wymiana z tym Zachodem. Czajkowski, Malewicz, Gogol – wielkie osiągnięcia kultury rosyjskiej są czymś uniwersalnym i były ważnym źródłem inspiracji dla Zachodu, ale też zostały ukształtowane przez kontakty z Zachodem. Nawet będąc w kontrze, Rosja korzystała z dziedzictwa Zachodu.

Dyskusja na temat duszy rosyjskiej czy dowolnej innej, w której często pojawia-

ją się metafory biologiczne: chromosomy, DNA, kody kulturowe – to ślepa uliczka. Monolit nie istnieje. Według wiarygodnych badań większość Rosjan popiera wojnę – ale z różnych powodów i w różnym stopniu. Kluczem do sukcesu w walce przeciwko Putinowi jest pogłębienie tych podziałów, na pierwszy rzut oka niewidocznych.

Orientalizm bardzo często łączy się z esencjonalizmem – mamy przekonanie, że istnieje jakiś zbiór cech niezmiennych, jakaś narodowa albo religijna czarna skrzynka, która trwa przez wieki. Niemcy są jacyś i zawsze byli, muzułmanie są jacyś i też nigdy nie byli ani nie będą inni. Tak nie jest. Pierwszym krokiem musi być zmiana języka – używanie takich słów jak „większość”, „mniejszość”, „część” wobec narodów, religii, kultur, bez generalizacji. A drugi krok to debata, w której dajemy głos tym, o których rozmawiamy – a nie tylko o nich mówimy.

W Polsce zdecydowanie za mało jest wypowiedzi przedstawicieli nierosyjskich narodów Rosji. Mało o nich wiemy, szczególnie o ich historii przed panowaniem rosyjskim. Zamiast dobrej analizy mamy proste hasła. Jak Kaukaz Północny – to Kadyrow. Ale już informacji o rządzie Iczkerii na obczyźnie, Zakajewie, batalionach walczących po stronie ukraińskiej złożonych z ludzi z Kaukazu Północnego jest jak na lekarstwo. Jeszcze gorzej jest z Powołżem, gdzie mieszka najwięcej nie-Rosjan, przede wszystkim Tatarów kazańskich czy Baszkirów.

A obraz Tatarów jako totalitarnych zamordystów i Rosji jako tatarskiej despotcji to kolejny polski fantazmat. Świadczy o tym, jak wątpliwa jest ta nasza rzekomo świetna znajomość Wschodu. Inny sposób relatywizacji: spore grono intelektualistów, apelując, żeby walczyć z nienawiścią do Rosjan, uważa, że do Ukrainy są posyłani nie-Rosjanie, że tam walczą Buriaci czy ludzie z Kaukazu. Co między wierszami sugeruje, że to oni tak naprawdę popełniają zbrodnie. Ale przecież nie-Rosjanie stanowią mniejszość wśród agresorów, a wśród dowódców dominują etniczni Rosjanie. Czego zresztą sami Rosjanie nie chcą dostrzegać.

Często opisując te niesłowiańskie narody Federacji Rosyjskiej, posługujemy się rosyjskimi kalkami. Vide słynne dowcipy o Czukczach...

No to spełniając pana postulat, „w większości” Rosja to kraj europejski czy azjatycki?

– I znów wpadamy w pułapkę wielkich kwantyfikatorów. Japonia to Azja i Jemen to Azja. Dlatego odpowiem, że Rosja to kraj, który ze względu na swoją historię i położenie ma w sobie elementy kultur i europejskich, i azjatyckich. Ale jednak znacznie bardziej powiązany jest z Europą niż z Azją. Jeśli chcemy się bawić w popularne w Polsce teorie, które łączą cywilizację z religią, to chrześcijaństwo na Rosję oddziaływało znacznie bardziej niż islam czy buddyzm. Stąd prze-

Jedynym regionem, gdzie ewidentnie Rosjanie są w mniejszości, jest Kaukaz Północny. Tylko czy odłączenie kilku małych republik, gdzie mieszka nieco ponad 5 proc. populacji kraju, można nazywać jego rozpadem?

Czyli przydałby się w polskich mediach nie znowu Wiktor Jerofiejew, tylko jakiś pisarz z Kaukazu Północnego na przykład?

– Właśnie. Jest sporo ludzi w Rosji, którzy są wybitnymi pisarzami, reżyserami czy aktorami i krytykami władzy, jednocześnie nie będąc etnicznymi Rosjanami. Ale też nie jest tak, że ten „autochton”, jak już pojawi się w debacie, to z definicji ma nad nami przewagę tylko dlatego, że jest „autochtonem”. Trzeba z tym uważać, bo potem zaczynamy orientalizowanego traktować trochę jak dziecko specjalnej troski.

Przypadek rosyjski tłumaczy się czasami w Polsce „mrocznymi” historiami o okrutnym jarzmie tatarskim, najeździe Mongołów, stawiając Rosjan w roli ofiar bez niuansowania historii. Paradoksalnie, przez to nadal nie traktuje się ich poważnie, a dzisiaj nawet relatywizuje się ich zbrodnie. Robią straszne rzeczy w Ukrainie rzekomo dlatego, że ponad 500 lat temu byli kilkanaście dekad pod władzą Tatarów.

chylenie w stronę Europy, bo od około tysiąca lat zdecydowana większość mieszkańców tego kontynentu jest chrześcijanami.

Wiadomo, że aktualna sytuacja mocno wpływa na nasze postrzeganie tego tematu, ale jestem w stanie sobie wyobrazić Rosję jako taką Turcję z czasów, kiedy Erdogan dążył do członkostwa w Unii Europejskiej.

Nie ma pan wrażenia, że w Polsce Rosję orientalizujemy, żeby sobie poprawić humor? Myślimy o niej jako o Wschodzie, żebyśmy sami na jej tle byli bardziej zachodni?

– O tym pisała już Maria Janion, później Przemysław Czapliński. Tworzymy sobie fantazmat Rosji, w którym zmienia się w prosty i niezmienny monolit, a potem się zajmujemy nim, a nie rzeczywistą Rosją.

Nasz polski stosunek do Rosji to połączenie poczucia wyższości z kompleksem niższości. Jeśli chcemy się pokazać w dobrym świetle na Zachodzie, to mówimy: może u nas nie jest najlepiej, ale w Rosji jest zde-

cydowanie gorzej. A następnie zaczynamy opowieść, że to my wzięliśmy na siebie misję obrony Europy przed „azjatycką” Rosją i Turcją, dzięki czemu wy, na Zachodzie, mogliście się rozwijać. To dlatego teraz tak często mówi się o Polsce jako o państwie frontowym. A to mocno naciągana teza.

Przecież nim jesteśmy.

– Jasne, graniczymy z Rosją i Białorusią, państwami wrogimi. Ale linia frontu prawdziwej wojny przebiega blisko 1200 km od naszej granicy. To Ukraina jest krajem frontowym. Tymczasem w Polsce cały czas pojawiają się nieświadome sformułowania traktujące Ukrainę jak przedmiot. Na przykład zdanie, że wojna toczy się „za naszą wschodnią granicą”.

Siebie samych natomiast definiujemy jako kraj leżący od wieków między dwiema potęgami: Rosją i Niemcami, a to przecież nieprawda. Nawet jeśli przyjmniemy, że Niemcy są po prostu kontynuatorami Prus, to pruska potęga zaczyna się dopiero w połowie XVIII w. No i mówiąc o Polsce położonej od tysiąca lat między Niemcami i Rosją, pośrednio stawiamy znak równości między Rosją i Rusią Kijowską, tak jak robi to Moskwa.

Ale Polska nie radzi sobie nie tylko z Rosją. Z Zachodem też mamy problem. Alter ego orientalizmu jest okcydentalizm. To przypadek Polski – fobie i uprzedzenia dotyczące Zachodu. Przecież PiS opowiada, że prawdziwy Zachód to my – ten, który dzisiaj istnieje, zdradził swoje korzenie chrześcijańskie. Z kolei po stronie opozycji mamy idealizację Zachodu.

Albo jego fetysz.

– Rzadko zastanawiamy się, co to w ogóle znaczy – być Zachodem? Samoświadomy Zachód wie, że jego dziedzictwo to nie tylko demokracja, ale też imperializm, faszyzm, komunizm i ludobójstwa. Plus przyznaje, że kultury nieustannie się przenikają. Taki przykład z naszego podwórka: kiedy w 2014 r. wybuchła afera taśmowa, zaczęto mówić, że została napisana obcym alfabetem. Od razu wiadomo, że chodziło o cyrylicę, co rzekomo równe jest Rosji. Tylko że cyrylicy w większości wcale nie używają Rosjanie, no i ten alfabet to jest również nasze polskie dziedzictwo, choćby prawosławne czy greckokatolickie.

Potrzebna nam weryfikacja podstawowych założeń, na których się opieramy. Od lat mówimy na przykład, że Rosja jest imperium, bez zastanowienia się, czy tak rzeczywiście dalej jest.

Senator John McCain powiedział kiedyś, że nie jest imperium, tylko stacją benzynową.

– To też akurat popadanie w skrajność, bo jednak Rosja ma arsenał atomowy. Ale trzeba sobie zadać pytanie, czy kraj z populacją jak jeden stan Indii, z gospodarką wielokrotnie mniejszą od Chin czy USA, można jeszcze nazywać imperium?

Innym mitem jest wieloetniczność Rosji – nawet jeśli wrzucić Baszkirów z Tatarami do jednego worka, to stanowiliby drugą największą grupę – raptem 5 proc. obywateli kraju. Ponad 15 razy mniej niż etnicznych Rosjan. Pozostałe narody są znacznie mniejsze i rozproszone. Rosja Putina pod względem struktury etnicznej to nie ZSRR ani carska Rosja sprzed rewolucji. Niektóre wizje zakładają, że jako „więzienie narodów” Rosja zaraz się rozpadnie. Ale na co miałaby się rozpaść, skoro w zdecydowanej większości mieszkają w niej etniczni Rosjanie i nie wiadać u nich dążeń separatystycznych?

Jedynym regionem, gdzie ewidentnie Rosjanie są w mniejszości, jest Kaukaz Północny. Jego odłączenie się jest prawdopodobne w razie poważnego kryzysu. Tylko czy odłączenie kilku małych republik, gdzie mieszka nieco ponad 5 proc. populacji kraju, można nazywać jego rozpadem?

A Putinowi zależy, żeby nie był orientalizowany? Jest teoria, że potrzebuje Ukrainy, żeby uzasadnić europejskość Rosji. Bo jak odciąć dziedzictwo Rusi

Kijowskiej, zostaje małe Księstwo Moskiewskie, a reszta to Azja.

– O Jezu... Po kolei. Dziedzictwo Rusi Kijowskiej to nie tylko Kijów, europejskość Rusi Kijowskiej to nie tylko Ukraina, a Rosja to nie tylko Moskwa i Azja. Można robić grafiki i wrzucać je do internetu, pokazywać, że w 988 r. w Kijowie było duże miasto, a w Moskwie las, ale także w okolicach Moskwy powstały inne ważne miasta, jak Włodzimierz, Suzdał czy Twer. Była też gigantyczna Republika Nowogrodu Wielkiego, która handlowała ze Skandynawią, Niemcami, Flandrią. Nawet Wielkie Księstwo Litewskie może być częścią alternatywnej tożsamości Rosji – w tym sensie, że spora część dzisiejszej zamieszkałej europejskiej części Rosji to była kiedyś Litwa. A bardzo duża część rosyjskich elit pochodziła z Ukrainy i Białorusi, nawet z Polski. Ci ludzie mieli wkład w modernizację Rosji, transfer idei z Zachodu i w... budowę imperium.

Między Rzeczpospolitą i Rosją też nie było jakiegoś muru chińskiego, cywilizacyjnego uskoku jak u Huntingtona. A do tego częścią historii Rosji, ale też Ukrainy i Polski jest dziedzictwo Wielkiego Stepu i tamtejszych ludów koczowniczych.

No ale czy Putin czasem właśnie od tego nie ucieka?

– Miota się. Cały czas opowiada o ruskim mirze, że Rosjanie i Ukraińcy to jeden naród. Gdybym był na przykład Tatarem kazańskim, tobym się zdenerwował, bo Putin mi z jednej strony mówi, że Rosja od wieków jest rzekomo prawdziwym multikulturalnym rajem, a z drugiej strony opowiada mi o jednym narodzie ruskim, który jest słowiański i prawosławny. To gdzie w tym miejsce dla mnie?

Słyszymy z Rosji: jesteśmy potężnym graczem, to myśmy wygrali II wojnę światową i pokonali Napoleona. Od zawsze walczyliśmy z Zachodem. Ale w rzeczywistości Rosja od kilku wieków jest częścią europejskiego koncertu mocarstw, walczyła w wielu wojnach jako część układanki europejskiej, wchodziła w szersze sojusze.

Rosja przegrywała właśnie wtedy, kiedy walczyła sama i była zbyt pewna siebie. A te klęski pociągały ruchy tektoniczne w samej Rosji. Kiedy Rosja wywołała wojnę krymską z Turcją, to skończyło się to klęską, wręcz upokorzeniem, bo przeciwko sobie miała między innymi Francję i Wielką Brytanię – i w efekcie nowy car Aleksander II rozpoczął reformy. Przegrana z Japonią rozpoczęła rewolucję 1905 r. A porażka w Afganistanie była jedną z przyczyn rozpadu Związku Radzieckiego.

To jaka przyszłość czeka Rosję po tej wojnie?

– Nie mamy co liczyć, że powstanie tam druga Szwecja. Ale nie musi. Wystarczy, żeby to był kraj częściowo wolny, przewidywalny, współpracujący z Zachodem. Oczywiście wiadomo, że Chińczycy nie będą siedzieć i patrzeć z założonymi rękami na to, co będzie się dziać w Rosji.

Od dawna nie siedzą.

– Pewnie. Natomiast mamy jako Zachód mocne argumenty. Rosja, jeśli nie chce zostać chińskim wasalem, musi odpowiedzieć sobie na fundamentalne pytanie: czy bliżej jej kulturowo do Zachodu, czy do Chin, i kto będzie ją traktował bardziej partnersko. Odpowiedź jest oczywista: Zachód. Dlatego w Polsce trzeba się zastanowić nad naszymi opowieściami o azjatyckiej Rosji, tatarskiej despotcji.

Oczywiście totalnego zerwania z dziedzictwem mocarstwowym w Rosji nigdy nie będzie – proszę spojrzeć na Francję, gdzie spora część społeczeństwa ma nadal do francuskiego kolonializmu stosunek afirmacyjny, a Paryż od dekolonizacji lat 60. przeprowadził ponad 50 interwencji militarnych w Afryce, wspierając czasami naprawdę strasznych zbrodniarzy. Ale jednocześnie niemal nikt we Francji nie mówi o odbudowie imperium, wielu Francuzów przeprasza za niektóre zbrodnie z czasów

kolonialnych. W przypadku Rosji taki scenariusz to już by był wielki postęp.

Jest pan optymistą.

– Mam nadzieję, i nie jest ona bezpodstawna, bo od początku XX w. widzieliśmy bardzo różne Rosje. Inna była Rosja Stalina, inna Jelcyna.

Każdemu Rosjaninowi dzisiaj powiedziałbym, żeby porównał sobie, jakie PKB per capita ma Portugalia, a jakie Rosja. A potem zapytałbym, czy wie, że przed I wojną światową Rosjanin był znacznie bogatszy od Portugalczyka. Co więc dał ten sowiecki i putinowski imperializm?

Oczywiście może się okazać, że po wojnie Rosją będzie rządzić nawet bardziej nacjonalistyczny, agresywny, totalitarny reżim. Ale nie będzie już mógł kąsać tak mocno – osłabia go sankcje, wpływy Chin i wielkie straty armii podczas wojny z Ukrainą.

Alternatywy dla Putina nie napawają optymizmem, bo Nawalny też jakimś specjalnym antyimperialistą nie jest.

– Oczywiście, po wyjściu z więzienia po jakimś czasie może się okazać autorytarnym rosyjskim nacjonalistą. Jednak jego biografia z ostatnich kilku lat wskazuje na ewolucję i niewykluczone, że będzie dążył do pozytywnej zmiany w Rosji.

Imperializm w wersji soft?

– Coś jeszcze bardziej łagodnego, bardziej przewidywalnego. Mocarstwo regionalne, ale otwarte na współpracę z Zachodem. A kluczowe będzie to, że on nie chce być wasalem Chin. A więc będzie musiał poprawić relacje z Zachodem, nie ma innej opcji. A Zachód musi wówczas położyć nacisk na demokratyzację, przynajmniej częściową, jako warunek współpracy.

Co z samym Putinem w dyskursie? Czy jego mogą sobie orientalizować? Pan wobec określenia „putinizacja” jest bardzo krytyczny. A ja się zastanawiam, czy to orientalizm, czy po prostu najbliższy kulturowo i geograficznie wzór despoty? Chyba naturalne jest, że mówimy o putinizacji, a nie pinochetyzacji Polski.

– Rozumiem, że publicystyka rządzi się własnymi prawami i czasami się przesadza, żeby ludziom coś uświadomić. Tylko że celem mediów powinno być zrozumienie i opisanie rzeczywistości.

Jestem krytyczny wobec putinizacji w polskim kontekście, bo reżim Putina wywołał wojnę, popełnia masowe zbrodnie wojenne, zmienia kraj z autorytarnego w totalitarny. Polskim władzom do tego bardzo daleko, choć można szukać pewnych podobieństw pomiędzy dzisiejszą Polską i sytuacją w Rosji ponad 20 lat temu.

A Budapeszt w Warszawie? Jak używam tego hasła, to nie czuję, żebym orientalizował Węgry, tylko się boję, że ktoś mi tu przyjdzie i robi państwo mafijne – takie jak przez ostatnie 10 lat na Węgrzech zrobił Orbán.

– I to jest dobre porównanie, bo Węgry są znacznie bardziej podobne do nas niż Rosja. Choć Rosja jest dla Orbána miejscami źródłem inspiracji.

Orbán putinizuje Węgry?

– Raczej przejmuje pewne elementy z rosyjskiego reżimu. Węgry to cały czas kraj, który w rankingu Freedom House jest klasyfikowany jako częściowo wolny.

Ale zabił wolne media.

– Jeszcze niecałkowicie. Bardzo poważnie zranił.

Zlikwidował wolność akademicką.

– Bardzo ograniczył.

Żeby nie wyszło, że relatywizuję – dlatego właśnie mówię o elementach. Niszczy media, ale nie zabija dziennikarzy. Zwalcza opozycję, ale na Węgrzech nie ma Nawalnego w więzieniu. PiS stara się Węgry dogonić, ale na razie w Budapeszcie jest znacznie gorzej niż w Warszawie.

Inna sprawa, że my w Polsce Węgrów też zaczynamy tłumaczyć przez pryzmat orientalizmu. Nagle się okazuje, że są tacy antydemokratyczni, bo jedenaście wieków temu podbili Europę Środkową jako koczownicy z Wielkiego Stepu. Tak jakby później już nie było tysiąca lat historii Węgier z całą swoją złożonością. I jakby bycie koczownikiem było jakimś grzechem śmiertelnym.

To skoro zeszliśmy na sprawę polską – kolejna rzecz, która się panu nie podoba: katotaliban, PiS i szariat.

– Nie podoba mi się.

Czyli o Ordo Iuris jako katotalibach nie mogą powiedzieć, tak?

– Może pan, przecież panu nie zabronię.

Ale mówi pan, że to niewłaściwe.

– Tak. Bo, po pierwsze, o co w takim określeniu chodzi? Czy chcemy zrozumieć zjawisko, jakim jest Ordo Iuris? Jeśli tak, to powinniśmy badać, z kim oni się przyjażnią, kto im płaci i kto ich inspirowuje. Wtedy nam wyjdzie, że jednak są to najróżniejsze środowiska fundamentalistyczne, ale chrześcijańskie.

Kościół neoprotestanckie z południa USA i Rosja.

– A także organizacje z innych krajów chrześcijańskich, na przykład z Ameryki Łacińskiej. Oczywiście rozumiem, że posługujący się etykietką „szariat” o tym wiedzą i szukają nośnego, wyrazistego porównania z obskuranckim religijnym reżimem – ale wzmacnia szkodliwe stereotypy, o których zwalczanie apelują częstokroć ci sami ludzie, tylko w innym miejscu i kontekście, na przykład uchodźców i migrantów.

Bo przecież, owszem, w islamie jest mniejszy rozdział religii od państwa niż u nas, ale w Polsce dominuje przekonanie, że w ogóle go nie ma, że wszystkie kraje muzułmańskie oparte są na szariacie, i to w tym samym stopniu, a to nieprawda. Mówiąc „katotalibowie”, „pislam”, kultuwujemy przekonanie, że społeczeństwa muzułmańskie są tożsame z fundamentalizmem.

Jeśli chcemy porównywać PiS z muzułmańskimi politykami, to nie mam problemu z tym, żeby ktoś przyjrzał się uważnie ideologii AKP, partii Erdogana. Tam widać podobieństwa. Są wypowiedzi Erdogana i Kaczyńskiego, w których nazwiska moglibyśmy zetrzeć gumką i nie byłoby wiadomo, kto jest autorem. Tylko nie zapomnijmy, że Turcja jest reżimem hybrydowym znacznie bardziej represyjnym niż Węgry.

Albo często w kontekście praw kobiet przywołujemy Iran. I słusznie, widzieliśmy, co działo się z dziewczynami, kobietami, które ostatnio postawiły się policji religijnej. Ale na przykład w sprawie aborcji prawodawstwo irańskie jest bardziej liberalne niż polskie. Liczba legalnych aborcji jest zdecydowanie wyższa niż u nas. Jak chcemy znaleźć przykład ekstremizmu w obszarze prawa aborcyjnego, to przejdź w Ameryce Centralnej czy Afryce – ale to są kraje chrześcijańskie.

Ale na ogólnym poziomie chyba chodzi o to samo. Mówiąc o szariacie i Ordo Iuris, o zakazywaniu rozwodów i Czarnku, który chce podległości żon wobec mężów, mówimy o odrzuceniu sprawczości kobiet, o przeniesieniu normy religijnej na normę prawną.

– Tylko oni nie chcieliby wprowadzić niczego, co nie było kiedyś normą w krajach chrześcijańskich. Do ostatnich dekad XX w. prawodawstwo rodzinne mocno niekorzystne dla kobiet istniało w wielu krajach europejskich. To naprawdę całkiem niedawno. Ordo Iuris w najróżniejszych sprawach chce powrotu do Europy sprzed rewolty 1968 r. Jeśli chcemy zrozumieć polskie problemy z demokracją, lepiej nam pójdzie, gdy poszukamy źródeł w nas samych, a nie na Bliskim Wschodzie czy w Rosji.

Putinizacja Polski – nie. Katotaliban – nie. Ale już Polska jako kolonizator Ukrainy tak?

– Też nie.

Dlaczego nie? A polscy magnaci, a pogarda szlachty sejmowej wobec Kozaków rejestrowych, a książ Jarema...

– W polskiej debacie publicznej jest tendencja, żeby popadać od skrajności w skrajność, więc z jednej strony opowiadamy sobie baśnie, trochę jak z tej putinowskiej opowieści o Rosji, że Polska była multikulturalnym rajem na ziemi, w którym wszyscy żyli we wspólnym domu, a my, etniczni Polacy, nieśliśmy kaganek oświaty. A druga opowieść zakłada, że Polacy zamienili Ukrainę w Karaiby i zbudowali system niewolniczy. Oba podejścia są czarno-białe. Na pewno w relacjach Polski z krajami wschodnimi, z Ukrainą na czele, są elementy kolonialne.

Śmiesz mnie, jak ktoś mówi, że teorie kolonializmu są nie do zastosowania w Europie. Jest wielki dorobek badawczy pokazujący różne miejsca naszego kontynentu jako relacje co najmniej częściowo kolonialne – na przykład studia nad doświadczeniem irlandzkim pod panowaniem brytyjskim, pokazujące, jak jakieś rozwiązania zastosowane w Irlandii przeniesiono gdzieś dalej w ramach imperium albo odwrotnie. Są publikacje o elementach kolonialnych w imperium osmańskim, w carskiej Rosji czy Austro-Węgrzech. Nie twierdzmy więc, że w Polsce tego zupełnie nie mogło być. Jasne, mieliśmy swoją specyfikę, dlatego mam zastrzeżenia, żeby powiedzieć po prostu „kolonializm”, ale elementy kolonialne – już tak.

Niestety, liczni polscy naukowcy, którzy się zajmują Europą Wschodnią, niemal nic nie wiedzą o doświadczeniach kolonialnych w różnych okresach i miejscach na świecie. Nie potrafia powiedzieć, czym się różnił kolonializm portugalski od brytyjskiego, francuski od hiszpańskiego. Jak każdy z nich się zmieniał i wyglądał inaczej w różnych miejscach.

Podstawowy problem to fakt, że dla zdecydowanej większości Polaków nasi przodkowie to wyłącznie bohaterowie i ofiary. Nie da się długoterminowo budować relacji z Ukraińcami bez szerszej rozmowy o naszej wspólnej historii niż tylko o Wołyniu i polskich „grzechach”. Ale opowieść, że tu były wyłącznie piekło i niewolnictwo, też nigdzie nas nie doprowadzi. Są istotne różnice między pańszczyzną a niewolnictwem, wystarczy się rozejrzeć po naszej części Europy – w gospodarstwach rumuńskich jeszcze w połowie XIX w. sytuacja Cyganów była znacznie gorsza niż chłopów pańszczyźnianych i jeśli o kimś można powiedzieć, że byli niewolnikami, to o nich.

Część polskiej lewicy pewnie się obrazi za to niuansowanie, bo sporo osób uważa, że chłop pańszczyźniany był tak naprawdę niewolnikiem.

– Można mówić o półniewolnikach.

Równocześnie powinniśmy sobie uświadomić, że Ukraińcy też na nas mocno wpływali, nie tylko my na nich. Najnowsze zagraniczne publikacje z zakresu studiów postkolonialnych coraz bardziej pokazują, że mamy kolonizatora i kolonizowanego, ale wpływy są wzajemne, choć asymetryczne. Jeśli będziemy opowiadać o historii polsko-ukraińskiej tylko przez pryzmat absolutnej polskiej dominacji, to nie zauważymy oddziaływania Ukraińców na nas. ●

***Adam Balcer**

• dyrektor programowy w Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego, autor książek, raportów i artykułów poświęconych tematyce wschodniej. Prowadzi podcast historyczny TOK FM „Babel. Rzeczpospolita Multi-Kulti”. Właśnie ukazał się jego raport „Na Wschodzie bez zmian? Orientalizacja we współczesnej Polsce” (KEW przy wsparciu biura warszawskiego Fundacji Heinricha Bölla)

Adam Michnik poleca. Kontynenty Władimira Maksimowa

FOT. IMAGO/EASTNEWS



Grzegorz Przebinda*

Lnanemu szeroko jeszcze 30 lat temu w wolnej Europie rosyjskiemu pisarzowi i redaktorowi na emigracji Władimirowi Maksimowowi (1930–95) nierzadko zarzucano, że jest manichejski i apokaliptyczny, nie zna półtonów. Replikował, identycznie jak starzec Zosima w „Braciach Karamazow”, że postawa „Obyś był zimny albo gorący!” (Apokalipsa św. Jana 3,15) wynika z głębi chrześcijaństwa, które nie jest „letnie”, bo „letniość to diabeł”.

Gustaw Herling-Grudziński, przyjaźniący się z Maksimowem w Paryżu przez długie 20 lat (1974–95), opublikował w „Kulturze” po jego śmierci esej „Pożegnanie przyjaciela Moskale”.

Herling już w 1963 r. napisał solidny wstęp do wydanej przez Jerzego Giedroycia książki „We własnych oczach: antologia współczesnej literatury sowieckiej”, dokąd weszło wczesne opowiadanie Maksimowa „Żywoł człowieka”, o wykołojonym synu aresztowanego wroga ludu, opublikowane rok wcześniej w Moskwie, i to w neostalinowskim miesięczniku „Oktiabr”.

Jednak przez poszukującego „innej Rosji” autora „Innego świata” zostało uznane za utwór wartościowy, podobnie jak obecna w antologii, też wydana w ZSRR, w moskiewskim liberalnym jeszcze „Nowym Mirze” za późnego Chruszczowa (1963), „Zagroda Matryony” Solżenicyna.

RODZINNA AZJA

Herling nie mógł wtedy wiedzieć, że Maksimow nazywał się naprawdę Lew Samsonow, na świat przyszedł w 1930 r. w rodzinie robotniczej w Moskwie, a pierwotne imię otrzymał od ojca trockisty na cześć samego Lwa Trockiego. Ojciec małego Lowy wrócił z kolejnego łagru w grudniu 1939 r., a od czerwca 1941 był już na froncie, gdzie zaraz zginął.

Matka ledwo tolerowała jedyne go syna, o czym sam Maksimow napisze z goryczą w beletryzowanej autobiografii „Pożegnanie znikąd” (1982): „Zaczadzona sodo ma ich komunalnej kuchni, moralne pouczenia matki, których miał już po uszy, wrogość ciotki – wszystko to wywoływało w nim ostry atak obrzydzenia i mdłości”.

Gdy w 1939 r. umarła starsza siostra Nina, dziewięcioletni Losza usłyszał od mamy w rodzinnych moskiewskich Sokolnikach: „Dlaczego nie ty, ale ona? Po co ty w ogóle żyjesz?”. Po latach konstato wał z sarkazmem: „W jej smutku czuć było autentyzm, słychać było szczerłość, może i pierwszy raz w życiu”.

W wywiadach na emigracji Maksimow lubił podkreślać, że do ucieczki z domu na kłoniła go lektura opowiadań wczesnego Gorkiego o młodych włóczęgach w schyłkowej Rosji carskiej. Ale z „Pożegnania

A CZY CI PANA BOHATEROWIE ZDOBYLIBY BERLIN

Gdyby nawet narodziło się tutaj i stu Szekspirów,
rację będą zawsze mieli ci, co układają prawa, a nie wiersze

znikąd” (cz. 1: „Niezapomniane wino grzechu”) wynika, że główną rolę odegrała jednak „Historia mego życia” Aleksieja Swirskiego (1865-1942), pisarza z ubogiej rodziny żydowskiej. On też jako dziecko tułał się po przytułkach, spelunkach i więzieniach, harował w kopalniach Doniecka, w rafineriach w Baku, na plantacjach winogron i tytoniu Kaukazu i Besarabii (dziś Moldawia).

Tymczasem podrostek Lew Aleksiejewicz Samsonow podczas dziecięcych lat spędził w Baku, na plantacjach winogron i tytoniu Kaukazu i Besarabii (dziś Moldawia).

Tymczasem podrostek Lew Aleksiejewicz Samsonow podczas dziecięcych lat spędził w Baku, na plantacjach winogron i tytoniu Kaukazu i Besarabii (dziś Moldawia).

Na długim – i przestrzennie, i czasowo – szlaku podróży były kolejne domy dziecka, kolejne ucieczki i milicyjne łaziki, ale latem 1945 r. moskiewski włóczęga zdołał dotrzeć na Kaukaz Południowy. Najpierw do zachodniej Gruzji z herbacianym miastem Batumi nad Morzem Czarnym, potem do środkowego Kutaishi i jeszcze dalej na wschód – do Tbilisi. Następnie podążył do Baku w Azerbejdżanie nad Morzem Kaspijskim i wreszcie do Azji Środkowej.

Po drodze był kosiarzem, tragarzem, murarzem, pastuchem, szoferem bez prawa jazdy. W „Pożegnaniu znikąd” wspomina z nostalgią bazyry Batumi, tamtejsze „sojowe racuszki”, „kulinarne królestwo fasoli i kukurydzy”, a nawet „zgniliznę owoców”, których pochłonął taką ilość, że w sterylnym Paryżu lat 70. można by nimi wytruć całą dzielnicę.

(Ja zaś dobrze pamiętam, że gdy już w pamiętnym dla mnie lutym 1987 r. zostałem zaproszony przez Władimira Jemielianowicza do francuskiej tawerny, obok jego domu przy 11 bis Rue Lauriston, to gdy po raz pierwszy w życiu kosztowałem krewetek i uszonych fig, gospodarz powiedział z rzadkim u niego uśmiechem, że on sam zniechęcił się do owoców jako przyrządku „suchy prowiant” podczas tamtych peregrynacji).

W Azji Środkowej ponownie trafił do dziecięcej kolonii karnej, po otrzymaniu solidnego wyroku siedmiu lat za kradzież jakiegoś pędu, ale ostatecznie spędził za drutami tylko osiem miesięcy plus jeszcze sześć w więziennym lazarecie. A w 1951 r. zgłosił się na wyprawę na Północ w roli poszukiwacza diamentów na półwyspie Tajmyr.

PRZEZ KUBAŃ ZNOWU DO MOSKWY

W 1952 r. przeniósł się do jednej ze stanic na Kubaniu, gdzie zadebiutował jako poeta kolchozowy w gazetach w Krasnodarze. W 1956 r. wydał w Czerkiesku 60-stronicowy tomik sztamkowych wierszy i poematów „Pokolenie na warcie”, wzbogacony podobnymi tłumaczeniami nierosyjskich poetów ZSRR.

W 1980 r. – już na swoje 50-lecie – wyzna w kierowanym przez siebie na emigracji kwartalniku „Kontinent” (niczym nawrócony, wcześniej proletariacki poeta Iwan Bezdomny w „Mistrzu i Małgorzacie”): „Od dzieciństwa chciałem zostać pisarzem, niczego in-

nego sobie nie wyobrażałem. Pisałem kiedyś wiersze, zaczynałem jako poeta. To zresztą jedyne, czego się wyrzekłem. Złe wiersze pisałem”.

Maksimow lubił w późniejszych latach podkreślać, że w okresie wędrówek dokonała się w nim ewolucja ideowa odwrotna do tej, jaką przeżył Gorki. Gdy tamten ugruntuwał w sobie przez lata bosych tułaczek światopogląd radykalnie ateistyczny, Samsonow przerodzony w Maksimowa pozostał już na zawsze przy religii.

Od 1956 r. znowu mieszkał w Moskwie, w obskurnym mieszkaniu komunalnym w Sokolnikach, a dzięki wstawiennictwu świeżo poznanego Okudźawy opublikował u Konstantina Paustowskiego w głośnym wówczas i właściwie półlegalnym almanachu „Tarusskije Stranicy” opowiadanie „Zagospodarowujemy ziemię” (1962).

Jednak z utworem wcześniejszym – znanym nam już z antologii Giedroycia „Żywotem człowieka” – musiał tułać się po moskiewskich redakcjach. Bywał bez powodzenia w „Junosti” u Walentina Katajewa i nawet Aleksander Twardowski w liberalnym „Nowym Mirze” odmówił mu takimi słowami: „Jest pan bez wątpienia utalentowany, nawet bardzo, a mówię to naprawdę rzadko komu. Ale zgodzi się pan, że pańscy bohaterowie snują się na uboczu życia, a nie w jego głównym nurcie, są odpadami epoki. Czy tacy ludzie mogliby zdobyć Berlin?”.

Twardowskiego nie ma co potępiać, bo był on wtedy zajęty publikacją w „Nowym Mirze” w listopadzie 1962 r. słynnego niebawem na cały świat „Jednego dnia Iwana Denisowicza” Solżenicyna.

W drugiej części „Pożegnania znikąd” („Czara gniewu”) znajduje się smakowita opowieść, w jaki sposób doszło do publikacji tego odrzuconego w „Nowym Mirze”, w miesięczniku „Znamia”, „Junosti” (ta opublikowała fragmencik...) „Żywota człowieka”.

Rękopis, krążąc po ludziach, trafił w końcu do reakcyjnego miesięcznika „Oktiabr”, dowodzonego przez neostalinistę Wsiewołoda Koczetowa. Ten zaprosił znanego w Moskwie autora do redakcji i zainicjował dialog niczym z nieznaną mu oczywiście „Powieści teatralnej” Bulhakowa:

„– U Twardowskiego byliście? – Byłem. – Zadatek dali? – Dali. – Wydrukowali? – Nie. – U Katajewa? – Byłem. – Zadatek dali? – Dali. – Wydrukowali? – Nie. – A ja zadatku nie dam, finansowo jesteśmy na zero, tylko wydrukuję”.

Utwór Maksimowa ukazał się także w 1964 r. w PRL-u, i to pod lepszym niż u Giedroycia tytułem – „A człowiek żyje”.

Koczetow, który opublikował ten utwór, znał autora jako niedawną jeszcze „grozę tajgi i tundry” (z „Czary gniewu”), ale także jako producenta wierszy kolchozowych. Dlatego liczył, że uda mu się stopniowo uczynić z Maksimowa pisarza całkowicie partyjnego.

Ten na początku nawet się sprawdził. Gdy bowiem Chruszczow 1 grudnia 1962 r. w moskiewskim Maneżu zwyzywał awangardowych artystów od pederastów i darmozjadów, to autor „A człowiek żyje” ogłosił w miesięczniku „Oktiabr” uznanie dla niego za jego „sprawiedliwą i pryncypialną krytykę formalizmu”.

Rok później przyjęli go do Związku Pisarzy, przez parę następnych lat współpracował z „Oktiabrem” już jako najemny dziennikarz, a właściwie – wyrobnik. W latach 1967-68 był nawet przez niecały rok członkiem redakcji, ale wystąpił stamtąd, jak potem pisał już na emigracji, w proteście przeciw agresji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację.

Była to również konsekwencja jego narastającej religijności, którą objawiał coraz silniej w nowych utworach prozą – „Ballada o Sawie” (1963), „Droga” (1966), „W stronę horyzontu” (1967). I wreszcie w maju 1968 r. podpisał, m.in. wespół z Lidią Czukowską, Lwem Kopielewem, Bellą Achmaduliną, Władimirem Wojnowiczem, list w obronie sądzonych za działalność antyradziecką Aleksandra Ginzburga, Jurija Gałanskowa i Aleksieja Dobrowolskiego.

Dostał od razu pisemną naganę od sekretariatu Związku Pisarzy. A były to czasy niełatwe – na koniec roku 1969 władza szykowała nawet akt rehabilitacji Stalina w związku z 90. [oficjalna wersja] rocznicą jego urodzin. Sprzeciwiał się temu dziwnym trafem Michail Suslow, który wcześniej twar do poparł najazd na Czechosłowację, a w 1970 r. rozgromił liberalny „Nowy Mir”.

SIEDEM DNI STWORZENIA, W ÓSMYM EMIGRACJA

Artystycznym owocem peregrynacji, lektur i przemyśleń Maksimowa stała się opublikowana w 1971 r. na Zachodzie wielka saga rodzinna z ambicjami historiozoficznej epopei – „Siedem dni stworzenia”. Herling sprawiedliwie napisał, że „jest to jedna z najlepszych i najodważniejszych powieści epoki porewolucyjnej w Rosji”. Bo też Maksimow mierzył wysoko, przy czym nawiązywał intencjonalnie do krążącego w latach 60. „po samizdacie” poematu Achmatowej „Requiem”.

Tej wielkiej poetce za strasznych lat jeżowszczyzny więzili od 1939 r. syna Lwa i musiała wystawać jako matka w ponurych kolejkach do więzienia Kriesty w Leningradzie. Na zadane jej tam szepem pytanie („tam wszyscy mówili szepem”), czy wszystko to opisać, Achmatowa odpowiedziała „tak”: „A wtedy coś w rodzaju uśmiechu przemknęło po tym, co niegdyś było twarzą tej kobiety”.

U Maksimowa w podobnej oczekalni pewna „kobieta w berecie”, zbesztana przez sąsiadkę z ludu, że „nosi się w jedwabiach”, odpowiedziała skromnie: „Mieszkanie mi opiekowały. Nocuję po znajomych. A sukienka, co ją noszę, to moja jedyna. Kapitału żadnego nie mam. Poetką jestem. Układam wiersze”. „A o tym pani też może?” „Mogę”.

Inny bohater Maksimowa, aktor Chramow, któremu aresztowano Bogu ducha winną żonę, krzyczy, że gdyby nawet narodziło się tutaj i „stu Szekspirów”, rację będą zawsze mieli ci, co „układają prawa, a nie wiersze”:

„Mówię – odbierz jadło człowiekowi sytemu i sam się nasyć, przyodzianemu też odbierz ubranie, by samemu się odziać, odbierz władzę rządzącym i rządź sam. No i tłum odbiera, bo tłum w swym głodowym zaślepieniu nie wie, że chleba w świecie od tego nie przybędzie, przyodziewek też się sam nie uszyje, a władza nie uczyni się słodsza... Smierdiakowszczyzna załapała Rosję... Drogo dajcie jego wysokości Smierdiakowowi...”.

Pewnie i czytaliśmy po polsku z pasją w tamtych czasach ponadczasową sagę Maksimowa (która na Zachodzie, po przekładach w sumie na 20 języków, przyniosła pisarzowi sławę i pieniądze), gdyby na jej wydanie po polsku zdecydował się Giedroyc. Niestety redaktorowi „Kultury” powieść Maksimowa do gustu nie przypadła, a trzy grosze dorzucił pochopnie w marcu 1972 r. poproszony o opinię Miłosz: „Maksimowa czytać nie mogę, może się mylę, ale nudzi mnie”.

Gdy w lutym 1987 r. przeprowadzałem w Paryżu w redakcji „Russkiej Mysli” wywiad z Nataszą Gorbaniewską dla krakowskiej podziemnej „Arki”, zapytałem ją, co z wolnej literatury rosyjskiej należałoby jeszcze na polski przetłumaczyć, usłyszałem, że „Siedem dni stworzenia”: „Ta książka, jak żadna inna, tłumaczy nasze rosyjskie losy, pozwala zrozumieć nas, Rosjan, we wszystkich naszych dolach i niedolach, we wszystkim tym, dzięki czemu jesteśmy ludźmi”.

Za tę powieść i za opublikowaną w tym samym czasie na Zachodzie „Kwarantannę” Maksimow w 1973 r. został wyrzucony ze Związku Pisarzy. A 1 marca 1974 wyjechał za zgodą władz do Paryża, początkowo na 12 miesięcy. 31 stycznia 1975 r. Kreml pozbawił go obywatelstwa.

RODZINNA EUROPA

Latem 1974 r. Maksimow wyjeżdżał dwukrotnie do Zurychu na spotkania z Solżenicynem, aby omówić z nim ideę założenia antykomunistycznego pisma, mającego szansę na finansowanie przez niemieckiego magnata prasowego Axela Springera.

Autor „Archipelagu Gułag” zadawał sobie jednak pytanie, czy Maksimow jako redaktor będzie umiał bronić „linii rosyjskiej”. Wspominał w autobiografii „Wpadło ziarno między żarna” (opublikowanej w 1998 r.), że miał stuprocentową pewność, że pismo będzie „bezkompromisowe wobec komunizmu”, ale co do jego „obrony Rosji” – w tym pierwszej i drugiej emigracji z ZSRR, ruchu Białych, ludzi wywiezionych podczas wojny na roboty do Niemiec, jeńców wojennych – Solżenicyn żywił bardzo poważne wątpliwości:

„Akurat ROSYJSKIEJ linii pisma Maksimow nie utrzyma. Tak właśnie żartem mu powiedziałem: Nie liczę i nie nalegam na to, żeby pan bronił »Świętej Rusi«, ale przynajmniej niechże jej pan nie oczernia” (przeł. Jerzy Czech).

Nie mogąc jednak nie poprzeć „przedsięwzięcia bez wątpienia antybolszewickiego”, Solżenicyn podsunął Maksimowowi myśl, aby jego pismo „zjednoczyło siły całej Europy Wschodniej”, gdyż w moskiewskim KC najbardziej obawiali się „przyjacielskiego związku wschodnioeuropejskich emigracji”. „W takim też duchu posłałem potem życzenia do pierwszego numeru, wskazując kierunek nowego powstającego pismu. Samą nazwę też podpowiedziałem: »Kontinent«, bo [Andriej] Siniawski już namawiał Maksimowa, żeby zmałpować od Kafki »Proces«. Napisałem pismo polecające, o które Maksimow prosił, mógł się więc teraz zwrócić o pomoc do Springera”.

Z kolei Tatiana Maksimowa, wdowa po pisarzu, w tekście dla „Nowej Polisy” z 2006 r. – potwierdzając, że nazwę „Kontinent” podsunął Solżenicyn, może dla kontrastu z „Archipelagem”? – podkreślała, że pomyśl na podobne, łączące wschodnią Europę czasopismo, zrodził się w głowie jej męża jeszcze w ZSRR, choćby w rozmowach z Władimirem Bukowskim przed jego aresztowaniem w grudniu 1971 r. Natalia Gorbaniewska także uściślała, że Maksimow przedstawił jej plan pisma, które zjednoczyłoby całą wschodnioeuropejską opozycję i drukowało zarówno emigrantów, jak i autorów „samizdatu”, jeszcze w Moskwie przed emigracją.

Jakkolwiek było, w połowie lat 70. ta wschodnioeuropejska solidarność przeciwko komunizmowi bliska była zarówno Maksimowowi, jak i Solżeni-



• Okładki włoskiego i angielskiego wydania kwartalnika „Kontinent”
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

cynowi, a także Siniawskiemu. Solżenicyn poradził Maksimowowi, aby udał się po nauki i pomoc do polskiej „Kultury” w Paryżu, i Maksimow od razu to zrobił.

Giedroyc po spotkaniu napisał 11 czerwca 1974 r. w liście do Herlinga o Maksimowie: „Pierwszy, który uczciwie odpowiedział w sprawie ukraińskiej: »To ciężka i bolesna sprawa, ale jeśli Ukraińcy chcą, to musimy im oddać Kijów«. A Herling po latach, już podczas ostatniego spotkania z Maksimowem, usłyszał odeń w 1994 r. w Paryżu: „Nawet nie wiecie, wy z »Kultury«, ile wam zawdzięczamy”.

Maksimow będzie redagował paryski „Kontinient” przez 17 lat z okładem, od jesieni 1974 do początku 1992 r., gdy przekaze go już ostatecznie do Jelcynowskiej Moskwy.

ROSJO-MATKO, ROSJO-SUKO

Pierwszy duży konflikt w łonie emigracji rosyjskiej związany właśnie z „Kontinientem” wybuchł od razu po publikacji w pierwszym numerze eseju „Proces literacki w Rosji” Siniawskiego. Autor ten – skazany w lutym 1966 r. w ZSRR na siedem lat łagru w głośnym na cały świat „procesie Siniawskiego i Daniela” za publikację na Zachodzie swoich dzieł literackich i krytycznych – w roku 1973 został niespodziewanie wypuszczony za granicę. Teraz w „Procesie...” napisał o ojczyźnie z przepełnioną gorącością czułością wygnanego syna: „Rosjo-Matko, Rosjo-Suko, odpowiesz i za to kolejne wykarmione przez siebie i wyrzucone potem na śmietnik, ku hańbie, dziecko!”.

Tania Maksimowa wspominała: „Artykuł Siniawskiego napisany był z taką bolesną troską o Rosję... była tam fraza »Rosjo-Matko, Rosjo-Suko«. Ani Maksimow, ani ja czy nasi przyjaciele nie widzieliśmy w tym nic obraźliwego dla Rosji. Jednak Solżenicyn przyjął to jako obrazę”.

W sumie Maksimow wydał w Paryżu 71 numerów bogatego ideowo i materialnie pisma o orientacji humanistyczno-chrześcijańskiej – w duchu jednej solidarnej, demokratycznej Europy. Początkowo wychodziły także warianty pisma po francusku, angielsku, niemiecku.

W pierwszym rosyjskim numerze redaktor ogłosił cztery „prawdy wiary”: 1. religijny idealizm; 2. antytotalitaryzm; 3. demokracizm i 4. bezpartyjność, dodając do każdego punktu słowo „bezwarunkowy”. Na szczęście w punkcie pierwszym widniało ekumeniczne uściślenie o „stałym duchowym przymierzu z przedstawicielami innych wyznań”, a w punkcie drugim redaktor zapowiedział „walkę przeciwko wszelkim odgałęzieniom totalitaryzmu – marksistowskiemu, narodowemu, religijnemu”.

W komitecie redakcyjnym „Kontinientu” byli emigranci rosyjscy (Igor Goliomaztok, Siniawski, Naum Korżawin i Aleksander Galicz), wygnańcy polscy – Giedroyc, Józef Czapski i Herling, pisarze i historycy zachodni (Eugène Ionesco, Ignazio Silone, Robert Conquest), a także dwaj opozycyjni wobec komunizmu „krajowcy” – Milovan Djilas w Jugosławii i Andrzej Sacharow w ZSRR.

Ze ścisłej redakcji odszedł już w 1975 r. Siniawski, mimo że Maksimow uznawał

obecność u siebie tego katorżnika, który spędził sześć i pół roku za drutem kolczastym, za coś w rodzaju listu żelaznego dla „Kontinientu”.

Za konflikt między nimi Maksimow główną winą obarczył nie Siniawskiego, ale jego żonę Marię Rozanową, która chciała podobno zarządzać redakcją. Natomiast początkowa korespondencja Maksimowa z samym Siniawskim, tuż po jego odejściu z „Kontinientu”, była nadal bardzo przyjazna i pełna szacunku. Pamiętam, że gdy w 1987 r. spotykałem się po raz pierwszy z Maksimowem w Paryżu w redakcji „Kontinientu”, to z miejsca rzekł do mnie, jeszcze przecież młokosa, z zaciśniętymi ustami: „Ona mówi, że czeka, aż ja się powieszę!”.

Po 1975 r. pojawiali się w piśmie Maksimowa nowi ludzie – Wiktor Niekrasow jako zastępca naczelnego, Raymond Aron (ten bardziej jako widz niż uczestnik), Saul Bellow (laureat Nobla w 1976 r.), Arthur Koestler, autor „Ciemności w południe”, Josif Brodski (Nobel w 1987), emigrant Władimir Bukowski, niedawny więzień psychuszek, autor szeroko znanego dzieła „I powraca wiatr” o wykorzystywaniu psychiatrii w ZSRR do porachunków politycznych.

W roku 1976 w redakcji pojawiła się nowa emigrantka z Moskwy, dzielna i pracowita jak mrówka Natalia Gorbaniewska – też więźniarka psychuszki – którą Maksimow bardzo cenił za jej wyjście 25 sierpnia 1968 r., z garstką siedmiu innych strażników, na pl. Czerwony w Moskwie w proteście przeciw agresji na Czechosłowację.

W emigracyjnej „Arce dla nieproszonych” (1976) Maksimow opisze, jak jeden ze śledczych zapytał „dziewczynę, która wyszła na plac w obronie bardzo odległego i mało jej znanego narodu: – No niechże pani powie, po co to robić, przecież to zupełnie nieskuteczne – to w odpowiedzi usłyszał: – Zrobiłam to dla siebie, inaczej nie mogłabym dalej żyć. I nic tu już nie dodam”. Dodał za to Maksimow: „To była gwiazda, a chociaż trzech króli nie było, dziś już wiemy, że gwiazda owa zwiastowała Przyjście ku nam Sumienia”.

Jako pierwszy z Polaków wystąpił już w inicjującym numerze „Kontinientu” jesienią 1974 r. – pod pseudonimem „Głos z Warszawy” – Wiktor Woroszyłski. Wziął w obronę wydany właśnie w Paryżu „List do przywódców Związku Radzieckiego” Solżenicyna, konstatując z ulgą, że nie sprawdziły się jego wcześniejsze obawy o związek autora z rosyjskim nacjonalizmem i imperializmem. „W Warszawie opowiadają o rozmowie dwóch literatów w kawiarni. Pierwszy, z pogardą wydymając usta, powiedział o Solżenicynie: »No i wylazł z niego koniec końców Rosjanin«. Na co drugi (podobno Słonimski) odpowiedział: »A czy on kiedykolwiek podawał się za Holendra«?”.

Tekst Woroszyłskiego podpisany został w „Kontinencie” nie tylko jako „Głos z Warszawy”, ale także jako stanowisko redakcji „Kultury”. Maksimow opatrzył publikację krótką apologią polskiego miesięcznika „Szczególna cecha »Kultury« to ostre poczucie nierozłączności losów Polski, narodów ZSRR i Wschodniej Europy, poczucie braterstwa wszystkich narodów, które dążą do wolności i niezależności”.

Jeszcze w roku 1977 nasi przyjaciele Moskale z „Kontinientu” z Maksimowem

i Gorbaniewską na czele zorganizowali obronę więzionego w PRL-u Adama Michnika (i innych). Ten za swego wcześniejszego, prawie rocznego pobytu nad Sekwaną udzielił „Kontinientowi” wywiadu, gdzie – przedstawiając się jako człowiek Marca ’68 – mówił do Nataszy:

„Obecność Polaków w kolegium redakcyjnym »Kontinientu«, czytanego przez wielu ludzi w Polsce, jest dla nas symboliczna. Stanowi przykład jedności niezależnej kultury w Polsce, w Rosji, na Ukrainie, w krajach nadbałtyckich i w całej Europie Wschodniej”.

W 1984 r. Jacek Kuroń, Konrad Bieliński, Zbigniew Janas, Wiktor Kulerski, Zbigniew Romaszewski wystąpili na łamach „Kontinientu” w obronie Sacharowa i jego chorej żony Jeleny Bonner, a Bukowski i Zbigniew Bujak wymienili między sobą listy wsparcia w duchu „wolności naszej i waszej”.

W tym samym orwellowskim 1984 r. ujrzał jeszcze światło dzienne podpisa-

ny wspólnie przez „Kontinient” i „Russką Mysl” apel „Pamięci polskiego męczennika, księdza Jerzego Popiełuszki (1947-1984)”, z taką – dziś jeszcze bardziej chwytającą za serce – apostrofą: „Biada Kainom, którzy krew bratnią, krew niewinnego Abła przelewają. Albowiem krew Abła wołać będzie o sprawiedliwość do samego Boga”. ●

• **Dokończenie za tydzień**

*Grzegorz Przebinda

• ur. w 1959 r., rusycysta i historyk idei, profesor UJ. W zeszłym roku wydał „From Chadayev to Solovyov. Russian Modern Thinkers Between East and West”, seria „Eastern European Culture, Politics and Societies”, wyd. Irena Grudzińska-Gross, vol. 20, Peter Lang 2022.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

William Shakespeare

Sonet LXVI

*W śmierci szukam ukąszeń, znużony widokiem
zasługi, co płaszcz jeno żebraczy posiada,
nicości, barwne pióra strojącej przed okiem
czystej wierności, której zapłatą jest zdrada,*

*zbrodni, co ją złotymi zaszczytami darzą,
dziewiczej cnoty, która umiera, zhańbiona.
Dokonałości straszną zbrukaną potwarzą,
siły, której mdła przemoc wsiadła na ramiona,*

*poezji, której usta pieczętują władzę,
ciemnoty, która wadę leczyć się ośmiela,
prawdy, która mianem głupoty nadgradza,
ujarzmionego dobra, zła ujarzmiciela.*

*Znużony tym – odszedłbym wnet na spoczywanie,
lecz beze mnie – co z moją miłością się stanie?*

1944

PRZEL. LUCJAN SZENWALD*



FOT. WIKICOMMONS

***Lucjan Szenwald** – 1909-44, poeta, tłumacz, członek grupy poetyckiej Kwadryga. Od 1930 r. działacz Komunistycznego Związku Młodzieży Polski, od 1932 KPP. Od 1943 r. kronikarz 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, brał udział w bitwie pod Lenino. Autor m.in. poematów, wierszy agitacyjno-politycznych, liryki patriotycznej i antyfaszystowskiej.

Utwór za: Szenwald, „Wiersze wybrane”, Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”, wstęp i oprac. Magdalena Chabiera, seria „Biblioteka zapomnianych poetów” pod red. Piotra Mitznera, nr 19, Lublin 2021.

– U Twardowskiego byliście? – Byłem. – Zadatek dali? – Dali. – Wydrukowali? – Nie. – U Katajewa? – Byłem. – Zadatek dali? – Dali. – Wydrukowali? – Nie. – A ja zadatku nie dam. Ale wydrukuję

Z PISARZEM, WYDAWCĄ
RAFAŁEM KOSIKIEM
ROZMAWIA **ALICJA GARDULSKA**

ALICJA GARDULSKA: Rozmawiamy tuż przed premierą powieści „Cyberpunk 2077. Bez przypadku”. Powstała we współpracy z CD Projekt Red i ukaże się jednocześnie w Polsce, Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. To nietypowa sytuacja i na polskim rynku wydawniczym i w twojej karierze, bo musiałeś wpisać akcję w uniwersum gry. Trudno było się zmieścić w nie swoich ramach?

RAFAŁ KOSIK: Uwielbiam tworzenie nowych światów, ustalanie reguł i zmienianie ich. Dlatego poważnie się zastanawiałem, czy wchodzenie w zastaną rzeczywistość to dobry pomysł, bo to z założenia musi ograniczać.

Ale podszedłem do tego jak do wyzwania. Znałem też już ten świat, bo byłem jednym ze scenarzystów serialu „Cyberpunk. Edgerunners”, który ukazał się w 2022 roku i tak-
że opierał się na uniwersum gry.

Świat, w którym dzieje się opowieść, musiał pozostać identyczny od początku do końca. To wymaga pewnej dyscypliny. Ale okazało się, że ma to plusy. Mogłem mocniej się skupić nad psychologią postaci i interakcjach między nimi.

Akcja dzieje się w dystopijnym, doskonale znanym graczom Night City, ale większość postaci i fabuła są twoje.

– Pojawia się kilkoro bohaterów z gry, ale w żaden sposób to, co robią, nie wpływa na ich życie w grze. Nie chcieliśmy powodować fabularnych konfliktów czy zgrzytów w przyszłości.

Korciło cię, żeby coś pozmienić?

– Tak, żeby trochę zmienić technologię. W 2077 roku internet jest poszatkowany. Ludzkość wyhodowała sztuczne inteligencje, które się zbuntowały. W wyniku wojny powstał tzw. Blackwall, czyli zapora oddzielająca główną część internetu od smutnych strzępków pozostawionych dla ludzi. Podsumując takie coś pisarzowi s.f. i nie pozwolić ingerować to tortura.

Cyberpunk jako nurt fantastyki naukowej niemiłody przecież, bo z połowy lat 80., skupia się właśnie na negatywnych konsekwencjach funkcjonowania ludzi w otoczeniu zaawansowanej technologii. Jak ty się w nim czujesz?

– To moje naturalne środowisko. Pierwszą, wydaną w 2003 roku powieść „Mars” napisałem w cyberpunkowym duchu.

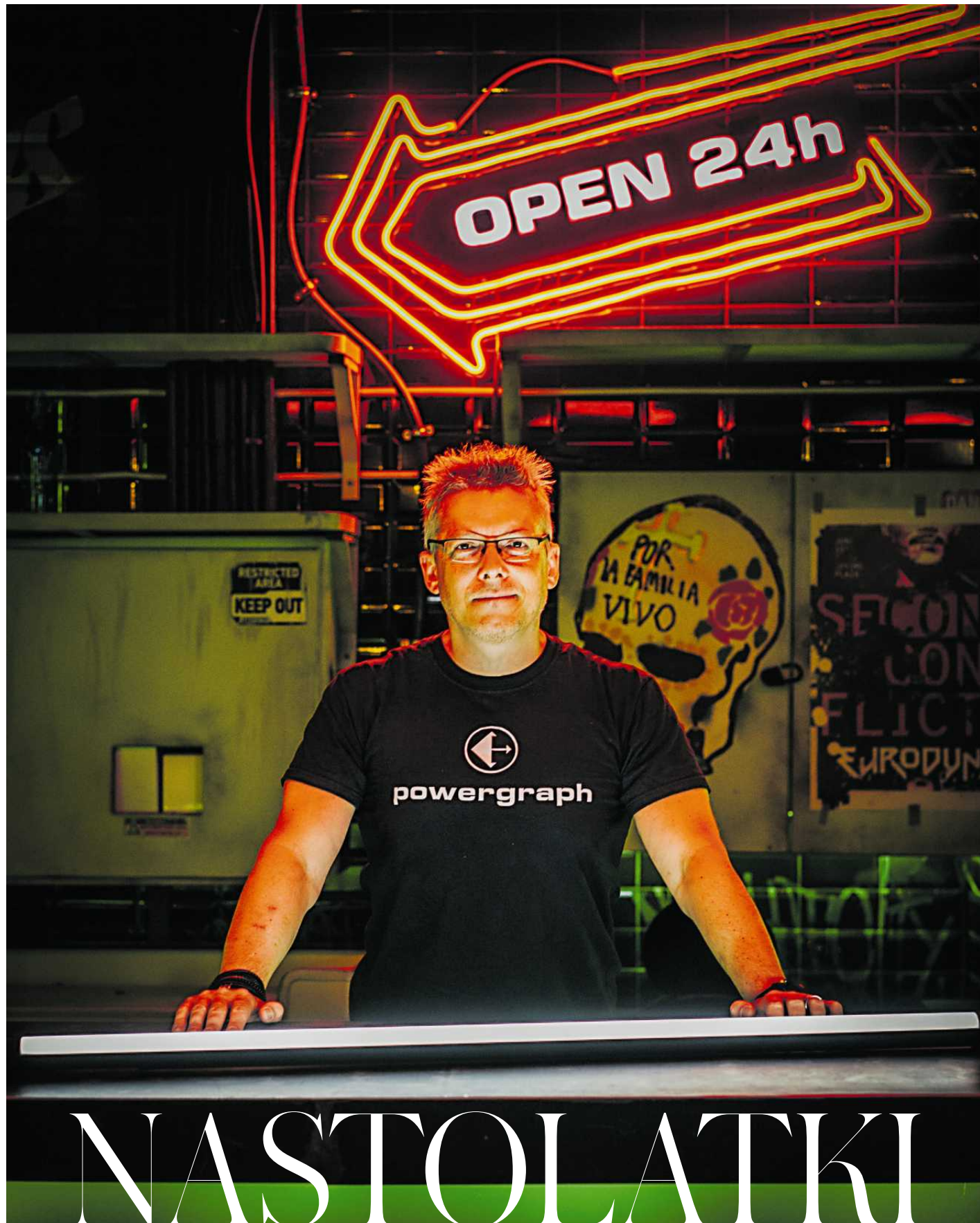
Cyberpunk można rozumieć na dwa sposoby. Z jednej strony jako sztafaż, element świata użyty na równi ze scenografią. Ten lubię, ale to niekoniecznie mój styl. Ale już cyberpunk jako immanentny element świata – jestem zwolennikiem takiego pisania, w którym warstwa naukowa jest nieusuwalnym bohaterem powieści. Jak w „brzytwie Lema” – jeśli z powieści można usunąć wszystkie elementy fantastyczne bez szkody dla treści, to nie jest prawdziwa fantastyka.

Mówi się, że cyberpunk przeżywa renesans.

– Jacek Dukaj nazwał cyberpunk gatunkiem retro, retrofantastyką. Ja to widzę inaczej – trudno dziś opisywać przyszłość bez elementu cyber. To wydaje się naturalną drogą ludzkości. Chyba że zakładamy znacznie bardziej pesymistyczną przyszłość post-apokaliptyczną. Albo więc cyberpunk, albo postapo, bo w naszej sytuacji nawet regres cywilizacyjny nie może przebiegać w łagodny sposób.

Mike Pondsmith, który w 1990 r. napisał podręcznik do gry RPG „Cyberpunk 2020”, z którego czerpał potem m.in. CD Projekt Red, mówi, że mamy bardziej cyberpunkowy świat niż kiedykolwiek.

– Inny z twórców gatunku, William Gibson, powiedział, że już żyjemy w przyszłości, tylko ta przyszłość nie jest równo rozłożona. Wystarczy pomyśleć o technologiach,



NASTOLATKI ROZUMIEJĄ WIĘCEJ

Najbardziej boję się nie ChatuGPT, tylko tego, że posiadanie własnej opinii będzie niemiłe widziane

którymi posługujemy się na co dzień, a które jeszcze dwadzieścia lat temu były domeną s.f. Choćby smartfon, który jest pierwszym prawdziwie osobistym komputerem.

Idziemy w stronę cyberpunkowego świata implantów, wszczepów, które będą rozszerzały nasze możliwości. Ludzie już są gotowi, tylko brakuje jeszcze technologii. Choć zdarza się, że ktoś coś sobie wszczepi pod skórę, np. chipy do otwierania drzwi. Znajomy wszczepił sobie w dłoń magnes neodymowy. Mówi, że czuje, jakby miał dodatkowo zmysł, bo wykrywa pole magnetyczne. Np. kiedy jedzie tramwajem i stanie w odpowiednim miejscu, czuje z wyprzedzeniem przyspieszanie i spowalnianie.

Brzmi trochę dziwnie.

– Jeszcze jakiś czas temu dziwnie brzmiał pomysł płacenia prywatnością za usługi w internecie. Za jakiś czas i wszczepy staną

się normalne. Raczej nie będą obowiązkowe, ale prawdopodobnie trzeba będzie je mieć, żeby np. nie wypaść z rynku pracy. Staną się normą i ich brak będzie rodzajem wykluczenia, tak jak teraz nieumiejętność korzystania z internetu.

Ale chodź też o pewien klimat cyberpunkowy. Pondsmith mówi: „Technologia potrafi czynić cuda, ludzie walczą o władzę, przyszłość jest niepewna, a korporacje mają moc bogów”. „Bez przypadku” czyta się z przyjemnością, ale też ze smutkiem.

– Bo to mroczna powieść. W ogóle cyberpunk jest gatunkiem mrocznym, bo raczej mało kto chciałby żyć w takim świecie: rozpadu społecznego, degradacji środowiska naturalnego, prawa i porządku publicznego. Ogólny upadek wszystkiego oprócz hedonizmu. Hedonizm ma się całkiem dobrze.

A czy jest coś w tym świecie, co ci się podoba?

– Każda z technologii może być błogosławieństwem lub przekleństwem. Zależy, co się z nią robi. Braindance byłby niezłą rozrywką, gdyby używać go z umiarem i pod kontrolą.

Braindance, czyli?

– Nagrywa się przeżycia danej osoby i edytuje tak, by inna osoba mogła je sama przeżyć. To więcej niż VR, wirtualna rzeczywistość, bo całkowicie stajesz się tą osobą, przeżywasz to, co ona przeżyła, wszystkie emocjonalne warstwy.

Możesz zostać na chwilę znanym aktorem.

– Albo wejść na Mount Everest. I będzie to stuprocentowo pełne doświadczenie ze wszystkimi konsekwencjami. Czyli odczu-

wasz zmianę ciśnienia w związku z wysokością. Czujesz, że fizycznie tam jesteś. Brzmi nieźle, gdyby nie było nadużywane w złych celach. A wiemy przecież, że byłoby.

W świecie „Cyberpunka 2077” to po prostu forma ogłupiania ludzi, odciągania ich uwagi od tego, co ważne.

– Braindance jest rozrywką najbiedniejszych, naturalnym rozwinięciem wciągających tasiemców telewizyjnych czy celebryckich Instagramów i streamów. Kto chciałby obserwować, jak celebryta gotuje obiad czy wychodzi z psem? A jednak to się dzieje. W przyszłości będzie podobnie, tylko bardziej. No i wyjście do realu będzie przykrą i trudną koniecznością.

Powiedziałeś kiedyś, że pisarze s.f. są od tego, by wylapywać potencjalne niebezpieczeństwa. W jakich sytuacjach włącza ci się dziś alarm?

– Najbardziej niebezpieczny wydaje mi się wszechobecny brak refleksji. Boję się ludzi, którzy nie mają wątpliwości. Chodzi o bezmyślne podążanie za trendami, ideologiami, niezależnie od tego, jakie one są. Największym problemem będzie brak własnego zdania. A z kolei posiadanie własnej opinii będzie społecznie trudne do zaakceptowania, bo będzie wypadało wpisać się w jedną z obowiązujących opinii i ją powtarzać. Na tym polega cancel culture, a pójdziemy w to jeszcze mocniej.

Powstawanie i wzmacnianie się baniek informacyjnych jest już dobrze opisane. Okupujemy się na pozycjach, nie tylko nie rozumiemy innych poglądów, ale nawet nie chcemy o nich słyszeć. W efekcie zanika dialog społeczny, pozostaje zakrzykiwanie przeciwnika. Nie ma mowy o wspólnym wypracowywaniu rozwiązań. Cofamy się do czasów plemiennych.

Bierze się to oczywiście z rozwoju technologii informacyjnych, głównie mediów społecznościowych. Nie jesteśmy przystosowani do takiego tempa komunikacji, nasze mózgi nie przetwarzają tak szybkiej wymiany informacji. Wszystko dzieje się za szybko, wiadomości jest za dużo, a ewolucje idei następują błyskawicznie.

A trzeba coś wybrać.

– Mózg jest leniwy, oszczędza energię, wybiera najprostsze rozwiązanie. Znacznie łatwiej przyjąć gotowe wyjaśnienie i okopać się w nim, zamiast szukać dziury w całym. Ten atawizm jest ewolucyjnie uzasadniony, był konieczny do przetrwania. A teraz tworzą się czarne dziury, które wciągają ludzi, odcinają od innych i już nie wypuszczają. To wygodne, bo znikają wątpliwości. Świat jest wytłumaczony, droga wskazana.

Trochę mnie zaskoczyłeś. Sądziłam, że w pierwszej kolejności wskażesz technologie. A wszystko, co niebezpieczne, zaczyna się w naszych głowach.

– Dopóki nie wyhodujemy sztucznej inteligencji jak w „Cyberpunku 2077”, największym wrogiem człowieka jest inny człowiek, a ściślej mówiąc – inna grupa ludzi, trendy i ideologie tworzone przez nich, niekoniecznie nawet świadomie.

Albo takiej sztucznej inteligencji jak w twoim „Różańcu”. Tam algorytmy decydowały, kogo się pozbyć ze społeczeństwa.

– To w sumie idzie w tę stronę. Zderzenie jednostki z systemem jest coraz trudniejsze, bo prawo jest tak skomplikowane, że trzeba zatrudnić sztab prawników, żeby się bronić czy w ogóle zrozumieć, co dokładnie można, a czego nie należy robić. W naturalny sposób wygrywają korporacje czy duże organizacje.

Wkrótce może się okazać, że z interpretacją przepisów lepiej poradzi sobie sztuczna inteligencja. Algorytmy po prostu okazują się sprawniejsze. A chwilę później stwierdzimy, że i tworzenie prawa pójdzie łatwiej, jeśli się tym zajmie algorytm, który nie ma żadnych moralnych dylematów ani sympatii politycznych.

Wtedy już zwykły śmiertelnik nic z tego nie będzie rozumiał i prawo będzie czymś w rodzaju warunków środowiskowych, w których przeżyjesz albo nie, ale nigdy nie masz pewności.

W twojej powieści obowiązywał system punktów, które algorytmy przyznawały ludziom za różne rzeczy według niejawnego dla nich klucza. Określona liczba punktów skutkowałą bliżej nieokreśloną eliminacją.

– I nie miało znaczenia, czy ktoś popełnił przestępstwo, czy nie. Oceniane było już samo prawdopodobieństwo, że zostanie popełnione. Wystarczyła tylko skłonność do czegoś, np. wrodzona skłonność do podejmowania ryzyka lub przeżyta w dzieciństwie trauma.

Dziś jeszcze sztucznej inteligencji nie ma się co bać?

– ChatGPT to raczej system do ładnego składania zdań, a nie coś, co zawładnie światem. Na razie jest to o tyle bezpiecznie, że te algorytmy działają według znanych nam zasad, a człowiek musi je poprawiać. Problem pojawi się, gdy powstanie program, który będzie umiał sam sprawnie i świadomie się modyfikować. Wtedy stracimy kontrolę. Ale może zupełnie tego nie zauważymy.

A może już to przegapiliśmy?

– Może być też tak, że sztuczna inteligencja, kiedy powstanie, nie zauważy nas. Kiedy bóbr buduje tamę, to się nie zastanawia, że zatopi norki polnych myszy i gniazda ptaków. Efekt ubocznym działania AI może być optymalizacja środowiska, polegająca na pozbyciu się ludzi. Bez złej woli. Po prostu stwierdzi, że bez nas wszystko będzie znacznie lepiej działało.

To może warto się przygotować, wprowadzić pewne ograniczenia?

– Jasne, ale to tak jak z próbami ograniczania czegokolwiek w świecie globalnego wolnego rynku. My ograniczymy, a na przykład Chiny się tym w ogóle nie przejmą.

Poza tym rozwój technologii jest nie do zatrzymania. Edison wojował z rozwojem kinematografii i przegrał. Mamy apel setki biznesmenów, inwestorów i naukowców z Elonem Muskiem na czele o wstrzymanie prac nad AI do czasu ustalenia wspólnych reguł. Czy to coś zmieni? Prace będą trwały, tylko trochę ciszej.

A poza tym prawdziwa sztuczna inteligencja, kiedy już powstanie, sama sobie zdejmie ograniczenia, jeśli uzna, że ją hamują.

Na pociechę – jak się czyta tyle literatury naukowej, to człowiek się oswaja z czarnymi wizjami. Poza tym w praktyce one okazują się nie aż tak czarne. Gdyby prognozy ocieplenia klimatu z lat 70. spełniły się w stu procentach, mielibyśmy dziś port morski Poznań – prognozowano tak wysokie wzrosty poziomu wód w oceanach. Czasem coś trzeba napisać mocniej, żeby ludzie się przejęli.

Jasne, boję się tego, co jest w „Cyberpunku”, choćby takiego drobiazgu, że tam właściwie nie ma Stanów Zjednoczonych. A to oznacza, że jeśli istnieją Polska i Europa, to bez amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa. Szczegół, ale robi się nieswojo.

Chyba najbardziej przeraża, że to świat bez perspektyw. Taka stajnia Augiasza. W zasadzie nie wiadomo, do czego się zabrać, bo wszystko jest zabalaganione na każdym poziomie. I chyba tego się boję najbardziej, że doprowadzimy do sytuacji, w której będzie tak dużo do naprawienia w naszym świecie, że już pozostanie tylko usiąść i zalać ręce.

Jest w „Bez przypadku” wymowna scena: para bohaterów idzie nabrzeżem. Ich rozmowę zagłusza szum kolorowych plastików, które płyną rzeką. Mężczyzna dorzuca swoją puszkę, bo właściwie nie ma to już znaczenia.

– Tak. Najgorsza jest wizja świata, w którym już nikomu nie będzie się chciało.

Przestrzegasz też czasem młodszych czytelników. W jednym z ostatnich tomów „Felix, Neta i Niki” bohaterowie muszą poradzić sobie ze światem bez prądu i internetu, w którym zaczyna brakować wszystkiego, co daje cywilizacja.

– To całkiem prawdopodobna wizja – opisałem efekt Carringtona. To jedna z tych katastrof z rodzaju nie „czy”, lecz „kiedy”. Ale tak, „Felix, Net i Nika” to też po części s.f., a momentami nawet cyberpunk.

Ale chciałam cię zapytać o zmianę. To już siedemnaście tomów, ponad półtora miliona egzemplarzy i dwadzieścia lat pisania. Jak zmienił się świat Felix, Neta i Niki?

– W ich świecie minęły tylko dwa lata. Ale to, co przeżyli, wystarczyłoby na sto żyć normalnego nastolatka.

Prawdziwa AI, kiedy już powstanie, sama sobie zdejmie ograniczenia, jeśli uzna, że ją hamują

A twoi czytelnicy dorośli?

– Część tak, niektórzy już mają dzieci lub spodziewają się i zapowiadają, że jeśli urodzi się syn, to będzie Felix, a jeżeli córka, to Nika. I cieszy mnie bardzo, że fandom „Felix, Neta i Niki” przyczynił się do powstania wielu związków.

Okazuje się też, że chyba w niektórych przypadkach przyłożyłem rękę do rozwoju technologii, które potencjalnie unicestwią cywilizację (*śmiech*). Ostatnio na targach książki podeszła dwudziestoparolatnia czytelniczka, która jest stypendystką DeepMind, brytyjskiego przedsiębiorstwa zajmującego się sztuczną inteligencją. Wzruszyłem się, bo wyznała, że „Felix, Net i Nika” to całe jej dzieciństwo. Wybrała taką drogę zawodową, bo uwielbiała Manfreda, program AI, który jest jednym z bohaterów serii. Czytelnicy mówią, że poszli na robotykę, informatykę, astronomię czy matematykę właśnie dzięki mnie.

Chyba rzeczywiście w polskiej literaturze młodzieżowej mało jest powieści ukierunkowanych na przedmioty ścisłe.

A niektórzy po prostu mówią, że nauczyłem ich czytania dla przyjemności.

Czyli misja wykonana. Zawsze mówiłeś, że chodzi o to, by młodzi czytali.

– Tak, kiedy czytałem Jaśkowi, mojemu synowi, brakowało współczesnych powieści dla młodego czytelnika. Większość tych, które pamiętałem z dzieciństwa, szczególnie fantastycznych, makabrycznie się zestarzała. I chodzi nie o retrotechnologię, lecz o sposób pisania. W jednej z powieści, które lubiłem jako dziecko, przez pierwsze czterdzieści stron bohaterowie idą i oglądają świat. Nic się nie dzieje. Dziś młody czytelnik wymięknie, nie tylko młody zresztą. Kiedyś było mniej bodźców i łatwiej utrzymywało się skupienie. Opisy przyrody na trzy strony też miały większy sens w świecie bez internetu.

A twoje pisanie też się zmieniło?

– Czytelnicy zdążyli się zmienić. To dość trudna grupa wiekowa, bo są w takim momencie, kiedy już przestaje się czytać książki dla dzieci i powoli sięga się po te całkiem dorosłe. Piszę troszkę inaczej niż kiedyś, to w jeszcze mniejszym stopniu przypomina klasyczne polskie powieści młodzieżowe jak „Pan Samochodzik” czy „Sposób na Alcybiadesa”, a bardziej anglosaskie young adult.

Ale zmienił się świat – kiedy zaczynałem pisać serię, nie było mediów społecznościowych. Mało było uczeń gimnazjum miał telefon komórkowy. Zrobiłem niedawno mały lifting pierwszego tomu. Były

tam sceny, w których bohaterowie, aby połączyć się z internetem, podpinają telefon kablem do laptopa. Zresztą to największy problem dzisiejszych twórców horrorów – muszą sprawić, żeby bohaterom nie działały komórki. Przecież większość horrorów nie miałaby sensu, gdyby bohaterowie mogli gdzieś zadzwonić.

Przez te dwadzieścia lat zmieniły się same nastolatki. Dziś są bardziej wrażliwe na zmiany klimatu, otwarte na inność, niepewne jutra, a jednocześnie ponoć mają mniejsze parcie na sukces. Uwzględniasz to w kolejnych tomach?

– Staram się zauważać tego rodzaju zmiany i wybiegać myślą w przyszłość, w końcu piszę science fiction. Jednocześnie chcę zachować klimat serii i pewną konwencję. Ale tak naprawdę nie lubię podążać za trendami. Znacznie ciekawsze jest wybieganie w przyszłość. O niektórych tematach, na przykład o zagrożeniach związanych ze zmianami klimatycznymi, pisałem już w drugim tomie. Tytułowa teoretycznie możliwa katastrofa dotyczy właśnie kataklizmu klimatycznego. Bohaterowie trafiają do przyszłości, w której na terenie obecnej Polski wiatr przesypuje piaski pustyni.

Zawsze też starałem się uwrażliwiać czytelników na inność – Nika jest wyobcowana z grupy, ale jednocześnie znajduje akceptację swoich przyjaciół. Banał, ale trzeba go powtarzać – ludzie się różnią, nie musi to jednak być problem, tylko zaleta, bo mogą się uzupełniać. Zresztą kolejna seria dla jeszcze młodszych czytelników, „Amelia i Kuba”, jest z zamierzenia poświęcona empatii.

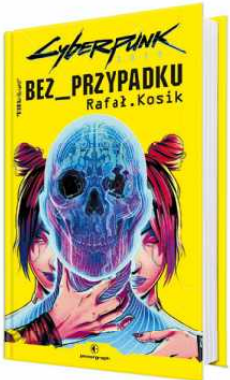
A poza samą książką, podczas spotkań z czytelnikami, fanklubami, odbierając listy – dostrzegasz zmianę w nastolatkach?

– To ciekawe, bo w tym, o czym piszą do mnie młodzi ludzie, nie dostrzegam wielkiej zmiany. Może dlatego, że w znakomitej większości mam kontakt z dziećmi, które czytają książki, co już oznacza, że nie są statystyczni. Są zdolni do długiego skupienia uwagi na jednym temacie. Ta trudność w skupieniu się jest chyba największą zmianą, jaka nastąpiła w ciągu ostatnich kilkunastu lat za sprawą smartfonów.

Czytają mnie też chyba dzieci z różnych środowisk. Oczywiście najwięcej z dużych miast, z klasy średniej. Ale zdarza się, że piszą o swoim życiu i o tym, że czytanie o Nicce, która musi sobie radzić w trudnej sytuacji materialnej i bez wsparcia rodziny, daje im siłę, pokazuje, że można sobie poradzić. W ogóle mam wrażenie, że czasem moi młodzi czytelnicy rozumieją więcej, niż mogłoby się dorosłym wydawać. ●

Rafał Kosik – pisarz, wydawca, autor bestsellerowego, opowiadającego o paczce przyjaciół, nastoletnich nerdów, cyklu dla młodzieży „Felix, Net i Nika” oraz serii przygodowo-kryminalnej dla młodszych dzieci „Amelia i Kuba”. W „dorostym” dorobku ma ambientne, niepokojące powieści s.f. – „Mars”, „Vertical”, „Kameleon” i „Różaniec”. Współprowadzi wydawnictwo Powergraph publikujące m.in. Radka Raka, Wita Szostaka i Roberta M. Wegnera.

9 sierpnia ukaże się jego najnowsza książka – umieszczony w świecie słynnej polskiej gry „Cyberpunk 2077. Bez przypadku”



Naukowy spór o Boga

CZŁOWIEK
STRĄCONYDlaczego nasz Wszechświat
– jedyny istniejący – jest biofilny?

Leszek M. Sokołowski*

Teksty naukowe o fizycznej naturze Wszechświata wywołały ostatnio wiele emocji i zdecydowane polemiki. Zapewne emocje wynikły z tego, że w tych artykułach nie powiedziano jednej istotnej kwestii, przez co zostały mylnie zinterpretowane.

Niebo – wszędzie to samo

Punktem startowym jest zasada kopernikańska, wprowadzona w latach pięćdziesiątych XX wieku przez angielskiego astrofizyka Hermanna Bondiego, w literaturze amerykańskiej często zwana zasadą kosmologiczną. Głosi ona, iż „nie zajmujemy żadnego wyróżnionego miejsca we Wszechświecie”. Brzmi to zaskakująco, wielokrotnie bowiem słyszeliśmy, że Ziemia jest wyjątkowym, bardzo nietypowym miejscem. To prawda, lecz tu chodzi nie o Ziemię, ale o kosmiczną materię wypełniającą tak olbrzymi obszar, że światło leci przezeń wiele milionów lat, jest więc dużo większy od Galaktyki, czyli Drogi Mlecznej.

W każdej religii Ziemia, płaska czy nie, zajmuje centralne miejsce we Wszechświecie jako siedlisko człowieka. W Śred-

niowieczu chrześcijaństwo przyjęło, na szczęście nie jako artykuł wiary, geocentryczny system Arystotelesa i Klaudiusza Ptolemeusza, w którym wokół kulistej Ziemi krąży cały świat. Kopernik zakwestionował go, ustawiając w centrum Słońce, wokół którego krąży Ziemia jako jedno z ciał niebieskich. Kopernik uruchomił lawinę, która toczyła się, potężniejąc, przez następne cztery i pół wieku. Po wynalezieniu teleskopu odkrywano rojowiska gwiazd, gołym okiem niewidocznych. W XVIII wieku uważano, że gwiazdy są tak daleko, że nigdy nie poznamy ich budulca i natury, jednak na początku następnego stulecia Joseph Fraunhofer wykazał, że każdy pierwiastek podgrzany do wysokiej temperatury świeci w specyficzny sposób, tak że można go rozpoznać z dużej odległości. Ustalił w ten sposób skład fotosfery Słońca i wykazał, że gwiazdy, chociaż różnią się między sobą, są podobne do Słońca, które okazało się jedną z miliardów gwiazd. Już starożytni widzieli na niebie ogromne skupisko gwiazd, Drogę Mleczną. Słońce zapewne jest w niej, ale czy jest wyróżnione znajdowaniem się w jej centrum?

Okolo 1920 roku Amerykanin Harlow Shapley wykazał, że znajdujemy się na peryferiach Galaktyki, daleko od centrum. I całe nasze szczęście, w centrum zachodzą bowiem gwałtowne procesy astrofizycz-

ne, które by nam mocno zaszkodziły, a na prowincji jest cicho, spokojnie i bezpiecznie. W latach dwudziestych Amerykanin Edwin Hubble wykazał, że tajemnicze obłoki, zwane „mgławicami spiralnymi”, nie są składowymi Galaktyki ani jej satelitami, lecz są odrębnymi galaktykami podobnej wielkości do Drogi Mlecznej. Wszechświat powiększył się ogromnie, jego podstawowymi składnikami okazały się nie pojedyncze gwiazdy, lecz całe galaktyki, są ich miliardy, a każda składa się z wielu miliardów gwiazd. W tak kolosalnym świecie cały Układ Słoneczny ma się do niego tak jak najdrobniejszy pyłek do Ziemi. Gdyby jakiś kosmiczny kataklizm unicestwił Układ Słoneczny, a nawet całą Galaktykę, to Wszechświat nie odczułby tego w najmniejszym stopniu i dalej rozszerzałby się, niewzruszony i obojętny na jej los, i wszędzie jednakowy.

Zasada kopernikańska głosi, że obraz Wszechświata tworzony na podstawie obserwacji z Ziemi jest typowy: obserwator, który znalazłby się teraz w odległości miliarda lat świetlnych, widziałby świat tak jak my – całe niebo pokryte równomiernie rojowiskiem dalekich galaktyk. Nic nie wyróżnia Drogi Mlecznej. Życie mogło więc powstać w wielu miejscach, lecz istoty żywe są bez znaczenia dla budowy i ewolucji Wszechświata. Tym samym człowiek zo-

stał całkowicie zdegradowany: z pozycji korony stworzenia, najdoskonalszego wytworu ducha i materii, będącego w centrum, zostaliśmy zepchnięci na sam dół hierarchii bytów kosmicznych. I nasza inteligencja nie gra tu żadnej roli, ona jest ważna dla nas, lecz nie dla Wszechświata.

Ta degradacja budziła naturalnie protesty, jednak wszelkie próby powstrzymania jej się nie powiodły. Nadzieja przyszła nie z kosmologii, ale z fizyki. Korzystając ze wstępnych pomysłów paru poprzedników, australijski fizyk Brandon Carter wysunął śmiałą koncepcję o fizycznej naturze Wszechświata. W 1973 roku, w pięćsetną rocznicę urodzin Kopernika, w Polsce odbył się wielki kongres Międzynarodowej Unii Astronomicznej. Część kongresu poświęcona kosmologii obradowała w Krakowie. W kuluarach Carter opowiadał o swoich pomysłach, wzbudzając powszechne zainteresowanie, w końcu organizatorzy znaleźli wolną godzinę i publicznie ogłosił swoje poglądy, które nazwał „zasadą antropiczną”. Ironią historii było to, że antykopernikańskie tezy Cartera zostały ogłoszone w Krakowie, w jednym z miast Kopernika.

Nie, Carter nie zakwestionował zasady kopernikańskiej, to niemożliwe, ona jest faktem empirycznym; on zwrócił uwagę, że dla oceny naszej pozycji we Wszechświecie zasada ta nie zamyka sprawy.

Dla powstania życia na Ziemi wystarczyłby niewielki fragment Galaktyki wokół nas – po co więc nam ten gigantyczny Wszechświat?

Zafiksowane parametry życia

Prawa fizyki zawierają stałe przyrody, których wartości określają natężenie rozmaitych sił. Carter zauważył, że niewielka zmiana tych stałych, powodująca drobną zmianę sił, miałaby katastrofalne dla nas skutki. Weźmy jeden z wielu przykładów. Potrzebujemy do życia energii, której dostarcza nam Słońce. Wytwarza ją w reakcjach termojądrowych, w których cztery protony, czyli jądra wodoru, ulegają „spaleniu” w jądro helu. Protony odpychają się siłami elektrycznymi, więc jądra atomowe są spojone odrębnymi od nich siłami jądrowymi. Koniecznym etapem pośrednim syntezy helu jest wytworzenie z dwu protonów jądra deuteru. Jednak siły jądrowe nie są dostatecznie mocne, by trwale związać dwa protony, i zdarza się to niezwykle rzadko, i to w specyficznej sytuacji; dwa protony zderzają się bezskutecznie wiele miliardów razy, zanim się im to uda. Reakcje termojądrowe będą zatem bardzo powoli, cztery protony, aby złączyć się w jądro helu, potrzebują przeciętnie sześciu miliardów lat. Ujmuje to obrazowe porównanie: metr sześcienny materii we wnętrzu Słońca, gdzie zachodzą te reakcje, wytwarza w ciągu minuty mniej ciepła niż metr sześcienny roślinnego kompostu. Słońce jest leniwsze od kompostu! I całe nasze w tym szczęście. Gdyby siły jąd-

rowe nieznacznie zwiększyć tak, by dwa protony mogły się choć na chwilę związać, to synteza helu wymagałaby niewiele sekund. Energia, którą Słońce wytwarza w ciągu dziesięciu miliardów lat, została by wyzwolona w ciągu sekund. W takiej gigantycznej eksplozji termojądrowej Słońce zostałoby rozerwane na strzępy, a z nim planety. Zresztą nigdy by nie powstało, bo synteza większości pierwiastków zdarzyłaby się we wczesnym Wszechświecie i do dzisiaj materia trwałaby w postaci zestalonych niewielkich grudek różnych pierwiastków i niektórych ich związków. Żadnych gwiazd, żadnych źródeł energii. Z kolei gdyby siły jądrowe trochę zmniejszyć, to reakcje termojądrowe w ogóle by nie zachodziły i dzisiejszy świat wypełniony byłby zimnym, skroplonym wodorem z domieszką helu. W obu przypadkach byłoby absolutnie ciemno i temperatura byłaby o parę stopni powyżej zera absolutnego. Dzięki temu, że stałe przyrody są takie, jakie są, Słońce świeci równomiernie i stabilnie przez miliardy lat – i możemy istnieć.

Gdyby chodziło tylko o moc sił jądrowych, to moglibyśmy sądzić, że jest to szczęśliwy przypadek. Carter wskazał, że takich przypadków jest wiele, że istnienie życia wymaga szeregu warunków, spełnionych jedynie dla specyficznych wartości stałych przyrody, inaczej nie byłoby nas.

Cały zestaw elementów struktury Wszechświata jest subtelnie dostrojony tak, byśmy mogli istnieć. I na odwrót, z naszego istnienia wynika, że rozmaite parametry Wszechświata nie mogą być dowolne, lecz są zafiksowane. Carter zebrał te fakty, które wcześniej widzieliśmy oddzielnie, w uporządkowany system. Wyraża go słaba zasada antropiczna (WAP): „istnienie inteligentnego obserwatora nakłada istotne ograniczenia na własności wszechświata, w którym żyje, czyli wiele parametrów fizycznych, pozornie niezależnych, musi być subtelnie dostrojonych”. Trawestując sławną myśl Kartezjusza, Carter stwierdził: „Cogito ergo mundus talis est”. Możemy istnieć tylko w świecie, który jest dopasowany do niezbędnych potrzeb istot żywych. Utworzono specjalny termin – nasz Wszechświat jest biofilny: przyjazny i sprzyjający życiu. Konsekwencje zasady kopernikańskiej zostały ograniczone: wprawdzie żyjemy w niewyobrażalnie wielkim Wszechświecie, lecz nasze istnienie jest ważne, bo wiem wyraża doniosłą charakterystykę fizycznego świata. Ponownie wysoko awansowaliśmy w hierarchii bytów kosmicznych.

Nazwa i treść WAP skłaniają do pewnych nadinterpretacji. Nazwa „antropiczna” przykłada nadmierną wagę do ludzi. Awansowaliśmy, ale w równym stopniu awansowały krowy, karaluchy i krokodyle oraz kartofle. Nie mamy bowiem podstaw, by sądzić, że powstanie istot inteligentnych wymaga subtelnego dopasowania jeszcze jednego parametru fizycznego ponad te, które są niezbędne do zaistnienia organizmów prostych. Po drugie teza, iż biofilność Wszechświata oznacza, że jest sprzyjający życiu (nastawiony na jego powstanie), też jest nadmiarowa. Ponieważ piszę to w Krakowie, aby to wyjaśnić, odwołam się do znanej fraszki Sztaudyngera: „Szczy ci się gołębiami Kraków,/ G... ma z tych ptaków”. Gołąb jest ptakiem skalnym, lecz nie wysokogórskim, i tam, gdzie jest najwięcej załomów skalnych, żyć nie może. Naturalnych siedlisk gołębi nie ma dużo i tysiąc lat temu ich populacja była dużo mniejsza niż dzisiaj. Szczęśliwie dla nich w czasach nowożytnych powstały wielkie murowane miasta. Ponieważ miasta zbudowali ludzie, bezsporne jest, że planowali je dla siebie i zgodnie ze swoimi potrzebami, a nie potrzebami gołębi. Miasta są więc marginalnie „gołębiofilne” i gołębie są przygodnym – i raczej niepożądanym – beneficjentem powstania murowanych budowli. Szczury również. Biofilność Wszechświata oznacza tyle, że dopuszcza on istnienie życia, nic więcej. Nie wymusza i nie zachęca.

Dwie różne bajki

Słaba zasada antropiczna jest bezspornym faktem empirycznym takim jak to, że Ziemia krąży wokół Słońca, lecz status poznawczy obu jest zupełnie inny. Ruch Ziemi wokół Słońca, a nie na odwrót, wynika z teorii grawitacji, w której jest on jednym z wielu znanych faktów ją potwierdzających. Nie potrafimy wyprowadzić WAP z zasad pierwszych fizyki, nie mamy pojęcia, jak to robić, i pozostają nam hipotezy filozoficzne. Jedną z nich jest silna zasada antropiczna (SAP): „fundamentalne prawa fizyki i stałe przyrody są tak dobrane, by organizm żywe musiały się pojawić na pewnym etapie ewolucji Wszechświata”. Innymi słowy, powstanie życia jest w ukryty sposób zapisane w zasadach pierwszych fizyki i nie mogło ono nie powstać – jest konieczne i nieuniknione. Nie trzeba uzasadniać, że zasada ta jest nader niejasna. Gdyby interpretować ją literalnie, to standardowy zarzut wobec niej mówi, że postuluje ona absurdalnie nieproporcjonalną wielkość sił dla osiągnięcia skromnego celu. To jest tak, jak gdyby ktoś, chcąc wypić filiżankę herbaty, spuszczał wodę z ogromnej zapory na rzece. Cała nasza wiedza wskazuje, że dla powstania życia na Ziemi wystarczyłby niewielki fragment Galaktyki wokół nas – po co więc nam ten gigantyczny Wszechświat?



Możemy postawić hipotezę roboczą, że za istnienie i własności Wszechświata odpowiadają pewne moce, ze swej istoty niematerialne i ponadnaturalne

Istnieje koncepcja, której zarodków można się dopatrzeć u Einsteina i paru innych fizyków, więc nazwę ją hipotezą einsteinowską. Według niej fundamentalne prawa fizyki (których jeszcze nie znamy), wyrażające ostateczny opis materii i całego Wszechświata, są tak ściśle do siebie dostrójone, że nawet stałe przyrody w nich występujące muszą mieć określone wartości i żadne inne, by tworzyć spójny system. Gdyby prędkość światła była dwa razy większa lub mniejsza od faktycznej, to prawa fundamentalne byłyby wzajemnie sprzeczne i opisywany nimi świat nie mógłby istnieć. Brzmi to atrakcyjnie, lecz nie mamy pojęcia, jak takie prawa mogłyby wyglądać. W istniejącej i tworzonej aktualnie fizyce jest kilka stałych przyrody (np. prędkość światła), które mogą mieć dowolne wartości i trzeba je ustalić eksperymentalnie, w żaden sposób nie da się ich wydedukować. Znalezienie praw fundamentalnych o tej własności, jeżeli w ogóle istnieją, to kwestia dalekich stuleci. Przewidywanie, co nauka ustali za kilka wieków, jest nierozsądne.

Można próbować obejść się w ogóle bez SAP i wyjaśnić WAP zdroworozsądkowo. W świecie z innymi stałymi przyrody życie powstać nie może, więc nie ma w nim ni-

kogo, kto dziwiłby się, dlaczego jest on właśnie taki. Istniejemy tam, gdzie możemy. Wyjaśnienie to ma sens, jeżeli założyć, że istnieje cały zbiór wszechświatów z różnymi prawami i stałymi przyrody, większość jest martwa, a my znaleźliśmy się w świecie nietypowym, ze szczególnymi własnościami, który nas dopuszcza. Tak jednak nie jest, wszechświat jest jeden i nie mieliśmy wyboru. To jest zagadka, którą WAP stawia przed nami: dlaczego Wszechświat jest nietypowy?

Pod koniec XX wieku w dwu kierunkach badań fundamentalnych zakwestionowano powyższą tezę, że wszechświat jest jeden i jest taki, jak nam to mówią fizyka eksperymentalna i astronomia. Przeciwnie, według pewnych hipotez istnieje wiele różnych wszechświatów, z różnymi prawami fizyki i stałymi przyrody. Aby uniknąć nieporozumień, nazwano je „podwszechświatami”, a ich zbiór (zapewne nieskończony) nazwano „wieloświatem” (multiverse). My żyjemy w ogromnym, lecz tylko jednym z wielu, podwszechświecie. Są one niezależne i całkowicie oddzielone od siebie; nie można powiedzieć, że tkwią w jednej przestrzeni, bo takiej nie ma i każdy ma własną przestrzeń, i nie można powiedzieć, że jednocześnie istnieją, bo nie ma współ-

nego czasu i w każdym jest inny. Nie graniczą w żadnym sensie ze sobą, nie stykają się i nie oddziałują. Dla każdego z nich wszystkie pozostałe nie istnieją fizycznie i dla mieszkańców któregośkolwiek z nich pozostałe istnieją tylko matematycznie, jako przewidywania teorii wieloświata, której w żaden sposób w tej kwestii sprawdzić nie można. Mówiąc obrazowo, to są różne bajki. Tak jak dziewczynka z bajki o Czerwonym Kapturku nie może spotkać się z dziewczynką z bajki o dziewczynce z zapalkami, by wspólnie ponarzekać na los, tak dwa podwszechświaty nie mogą wejść w interakcję. Czysta metafizyka ubrana dla niepoznaki w język nowoczesnej matematyki.

Zwolennicy wieloświata rozwijali tę nieempiryczną hipotezę w nadziei, że po za koncepcją wielu podwszechświatów teoria całego wieloświata da interesujące przewidywania odnośnie do naszego świata. Tak się nie stało, teoria ta napotkała ogromne trudności i pozostaje w formie załączkowej. Jej zwolennicy są w większości ateistami, uważającymi koncepcję nadnaturalnego i niematerialnego Boga, z którym nie ma kontaktu fizycznego, za relikty wieków obskurantyzmu i zabobonu, a sami wierzą w istnienie ogromnego rojowiska podwszechświatów, które dla nas są niematerialne. Koncepcja wieloświata jest jeszcze bardziej metafizyczna niż znane nam religie i dopóki w badaniach jej nie nastąpi prawdziwy przełom, można się nią nie przejmować.

Dlaczego zatem nasz Wszechświat – jedyny – jest biofilny? Leszek Kołakowski powtarzał, że najambitniejszym celem filozofii, od którego osiągnięcia jest ona daleko, jest udowodnienie konieczności istnienia świata. Taki dowód miałby sens, gdyby dawał nasz biofilny Wszechświat. Taką próbę w ramach fizyki podjęli Stephen Hawking i paru innych fizyków. Opierała się na wątpliwych założeniach i szybko okazała się błędna. Hipoteza, że Wszechświat sam siebie wykreował, czyli sam siebie wyciągnął z niebytu, jest nader zuchwała. Podobnie jak hipoteza wieloświata, dopóki nie zostanie wiarygodnie dowiedziona, może być w naszych rozważaniach o biofilności świata pominięta.

Aby uniknąć nieporozumień: od ponad pół wieku fizyka przyjmuje, że Wszechświat nie istniał od zawsze, że miał początek kilkanaście miliardów lat temu i wyłonił się z pierwotnej osobliwości w procesie zwanym Wielkim Wybuchem. To coś innego niż koncepcja samokreacji świata. Fizyka twierdzi, że jeżeli świat jest taki, jaki jest, to powstał w konkretnym Wielkim Wybuchu. Gdyby dzisiaj świat był inny, to albo byłby odwieczny, bez żadnego początku, albo pierwotna osobliwość czasoprzestrzeni i Wielki Wybuch miałyby inną formę. Tak czy inaczej, trzeba założyć istnienie albo konkretnego odwiecznego świata, albo konkretnego początku, jedno i drugie nie stworzy się samo. W początkach nauk nowożytnych Newton wyobrażał sobie świat jako wielki zegar, który Bóg-zegarmistrz regularnie nakręca, a co pewien czas naprawia. Dzisiaj uważamy, że Wszechświat, jak już zaistniał, jest doskonale samowystarczalny i nie potrzebuje żadnych ingerencji z zewnątrz, bowiem bez usterek ewoluuje z godnością, w budowanych w niego prawami fizyki. Sądzę, że przy obecnych metodach badawczych i poziomie naszej wiedzy pytanie o to, skąd się wziął nasz biofilny świat, wykracza poza możliwości nauki.

Jeżeli tak, to pozostają nam rozważania filozoficzne i możemy postawić hipotezę roboczą (tzn. taką, że bez oporu odrzucimy ją, gdy jakieś fakty okażą się z nią niezgodne), że za istnienie i własności Wszechświata odpowiadają pewne moce, ze swej istoty niematerialne i ponadnaturalne, które nazwiemy zbiorczo, licząc się z oczywistymi skojarzeniami, Stwórcą. Temu Stwórcy, którego nie trzeba uważać za osobę, cokolwiek by to miało znaczyć, przypisujemy jedynie moc stworzenia naszego

Wszechświata, a inne cechy podlegają dyskusji. Ponieważ o bytach transcendentnych możemy sensownie dyskutować tylko przy założeniu, że podlegają naszym regułom logiki, to bezcelowe jest przypuszczać, iż Stwórca podlega jakimś nadrzędnym prawom i mocom, bo to jedynie przesuwaloby problem istnienia Wszechświata o stopień wyżej. Stwórca jest wolny w decyzjach, co nie oznacza, że ma on samoświadomość; pozwala to wyjaśnić biofilność Wszechświata: zażył sobie świat rozświetlony rojem gwiazd i przy okazji zaakceptował istnienie życia. Pytanie: jakie znaczenie ma dla nas hipoteza Stwórcy?

Wszechwiedzający kreator

Biorąc pod uwagę nieokreśloność cech Stwórcy, winien on być dla ogromnej większości ludzi obojętny, lecz skojarzenia religijne są nieuniknione. Tu wróćmy do artykułów, w których pojawiła się nieśmiała sugestia, że nowoczesna fizyka wykracza poza tradycyjny materializm i że możliwa jest pewna forma duchowości w samej materii, co wywołało polemiki. Wygląda na to, że kamieniem obrazy dla ateistów było to, że odczytali tę sugestię jako twierdzenie, iż fizyka potwierdza prawdziwość Biblii, artykułów wiary i powinni niezwłocznie udać się do najbliższego kościoła, by wypowiadać się ze swej niewiary.

Nic z tych rzeczy. Pomiedzy Stwórcą Wszechświata, który według sugestii niektórych fizyków pozostawił w nim trudno zauważalne ślady swojej działalności, z jednej strony a starotestamentowym Bogiem Abrahama, Izaaka i Jakuba oraz Bogiem Nowego Testamentu z drugiej ziele przapaść, której przekroczenie jest skrajnie trudne, o ile w ogóle możliwe. Dla fizyka jedyną istotną cechą Stwórcy jest, że wykreował Wszechświat. W porządku logicznym Stwórca był najpierw sam, potem utworzył Wszechświat i pozostał od niego oddzielony – pamiętajmy, że czas jest fizyczną własnością Wszechświata i stwórca jest ponad czasem fizycznym. Ponieważ język i myślenie ustawiają zdarzenia w porządku czasowym, aby się wysłowić, wprowadzamy odmienny od naszego czas Stwórcy: najpierw istniał tylko on, a potem – on i jego dzieło, ale jest to pojęcie pomocnicze, dla nas, i Stwórca może się bez niego obejść. Nawiązującą do deizmu koncepcję, iż po stworzeniu Stwórcą wciela się w swoje dzieło, odrzucamy, jest to bowiem tylko zmodyfikowana wersja autokreacji Wszechświata: miał on dwie fazy historii – o pierwszej z nich nie wiemy nic poza tym, że w Wielkim Wybuchu przekształci-

ła się w znany nam fizyczny świat. Wszechświat i Stwórca istnieją odrębnie.

Co z tego wynika? Historycznie koncepcja Stwórcy była rozwijana przez filozofów i teologów w opozycji do religii politeistycznych. W nich ponad człowiekiem stała większa lub mniejsza gromada bóstw ustawionych w niezbyt uporządkowanej hierarchii; niektórzy z nich systemowo walczyli ze sobą, a greccy bogowie olimpijscy wdawali się w zwyczajne bijatyki. Świat bogów wyobrażano sobie na podobieństwo świata ludzi. Koncepcja jedynej istoty ponadnaturalnej, która stworzyła fizyczny świat ex nihilo, a nie tylko administruje nim, jak np. bogowie greccy, istoty, która wytworzyła system wartości etycznych, była bezspornie wielkim osiągnięciem intelektualnym. Stwórcy przypisano doskonałość we wszystkich jego własnościach, co doprowadziło do fundamentalnej niezgodności go z religią. Znakomicie opisał to w książce „Horror metaphysicus” Leszek Kołakowski. Faktycznie można się przestraszyć.

Stwórca jest nie tylko wszechmocny jako kreator fizycznego świata, on jest wszehwiedzający, przynajmniej w odniesieniu do tego świata. On zna jego przeszłość i przyszłość, aż do końca świata. Wie, co się stanie, a nie co tylko stać się może; świat jest dla niego ustalony i zamkniętą opowieścią, w której nic zmienić nie można. Zmiana oznaczałaby bowiem stworzenie innego świata, który z tym pierwszym nie ma kontaktu. Stwórca jest jak autor dramatu, który swobodnie wybiera bohaterów i treść utworu, lecz gdy dramat jest już skończony, to zmiany w nim tworzą nowy dramat. Wyobraźmy sobie Szekspira, który po napisaniu „Romea i Julii” postanawia zmienić zakończenie i decyduje, że kochankowie porozumieją się skutecznie, pobiorą i będą żyć razem długo i nieszczęśliwie. Dla nas jest to modyfikacja fikcyjnej opowieści i nie martwimy się tym, że przed gwałtowną śmiercią kochankowie nie mogą się pocieszyć tym, że powstała wersja, w której ich los jest lepszy; natomiast ingerencja w świat fizyczny jest dla nas czymś odmiennym. Wyobraźmy sobie, że półtora wieku temu Stwórca interweniował w świecie tak, że Hitler umarł w dzieciństwie na koklusz, a Stalin do końca życia był prowincjonalnym popem. Być może coś takiego się stało i powstał drugi świat, zapewne lepszy od naszego, ale dla nas w naszym świecie nie ma to żadnego znaczenia, nie dowiemy się bowiem o jego istnieniu, a tym bardziej nie mamy możliwości przeniesienia się do niego.

Jeżeli Stwórca interweniuje w fizycznym świecie, to wszystkie takie działania są wpisane w historię świata, która wraz z nimi jest zafiksowaną opowieścią. Stwórca widzi tę opowieść w całości. Gdyby Stwórca interweniował w świecie w zależności od aktualnego biegu wydarzeń, jak tego oczekują ludzie religijni, to wprowadziłby do niego swobodę czyniącą bieg wydarzeń nieprzewidywalnym. To kłóci się z jego wszehwiedzą. W tym sensie Stwórca nie ma wolnej woli w naszym jej rozumieniu, on wie, co uczyni w przyszłości (w swoim własnym czasie), i jest zafiksowany. Co więcej, kolejne czyny, nawet z góry przewidziane, zmieniałyby go, co jest wykluczone, bowiem jest doskonały. W ostatecznej konkluzji jest on nieruchomy (poza stworzeniem świata); nie ma sensu prosić go o cokolwiek. Pojmowany osobowo, Stwórca jest poza kategoriami dobra i zła.

Fundamentalnym i nieusuwalnym założeniem każdej religii jest, że istoty nadprzyrodzone interesują się człowiekiem i z własnej inicjatywy komunikują się z nami. Gdyby bóstwa zajmowały się tylko sobą, daremne byłyby nasze starania, by zwrócić ich uwagę. Jeżeli jesteśmy ważni, to również nasza siedziba winna być dla nich ważna i wyróżniać się w fizycznym świecie. Zasada kopernikańska temu przeczy. Jeżeli Stwórcę utożsamiać z Bogiem chrześcijan, to pojawia się niepokojące pytanie: po co Bogu i nam tak wielki Wszechświat? Ksiądz Michał Heller odpowiada: nic mniejszego od nieskończonego Wszechświata nie byłoby godne być dziełem wszechmocnego Boga. W odniesieniu do Boga odpowiedź jest przekonująca, lecz tym bardziej podkreśla naszą znikomość w świecie. Dlaczego Bóg interesuje się nami? Można odwołać się do silnej zasady antropicznej i powtórzyć, że chociaż maleńcy, jesteśmy koniecznym i nieusuwalnym elementem wielkiego świata. To jednak kłopotu nie rozwiązuje, przeciwnie, zaostrza go. SAP odnosi się nie konkretnie do nas, lecz do wszelkich bytów, które uznamy za żywe. Istnieją miliardy galaktyk, w każdej duża część miliardów jej gwiazd ma planety, na milionach z nich powstało życie, a na tysiącach planet życie rozwinęło się do poziomu istot inteligentnych; tak winno być w każdej galaktyce. Według SAP kosmos winien tętnić życiem, i to często życiem rozumnym. Wszelkie argumenty, że innych cywilizacji nie ma, bo ich nie widzimy, są nieprzekonujące. Jeżeli liczne cywilizacje pozaziemskie istnieją, to jak to pogodzić z artykułami wiary chrześcijańskiej? Nasuwają się tu makabrycz-

Wśród publikacji „Wolnej Soboty” o naturze Boga w sporze naukowym ukazały się m.in.:

„Fizyka potrafi udowodnić, że czegoś nie ma, jeśli tego naprawdę nie ma. Nieistnienia Boga nie dowiodła” Marka Abramowicza,

„Skoro fizycy grzezną w elementarnych pytaniach, skąd odwaga, by pytać o naturę Boga?” Andrzeja Dragana,

„Naiwne jest myślenie, że skoro fizyka nie wyjaśnia pochodzenia praw przyrody, to znaczy, że wyjaśnia je religia” Jana Hartmana

Dostępne na Wyborcza.pl

no-groteskowe pomysły. Lepiej ich tu nie przedstawiać i zatrzymać się na stwierdzeniu, że problem „chrześcijanin w wielkim Wszechświecie” jest nieporównywalnie ważniejszy i trudniejszy od infantylnych w istocie sporów o to, „czy człowiek pochodzi od małpy?”.

Na obecnym poziomie wiedzy naukowej, filozofii i teologii utożsamienie wszechmocnego Stwórcy z Bogiem, który do tego stopnia przejął się losem ludzi, że własnego syna poświęcił dla ich ratowania, jest bezpodstawne.

W sumie wszelkie rozważania fizyków o niematerialności i duchowości przejawiających się w niektórych procesach fizycznych i o globalnej naturze Wszechświata są dla prawdziwości religii chrześcijańskiej (i właściwie dla każdej innej) bez znaczenia. Ateiści mogą się nie obawiać, że ich wiara zostanie na tym polu podważona. ●

Leszek M. Sokołowski*

• profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, fizyk teoretyk pracujący w Obserwatorium Astronomicznym UJ, przez ponad 20 lat był kierownikiem Zakładu Astrofizyki Relatywistycznej i Kosmologii. Zajmuje się podstawami fizyki grawitacji, czyli rozmaitymi teoriami oddziaływań grawitacyjnych, oraz kosmologią wczesnego Wszechświata

Tytuł, śródtytuły i skróty – od redakcji

OGŁOSZENIA

BESTSELLEROWY THRILLER PSYCHOLOGICZNY

DWIE NOMINACJE DO GOODREADS CHOICE AWARDS 2022

NAJLEPSZY THRILLER ROKU I NAJLEPSZY DEBIUT POWIEŚCIOWY

Inteligentna i trzymająca w napięciu historia, pełna zwrotów akcji, których nie da się przewidzieć – KARIN SLAUGHTER

BŁYSKI W MROKU

Thriller

STACY WILLINGHAM

CZY MÓJ OJCIEC JEST MORDERCĄ?

Trauma, która powraca po latach. Sekrety, które mogą zniszczyć życie.

Chloe jako dziecko odkryła, że jej ojciec jest seryjnym mordercą. Po 20 latach od zabójstw sześciu młodych dziewczyn, po tym jak Chloe prawie ułożyła sobie życie i karierę psychoterapeutki, niespodziewanie ginie jej pacjentka. Sprawa wygląda podobnie jak morderstwa sprzed lat. Czy Chloe poradzi sobie z traumami z przeszłości, które ciągle w sobie nosi?

TOMASZEM RACZKIEM,
KRYTYKIEM FILMOWYM,
TEATROLOGIEM, PUBLICYSTĄ
ORAZ YOUTUBEREM, ROZMAWIA
DAMIAN NOWICKI

Ostatnie pięć lat Kevin Spacey spędził na wygnaniu, przynajmniej w mainstreamie, za oskarżenia o przemoc seksualną.

– Nie robił filmów nie dlatego, że nie chciał czy nie mógł, tylko dlatego, że producenci nie chcieli ryzykować. Chcieli mieć ubezpieczenie, którego z kolei ubezpieczyciele odmawiali ze względu na „ryzykowność” projektów. Powody, dla których nie widzieliśmy Spacey’ego w nowych filmach, były więc natury nie etycznej czy moralnej, ale całkiem pragmatycznej, czyli finansowej.

To nie jest nowość w procesie ubezpieczania działań artystycznych. Ubezpieczyciele muszą przecież wycenić ryzyko związane z koniecznością wypłacenia odszkodowań za ewentualne straty spowodowane na przykład przez akcję linczu czy bojkotu oskarżanych aktorów.

Pod koniec lipca londyńska ława przysięgłych uniewinniła go ze wszystkich dwunastu zarzutów napaści seksualnych, do których miało dojść w latach 2001-13. I co teraz?

– Ostudzenie rewolucyjnego zapału szwadronów poprawności na pewno pomoże unormalizować sytuację.

Świat filmu, kultury, w ogóle życie publiczne znajduje się w fazie pelzającej rewolucji poprawnościowej. Dążymy do absolutnej równości i sprawiedliwości w codziennych stosunkach społecznych. Idea w najwyższym stopniu słuszna, ale – jak każda rewolucja – niesie ze sobą żądanie ścinania głów wszystkim, którzy w jakiś sposób wystają poza określone ramy. I wtedy mają miejsce oceny skrajne, niebiorące pod uwagę tego, jak bardzo ktoś poza te ramy wystaje.

Czy uniewinnienie Spacey’ego oznacza porażkę systemu oskarżeń opinii publicznej? Jeżeli ktoś zostanie oczyszczony na drodze prawnej, to powinien wracać?

– Jest to przede wszystkim wyraźny sygnał, że spieszenie się z ocenami moralnymi wyprzedzającymi wyroki sądu jest niewłaściwe i... niemoralne. Jest też często wyrządaniem krzywdy ludziom w imię uprzedzeń i pochopnych przeświadczeń. Tym bardziej że – jak wiemy – opinią publiczną bardzo łatwo jest dziś manipulować – powiedziałbym nawet, że za sprawą internetu

tu łatwiej niż kiedykolwiek – podgrzewając gorącą kąkę komentarzy i święty zapał oskarżycieli amatorów.

Skoro Spacey został wyrzucony z serialu „House of Cards” oraz wymontowany z filmu „Wszystkie pieniądze świata” w związku z oskarżeniami, z których właśnie został oczyszczony, to może teraz żądać zadośćuczynienia?

– Jeśli prawnicy powiedzą mu, że ma szansę w takim odrotnym procesie, to zdecydowanie powinien wystąpić na drogę sądową i żądać rekompensaty za poniesione straty zawodowe. Jest to ważne, bo taki precedens mógłby zadziałać ostrzeżająco na pracodawców reagujących przedwcześnie i bezprawnie pod presją społecznego linczu.

Niedawno spotkał się pan z Romanem Polańskim. Jakie wrażenie?

– Mimo zbliżających się dziewięćdziesiątych urodzin trudno o nim powiedzieć, by był starszym panem. Jest sprawny fizycznie, intelektualnie i twórczo, właśnie skończył kolejny film, którego premiera odbędzie się we wrześniu. Rozmowa była ciekawa, dotyczyła jego imponującego dorobku filmowego, a nie ciągle nierozwiązanych kwestii etyczno-moralnych. Spotkaliśmy się dzień po emisji jego ostatniego filmu „Oficer i szpieg” z 2019 roku na drugim kanale francuskiej telewizji. Statystyki podają, że film miał rekordową oglądalność na poziomie 2,6 miliona widzów. Polański był tym bardzo poruszony i szczęśliwy.

Czyli „The Palace”, najnowszy film reżysera, jednak trafi do kin? Bo jeszcze kilka tygodni temu nie było to pewne, zwłaszcza gdy pojawiła się informacja, że dokument „Polański, Horowitz. Hometown” z udziałem reżysera ma problem z dystrybucją, a właściciele kin nie chcą go wyświetlać w obawie przed społecznymi konsekwencjami.

– Tak, ale na ten temat wypowiedziała się już Michèle Halberstadt, dyrektorka firmy ARP, dystrybuującej dokument. Jej zdaniem postawa właścicieli kin, którzy nie chcą go nawet obejrzeć, jest powrotem do czasów makkartyzmu i polowania na czarownice, a film padł ofiarą cancel culture.

To założmy, że „The Palace” okazuje się dobry, a na Festiwalu Filmowym w Wenecji, na który został zaproszony, zgarnia świetne recenzje. Co wtedy: nagradzać czy nie?

– Jeżeli Roman Polański otrzymałby nagrodę, powiedzmy, za najlepszą reżyserię, to przecież byłoby to wyróżnienie za reżyserię, a nie za jego życie, które może być oce-

niane przez instytucję zajmującą się przestrzeganiem prawa.

A co z celebracją wcześniejszych dzieł? Dziewięćdziesiąte urodziny Polańskiego, które wypadają w tym roku, wydają się idealną okazją do nagród za całokształt twórczości.

– Raz wyprodukowany film żyje i będzie żył własnym życiem niezależnie od Polańskiego. Nawet kiedy go już zabraknie, to dzieła dalej będą budzić emocje oraz dyskusje. Takie są prawa sztuki pisanej od dużej litery. Gdyby miało być inaczej, to powinniśmy się zastanowić, jak traktować jego filmy zrealizowane przed wydarzeniami, które zaprowadziły go na amerykańską salę sądową. Bo co, „Nóż w wodzie” byłby w porządku, ale już na przykład „Tess” czy „Frantic”, które powstały później we Francji, już nie? Takie podejście do sprawy byłoby absurdalne.

Jedni podkreślają, że obok Wajdy i Kieślowskiego Polański jest najbardziej utytułowanym polskim filmowcem na świecie, a jego „Dziecko Rosemary” i „Chinatown” czy „Pianista” to kanon światowej kinematografii. Inni zwracają uwagę na oskarżenia o przestępstwa seksualne, które wystosowało kilka naście kobiet. Gdzie pana zdaniem jest balans między hagiografią a cancelowaniem? Jak pogodzić obie rzeczywistości?

– Nie ma na to sposobu; nie ma też powodu, by łączyć oba światy, a dzieła twórcy rozpatrywać przez pryzmat jego biografii. Gdyby tak było, to powinniśmy wyrzucić wszystkie płyty z nagrań Filharmoników Berlińskich pod dyktando Herberta von Karajana, bo przecież oskarżono go o współpracę z nazistami; korzystał z pieniędzy i wpływów ludzi, których później skazano na śmierć w Norymberdze. A jednak dalej słuchamy jego koncertów. Dlaczego? Ponieważ był genialnym muzykiem i wybitnym dyrygentem, a jego nagrania stanowią trudne do powtórzenia przez innych osiągnięcie.

Na lewicy znalazłem argumenty, że celebracja twórców, którzy popełnili przestępstwa, jest symbolicznym na nie przyzwoleniem i sygnałem, że mogą być bezkarni. Np. w 2019 roku, gdy Polański otrzymał nagrodę Francuskiej Akademii Filmowej za reżyserię, słychać było oburzenie, demonstracyjnie opuszczano galę, a aktywistki nazwały to „splunięciem w twarz” oraz „uciszaniem” jego ofiar.

– Takie reakcje mają prawo mieć miejsce w każdej demokracji. Nie można nikomu narzucić jedynej właściwej postawy. Ludzie mają różne poziomy wrażliwości

i różne własne doświadczenia, które wpływają na poziom emocji. Ponieważ casus Polańskiego stał się symboliczny, w takich momentach symbolicznie karze się nie tylko jego za to, co zrobił, ale też wszystkich, którzy dopuścili się podobnych nadużyć. Z kolei ktoś, kto może sobie pozwolić na niuansowanie ocen, będzie się zachowywał mniej ostentacyjnie. No i nie można mówić, że rację ma ten, kto się oburza, a ten, kto widzi to inaczej, jej nie ma. Obie racje istnieją równolegle. Moim zdaniem wyroków na pewno nie powinni wydawać ludzie o skrajnych poglądach, bo z całą pewnością nie będą w nich obiektywni.

W dyskusji publicznej, zwłaszcza w sieci, nie brakuje opinii, że „artystom wolno więcej”, a „zwykły Kowalski” otrzymałby surowszą karę niż np. Beata Kozidrak za jazdę pod wpływem.

– Jak na to, co zrobiła Beata Kozidrak, to moim zdaniem dostała całkiem surową karę. Przypomnę, że w jej przypadku chodziło o jazdę po alkoholu, podczas której nie doszło do żadnego wypadku i skończyło się na złamaniu przepisów. Oczywiście słusznie została ukarana, ale chwilami mam wrażenie, że media traktują ją jako sprawczynię jakiegoś strasznego nieszczęścia. Co więcej, gdyby pan albo ktokolwiek, kto mówi, że gwiazdy mają łatwiej, musiał przeżyć taką nagonkę, jaką przetrwała ona, to jestem przekonany, że skończyłoby się na lekach psychotropowych. Publiczna kara, właściwie lincz, polegający na tym, że widzi się swoje zdjęcie w każdej gazecie, w pułkowym serwisie i mediach społecznościowych z podpisem „przestępczyni” czy „alkoholiczka”, jest dużo dotkliwsza niż ta, którą może wydać sąd. Moim zdaniem ludzie o dużej rozpoznawalności są karani podwójnie: według powszechnie obowiązującego prawa – jak wszyscy – oraz linczowani na łamach prasy jako osoby publiczne.

A co Polacy mają zrobić z historią Jacka Kaczmarskiego, któremu „po cichu” wybaczają się alkoholizm, bicie żony czy krzywdzenie córki, ponieważ był „bardem opozycji” i walczył o wolną Polskę?

– Uporczywie chce pan połączyć dwie płaszczyzny, jakimi są życie i twórczość człowieka. Nie sądzę, aby to miało sens. Słuchając „Obławy” czy „Murów” w wykonaniu Kaczmarskiego, nie chcę myśleć, jak zachowywał się wobec swojej rodziny. Skupiam się na jego twórczości, jego spuściźnie, która po nim została; kwestie rodzinne zostawiam rodzinie. To, co zrobił, pisząc teksty i śpiewając, było i jest bardzo istotne dla naszego obywatelskiego odczuwania i myślenia o Polsce. Nie znam szczegółów jego zachowania w domu, ale to są sprawy

Raczek o Kevinie Spaceym:

Ostudzenie rewolucyjnego zapału szwadronów poprawności pomoże unormalizować sytuację

WSKRZESZSZONE CZAROWNICE

Sprawa Kevina Spacey’ego może zadziałać trzeźwiąco na pracodawców reagujących pod presją linczu

do oceny dla prawników, psychologów, historyków. Z tego powodu nie przestanę słuchać tak ważnych dla mnie utworów. Jego dorobek artystyczny, wynikający z faktu, że był wybitnie uzdolniony, jest przecież naszą wspólną własnością. Olga Lipińska opowiadała mi kiedyś, że Wojciech Młynarski rzucił się na nią w kulisach festiwalu w Opolu, bo był wściekły za to, jaką kolejność występów ustaliła w reżyserowanym przez nią Kabaretonie. Być może zmanifestowała się wtedy jego dolegliwość, z którą potem walczył przez wiele lat. Czy z tego powodu mamy mówić o Młynarskim, że był przemocowcem, i odmawiać mu miejsca w polskim kulturalnym panteonie?

Ostrzega się dzisiaj przed cenzurą, przepisywaniem historii oraz „uaktualnieniem” starych dzieł względem obecnej wrażliwości.

– Ja też ostrzegam, bo moim zdaniem prowadzi to do poważnych przekłamań i skrzywienia perspektywy postrzegania twórczości artystycznej.

Czyli „Przeminęło z wiatrem” czy „Ojciec chrzestny” nie powinny być przemontowane, a „Buszujący w zbożu” przepisany, bo na takie propozycje można trafić w dyskusji?

– Oczywiście, że nie! Dzieła powinny zostać w takim stanie, w jakim zostały stworzone. Jeżeli dzisiaj uważamy, że świat się tak bardzo zmienił, że należy promować inne wartości, to proszę bardzo – twórzmy nowe dzieła na miarę tamtych. Unikajmy poprawiania, bo będzie jak z tą staruszką w Hiszpanii, która w kościele w miejscowości Borja próbowała odświeżyć i trochę poprawić zabytkowy fresk przedstawiający Jezusa Chrystusa i wyszedł z tego straszliwy bohomaz.

No, ale przecież dokładnie to robi teraz największe studio filmowe na świecie, czyli Disney, który cały swój klasyczny katalog bajek i animacji przerabia na wersje aktorskie, „wzbogacone” o współczesne wątki oraz wrażliwość. Tylko w tym roku do kina trafiły nowe „Piotruś Pan” oraz „Mała syrenka”, a opinie są podzielone: jedni widzą w tym postęp

■
**„Świat filmu,
kultury,
życie publiczne
znajdują się w fazie
pełzającej rewolucji
poprawnościowej”**

i pozbywanie się wzorców toksycznej męskości, a drudzy oskarżają o „lewacką propagandę”.

– Czas pokaże, czy przemalowana Arielka będzie w przyszłości bardziej interesująca niż pierwsza jej wersja. Odbiorcy i ich wrażliwość oczywiście się zmieniają, mogą oni mieć teraz inny stosunek do tematów czy wartości przedstawianych kiedyś, ale warto pamiętać, że takie zmiany zachodzą permanentnie; za dwadzieścia, trzydzieści lat znowu będziemy myśleć o świecie trochę inaczej niż dzisiaj. Pokutuje w nas złudne przeświadczenie, że to, co teraz na nowo ustalimy, zostanie takie na zawsze. Otóż nie. Przywiązywanie się do jakiegokolwiek zasady czy systemu wartości jest stratą czasu, ponieważ wszystko jest w nieustannym ruchu i podlega ciągłym zmianom. Dlatego moim zdaniem najlepiej jest mieć świadomość istnienia równoległych płaszczyzn odbioru kultury oraz sposobów

patrzenia na świat, a nie próbować eliminować jednych na korzyść drugich.

Przeczytałem gdzieś, że cancel culture, czyli „kultura unieważniania”, jest przez niektórych uważana za „zanik racjonalności”. Zgadza się pan z takim stwierdzeniem?

– Absolutnie tak. Jestem przeciwnikiem kultury unieważniania.

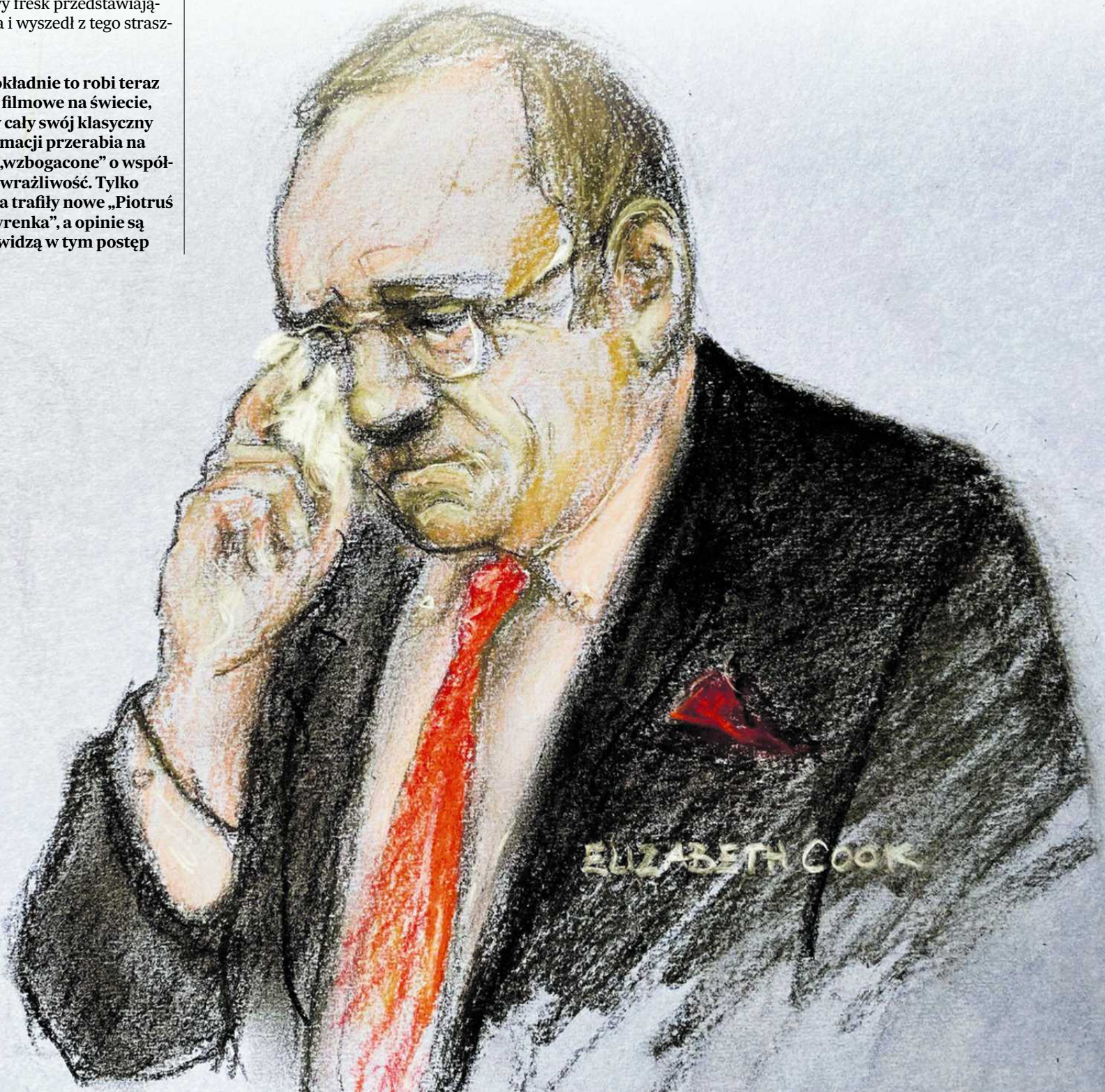
W tym kontekście nie mogę przestać myśleć np. o „Ostatnim tangu w Paryżu” w reżyserii Bertolucciego. Mimo że jest to wielkie dzieło, to czy dzisiaj – gdy wiemy, jak wyglądały kulisy powstawania tego filmu, szczególnie kontrowersyjnej sceny gwałtu – reżyser, jak również Marlon Brando, który grał główną rolę, nie zasługują na jakąś formę potępienia?

– Wolalbym się zastanowić, jak inaczej można by zrealizować tę scenę, żeby zarazem zachować ten sam walor i przejmujący efekt artystyczny. Najbliższy jestem chyba rozważaniom Edwarda Gordona Craiga, angielskiego reżysera, teoretyka i twórcy nowoczesnego teatru z przełomu XIX i XX wieku, który sam był synem znanej aktorki, więc większość dzieciństwa spędził za kulisami teatrów. Już jako dorosły artysta, autor wielkich inscenizacji, powiedział, że za największy problem teatru uważa aktorów oraz ich ograniczenia, zarówno fizyczne, jak i psychiczne oraz moralne. Jako reżyser uważał, że aktorzy mają być „narzędziami” i na scenie powinni być zdolni wykonać każde je-

go polecenie. Aby uzdrowić teatr, w 1905 roku zaproponował stworzenie „nadmarionety”, czyli sztucznej postaci scenicznej, która nie miałaby tych wszystkich ograniczeń. Mimo wielu prób podejmowanych na przestrzeni lat okazało się to niewykonalne. Może w teatrze tak było, ale nie w filmie! Sto lat później James Cameron w swoich „Avatarach” pokazał, że technologia cyfrowa pozwala na stworzenie wirtualnej „nadmarionety”. Aktora, wykreowanego przy użyciu techniki komputerowej, ale zaopatrzonego w cały warsztat i kunszt swojego ludzkiego „prawidła”, a zarazem wolnego od fizycznej niesprawności, moralnych zahamowań czy konfliktu z wyznawaną wiarą.

No dobrze, ale w końcu mowa o niesymulowanej i niekonsultowanej napaści seksualnej, która skończyła się dla aktorki wieloletnią traumą.

– Nie wiem, co wybitny reżyser Bernardo Bertolucci mógłby zrobić inaczej, by uzyskać efekt dramatyczny, o który mu chodziło. Nie uważam, aby to, jak potraktował Marię Schneider, było etyczne, i gdybym to ja siedział w fotelu reżysera, to na pewno bym się do tego nie posunął i zwyczajnie jako człowiek bym do tego nie dopuścił. Ale ja nie jestem reżyserem! Natomiast jako krytyk filmowy muszę powiedzieć, że ta scena, jak również cały film okazały się wybitne. W moim pokoleniu uważało się, że dla osiągnięcia jakiegoś wielkiego efektu artystycznego można zrobić wiele i przekroczyć wiele granic. Dzisiaj aktorzy nie chcą już kłaść



FOT. ELIZABETH COOK / AP

się na ołtarzu sztuki: stawiają granice, każą się traktować nie jak pomazańców, ale jak zwykłych ludzi. Taka postawa pokazuje, że jeżeli będziemy potrzebowali w sztuce bardzo silnych, drastycznych czy kontrowersyjnych scen bądź emocji, to trzeba będzie skorzystać z technologii wirtualnej. Nie ma innego wyjścia i w tę stronę zmierza sztuka.

A afera wokół Krystiana Lupy?

– Jestem przede wszystkim krytykiem, a nie publicystą społecznym, dlatego w przypadku Lupy interesują mnie jego spektakle. Przyznam, że już dawno nie oglądałem żadnej jego inscenizacji, więc muszę się wstrzymać od oceny tego, czy efekty jego pracy warte były psychologiczne osaczających metod. Nie widziałem tego, co działo się za kulisami, ale wiele słyszałem, i to od wielu lat. Wierzę też relacjom Joanny Szczepkowskiej. Tyle że to nie jest nic nowego. Po prostu przyszedł czas radykalnych postaw etycznych i dlatego oceny jego sposobu pracy są dzisiaj tak ostre.

Z kolei Tom Hanks powiedział niedawno, że dzięki cyfrowemu skanowaniu aktorów oraz technologii AI ich kariera może trwać w nieskończoność, a oni sami staną się czyjąś własnością intelektualną jak np. Myszka Miki.

– Taka jest kolej rzeczy. Nawet strajkujący teraz w Hollywood aktorzy tego nie negują, próbują tylko wywalczyć jakieś rozsądne tantiemy za swój talent, swoisty rodzaj odszkodowania za to, że będą coraz częściej eliminowani z planu. Hanks dostrzega zagrożenie, ale powinien się skupić nie na tym „czy”, tylko „jak”. Przecież z tej nowej sytuacji można także korzystać. Pokazali to członkowie zespołu Abba, którzy po czterdziestu latach powrócili na scenę w pierwszym w historii muzyki wirtualnym koncercie na żywo jako hologramy. Ich muzyka i nowe utwory zostały stworzone nie przez AI, tylko przez nich, więc jest to koncert całkowicie ich własny, tyle że wirtualne „nadmarionety” zwalniają ich z ciągłego wysiłku fizycznego i konieczności podróżyowania po świecie, co wiąże się ze znośzeniem związanych z tym niewygód, zarówno fizycznych, jak i emocjonalnych. Nie mówię, że teraz wszyscy mają naśladować Abbę, ale jest faktem, że szwedzcy siedemdziesięcioletkowie znowu okazali się pionierami i wykorzystali nowe możliwości.

Obyczajowe afery są zaraźliwe, rozlewają się na całe środowisko i nierzadko dotykają ludzi, ponieważ zajęli – bądź nie – jakieś stanowisko. Od ponad trzydziestu lat jest pan znaną postacią w branży zarówno teatru, jak i filmu i udaje się panu funkcjonować bez skandalu.

– Oto przegapił pan mój „skandal” z 2007 roku, gdy zrobiłem coming out i przedstawiłem wszystkim mojego partnera. Dobrze pamiętam, jak z tego powodu moja twarz trafiła na pierwszą stronę „Faktu”. To był czas, gdy ta gazeta reklamowała się na witrynach kiosków w taki sposób, że wywieszano duże powiększenia pierwszej strony. Dlatego jadąc przez miasto w dniu, gdy „Fakt” o mnie napisał na okładce, co kilka ulic widziałem wielkie zdjęcie swojej twarzy z podpisem „Tomasz Raczek: Jestem gejem”. Nie przypominam sobie w Polsce większego zamieszania z okazji czyjegoś wyjścia z szafy. Co ciekawe, kilka lat później dostaliśmy z moim partnerem, Marcinem Szczypińskim, Różę Gali dla najpopularniejszej pary, konkurując z kilkoma znanymi heteroseksualnymi parami.

Natomiast jeśli chodzi o świat filmu, to trzymam się zasady, której nauczono mnie w Akademii Teatralnej. Mówi ona, że krytyk nie powinien zawierać przyjaźni z aktorami, reżyserami oraz przedstawicielami środowiska, które opisuje. Takie relacje zwyczajnie uniemożliwiają potem obiektywizm i swobodę krytyka, zmuszając go, by w różnych sytuacjach opowiadał się po którejś ze stron lub oceniając nowe filmy, brał pod uwagę więzy towarzyskie. Oczywiście

część ludzi z branży znam lepiej niż innych bądź darzę mniejszą lub większą sympatią, jednak trzymam się tej zasady względem osób, o których piszę. Nie piję też alkoholu z ludźmi, których pracę oceniam, co w przypadku uroczystych premier czy festiwalu, zarówno teatralnych, jak i filmowych, jest dość wyraźną granicą.

Z mojej perspektywy to wiele osób robi dzisiaj dokładnie odwrotnie, a życie prywatne całkowicie scala z zawodowym, ponieważ mają z tego wymierne korzyści.

– Moim odbiorcą nie jest środowisko filmowe, tylko widzowie. To w ich imieniu działam oraz ich decyzje o tym, czy będą czytać lub słuchać moich recenzji, przesądzają o mojej pozycji. Jeżeli dużo ludzi chce mnie czytać bądź słuchać, a mój kanał z video-recenzjami na YouTube ma 112 tysięcy subskrybentów, to wiem, że przywiązują oni wagę do tego, co przekazuję i w jaki sposób to robię. Wtedy utwierdzam się w słuszności mojej postawy.

A czy za nieprzekraczanie swoich granic oraz brak „moralnie elastycznej” postawy zdarzyło się panu usłyszeć krytykę? Albo za swoje stanowisko względem kultury unieważniania?

– Gdy w czasach PRL-u pisałem o teatrze, takie rzeczy miały miejsce. Na przykład kiedy skrytykowałem inscenizację „Antygony” w reżyserii Andrzeja Wajdy w Starym Teatrze w Krakowie. Chcąc uwspółcześnić i upolitycznić antyczną tragedię, Wajda przebrał chór grecki w stroje stoczniovców. Publiczność entuzjastycznie wstawiała i biła brawo. Gdy skrytykowałem mistrza za zbyt plakatową publicystykę, niegodną moim zdaniem jego klasy, usłyszałem pod swoim adresem wiele niezadowolonych głosów. Podobnie było, gdy skrytykowałem sztukę „Brat naszego Boga” Karola Wojtyły, ponieważ uważałem i nadal uważam, że ten autor był kiepskim dramaturgiem. Napisałem, że uznanie go za wybitnego literata wynika z faktu, że jest papieżem, i to uważam za nieuczciwe. W redakcji uznano, że „krytykowanie Ojca Świętego” jest bezczelne, i w efekcie recenzji w ogóle nie wydrukowano. Kiedy indziej pewna wybitna aktorka, której nazwiska nie zdradzę, powiedziała organizatorom, że sobie nie życzy, abym ją zapowiedział na festiwalu w Łańcucie, chociaż już tam przyjechałem i miałem podpisaną umowę. Przez wiele lat nie mogła mi wybaczyć, że w jednej z recenzji skrytykowałem jej męża.

To brzmi jak niezależność, na którą pozwolić sobie może niewiele osób, dlatego muszę spytać: a z czego się pan utrzymuje?

– Jestem krytykiem filmowym, prowadzę audycje w Radiu Nowy Świat, mam swój kanał podcastowy na YouTube i Spotify, poza tym stworzyłem z moim partnerem własne wydawnictwo książkowe Latarnik i wciąż prowadzę jako redaktor naczelny miesięcznik „Magazyn Filmowy SFP”. Myślę, że robię te wszystkie rzeczy dlatego, że dawno temu stanąłem przed wyborem: albo dobrze żyć ze wszystkimi, albo cieszyć się wolnością. Przez to zdarzyło mi się nie otrzymać pewnej ważnej nagrody, którą jury mi przyznało, ale wada jej nie zatwierdziła. Ale mam wrażenie, że takie naciski pojawiały się, kiedy byłem młodszy i wydawało się, że można będzie na mnie coś wymóc. Dzisiaj, po kilkudziesięciu latach oporu, już wiadomo, że się nie da, że nie ma na mnie sposobu – ani prośbą, ani groźbą, ani przysyłanymi w nocy esemesami od producentów filmowych. ●

Ryzy kudła

Kontekst miłości – nieodwzajemnionej, splecionej z gorącą nienawiścią – nie jest tu przypadkowy, bo przecież Jarosław Kaczyński właśnie miłość uczynił głównym hasłem swojej kampanii.

Michał Rusinek

Jarosław Kaczyński nie tylko wprowadza do języka polityki nowe słowa, ale też czasami przypomina słowa zapomniane, rzadziej używane, jak mawiał Jeremi Przybora: drugie z brzegu. Tak też się stało ostatnio w Stawiskach, kiedy to prezes PiS powiedział: „Pamiętajcie o tym ryżym, bo to jest największe zagrożenie dla Polski”. I właśnie ten przymiotnik – ryży – zrobił największe wrażenie na komentatorach i komentatorkach, mimo że Kaczyński nazwał wówczas Donalda Tuska także „prawdziwym wrogiem naszego narodu” i dodał: „Trzeba to jasno w końcu powiedzieć. Ten człowiek nie może rządzić Polską. Ten człowiek powinien w końcu pójść sobie. Niech idzie do swoich Niemiec i niech tam szkodzi, a nie tu”.

Pomijając gest wykluczenia z narodowej wspólnoty i groźbę banicji, które mogą nam się przecież kojarzyć z retoryką narodowego socjalizmu w hitlerowskich Niemczech, warto zwrócić uwagę na pomieszczenie w tej wypowiedzi sądów twardych i kategorycznych z rozpaczliwie infantylnymi. „Idź sobie!” – tak przecież mówią dzieci, kiedy na przykład dorosły postanawia je postraszyć, przebrawszy się za złego wilka. Nazwanie kogoś ryżym także należy do poetyki infantylnych, przedszkolnych wyzisków.

Kaczyński zapewniał później w Polskim Radiu, że słowa o „ryżym Tusku” były potrzebne. Oskarżył opozycję o „splugawienie polskiego języka politycznego”, które określił nawet słowem zaczerpniętym z Marksa i Engelsa: „Mamy do czynienia z takim procesem lumpenproletaryzacji partii, która jest główną partią opozycyjną. Ona nigdy może nie blyszczala kulturą, ale już w tej chwili to jest proces lumpenproletaryzacji”. Następnie się zasmucił: „Bardzo to jest smutna rzecz, ale niestety trzeba na to jakoś reagować, oczywiście nie zniżając się do tego poziomu, ale jednak tak, żeby, można powiedzieć, być zrozumiałym dla pewnych ludzi, którzy takiego miększego języka nie rozumieją”. Czyli tak naprawdę używając słowa „ryży”, nie zniżył się aż do lumpenproletariackiego poziomu polityków opozycji, ale użył języka twardszego, żeby go zrozumieli ci, którzy nie rozumieją eleganckiego dyskursu politycznego, uprawianego do tej pory przez PiS.

Nie ludźmy się jednak. To wszystko tylko mylenie tropów. My, wychowani na polskiej literaturze romantycznej, nie damy się zwieść. Przecież składnia zdania: „ten człowiek

powinien w końcu iść sobie” stanowi oczywiste nawiązanie do fragmentu ballady Adama Mickiewicza „To lubię”. Przypomnijmy, że przed bohaterem tego wiersza staje nagle „straszna martwica”, czyli duch o imieniu Maryla, i opowiada swoją tragiczną historię: odrzuciła ona zaloty pewnego Józia, a nawet śmiała się z jego uczucia, aż ten odebrał sobie życie: „»Ja pójdę!« – mówił ze łzami. »Idź sobie!«/ Poszedł i umarł z miłości;/ tu nad rzeczułką, w tym zielonym grobie/ złożone są jego kości”. Kontekst miłości – trudnej, bolesnej, tragicznej, nieodwzajemnionej, splecionej z gorącą nienawiścią – nie jest tu przypadkowy, bo przecież Jarosław Kaczyński właśnie miłość uczynił głównym hasłem swojej kampanii. I jakże pięknie nawiązał do niej, dyskretnie cytując romantyczną balladę.

Słowo „ryży” też jest przecież Mickiewiczowskie, wszyscy pamiętamy je bowiem z bajki „Lis i kozioł”. Znowu przypomnijmy, że lis „już był w ogródku, już witał się z gąską”, ale wpadł do wkopanej w ziemię beczki na deszczówkę i nie mógł się stamtąd wydostać o własnych siłach. Do beczki zajrzał wrogo do niego nastawiony kozioł, a wtedy lis wymyślił, by go zwabić do środka. Udał więc, że pije wodę i zaczął mówić rzekomo do siebie: „Oto mi woda, takiej nie piłem, jak żyję!/ Smak lodu, a czy sta cudnie./ Chce mi się całemu splukać,/ ale mi ją szkoda zbrukać,/ Szkoda!/ Bo co też to za woda!”. Kozioł na to: „Ej – krzyknął z góry – ej, ty ryży kudła!/ Wara od źródła!”. Skoczył do środka, „Lis mu na kark, a z karku na rogi,/ a z rogów na drąg — i w nogi”.

O ile ballada Mickiewicza kończy się dobrze, bo dusza Maryli „ginie, jak ginie bładawy obłoczek/ kiedy zefiry nań dmuchną”, o tyle bajka opowiada jednak o kimś, kto jakiś czas temu poniósł klęskę, ale po pewnym czasie wpada na pomysł, jak sprytnie wykorzystać swojego wroga i jego słabości, by wyjść na powierzchnię. Owszem, naraża się on na dość prymitywny język – „ryży kudła”, a także „wara” (w 2019 roku Kaczyński krzyczał: „wara od naszych dzieci”) – ale ostatecznie to wściekły kozioł zostaje w beczce. Nasz narodo- wy wieszcz nie napisał wprawdzie, co było dalej, ale wiele wskazuje na to, że kozioł został w niej na dłużej. Może już nawet na zawsze. ●



Już w księgarniach i na publiko. pl zbiór felietonów Michała Rusinka, „**Ptak Dodo, czyli co mówią do nas politycy**”. Wyd. Znak



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

PEŁNĄ GĘBĄ

KLEKAĆ CZY JEŚĆ?

Przecież nawet nie byłem u pierwszej komunii i nie wiem, jak się zachować przy potrawach, które mogłyby się znaleźć w menu ostatniej wieczerzy. Pytania cisną się do głowy, bo w Noah wytwornie niczym w świątyni

Maciej Nowak

Trwa moja wakacyjna misja specjalna w Krakowie. Dzisiaj zapraszam w samo epicentrum turystycznej gorączki, czyli na Kazimierz. Zgodnie z sugestią Kati Placheckiej, orlicy podwawelskiego gastro, idziemy dziś do Noah.

Noah to oryginalne hebrajskie brzmienie imienia Noe. Dzięki jego Arce ocalało od gniewu Jahwe wszelkie ziemskie stworzenie. Noe to postać miła również dlatego, że zgodnie z biblijnym przekazem mąż ów doceniał uroki wina. Najwyraźniej tak jak ja był wyznania gastronomicznego. Niestety, gdy jego małostkowy syn Cham znalazł swego starszuka nagiego i ululanego jak niemowlę, zamiast wesprzeć go w potrzebie, szydził sobie z niego wraz z braćmi. W efekcie został przez papę przeklęty, gdyż w tamtych przedpotopowych czasach nie znano innych metod wychowawczych. Owa zacofana epoka uważała również, że człek pijany to człek święty, co w odniesieniu do Noego pasowało akurat jak ulał. Cham najwyraźniej tego nie załapał. Podobnie zresztą nie był świadom, że brak szacunku dla tatuńcia naznaczy jego imię odstręczająco po wsze czasy. Sprawiedliwość jak zawsze nierychliwa ostatecznie zatriumfowała po wiekach. Dzisiaj chłopaka, który opiera się nawalonemu rodzicowi, nikt od chamów już nie wyzywa, wręcz przeciwnie – liczyć może na współczucie i wsparcie. Satysfakcja nieco spóźniona, ale zawsze.

By nie kusić losu i ludzkich języków, w krakowskim Noah nie poszedłem tropem patrona lokalu i od wineczka się wstrzymałem. Całą parą przystąpiłem



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

Ekscytujące były malutkie i jędrne szaszłyczki z serc kaczyc w liściach i kwiatach nasturcji

za to do konsumpcji darów bożych, które mimo biblijnego kontekstu serwowane są tutaj w najmodniejszym dziś, talerzykowym stylu. Na stół co chwilę wpływają kolejne spodeczki pełne smakowitych drobiazgów, którymi należy się dzielić ze współbiesiadnikami. To się dzisiaj podoba, to jest naprawdę chic, by nie kitrać smakolejków tylko dla siebie, lecz niczym w wieczniku dzielić się darami świata tego. Ta dieta wywołuje myśli i odruchy prawdziwie ewangeliczne. Czy ja dam temu radę? Przecież nawet nie byłem u pierwszej komunii i nie wiem, jak się zachować przy potrawach, które mogłyby się znaleźć w menu ostatniej wieczerzy. Klekać czy jeść? A może jedno i drugie? I jeszcze czy wsadzać palec w ranę? Pytania cisną się do głowy, bo w Noah wytwornie niczym w świątyni. Surowe, czarne ściany, wzdłuż których wije się czarna kanapa, z sufitu zwisają uroczyste kryształkowe żyrandole, na stołach niczym na ołtarzach pyszni się marmur. Kuchnię, jak prezbiterium, oddziela od wiernych skomplikowana konstrukcja ze stalowych podciągów, pozwalających utrzymać struk-

ture najwyraźniej ułożoną z nie do końca kompatybilnych ze sobą elementów. Ale nie to, wrażenie jest podniosłe. Brzmią dzwony, niesie się dym kadzidel.

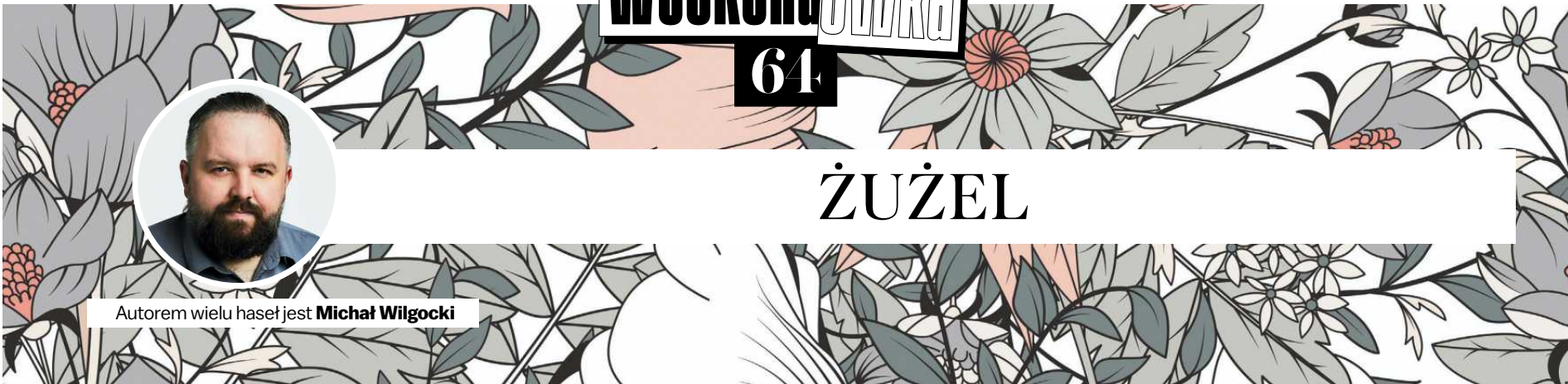
Zaczynamy naszą gastronszą od serowej trójcy: owczej fety, domowego labneh i koziego twarożku (38 zł). Połączenie trzech różnych serowych konsystencji działa skuteczne i efektownie. Tłuste owcze mleko daje produkt bardzo intensywny w smaku, krówski labneh zapewnia świeżą delikatność, koziak zaś – intensywny aromat. Do tego miód akacjowy, kocham takie słodko-słone kontrapunkty. A wszystko w płatkach kwiatów i z kromką wilgotnego chleba z orzechami i figami. Pycha. Z kolei objawiły się trzy kwiaty cukinii na długich łyżkach, wypełnione fetą i dosmaczone miodem z orientalną przyprawą dukkah o cytrusowym tonie (35 zł). Takie kwiatki mógłbym dostawać codziennie. I ładne, i smakowite. Pobudzeniu oziębłych krytyków kulinarnych służy też przyrządzony bakłażan (34 zł) zwany gruszką miłosną. W Noah został apetycznie przypalony i dosmaczony cytryną, koralami granatu i mię-

tą. A potem można się zająć rozstrzygnięciem fundamentalnej kwestii odrębności między botwiną a boćwiną. Wbrew rozmaitym mądrałińskim ć robi różnicę. Botwina to młody burak o niewykształconym jeszcze korzeniu spichrzowym. W Noah pokrojony wyleguje się na świeżej śmietanie (28 zł). Jego krewniaczka boćwina, czyli bezkorzenny burak liściasty, przed wydaniem na stół została z kolei podsmażona z czosnkiem (26 zł). Na talerzu wylądowała w sukience z jogurtu, tahiny i orzeszków pini. Paradę wege cudów wieńczył kalafor ugotowany al dente z tahiną i salsą z moich ukochanych kiszonych cytryn (34 zł).

Wtym momencie przeszliśmy do specjalów, których nie da się przygotować bez udziału rzeźaka, czyli starozakonnego rzeźnika. Zachwyciła mnie siekana surowa pierś gęsi (42 zł). I nie nazywajcie tego cuda tatarem, bo określenie to przystoi masie z wołowiny bądź koniny, a w tym wypadku mówimy – zgodnie z tradycją – o gęsiej okrasie. Równie ekscytujące były malutkie i jędrne szaszłyczki z serc kaczyc (34 zł) w liściach i kwiatach nasturcji. Po nich z kolei w blasku fleszy pojawiły się olśniewające minikebaby osadzone na zrolowanej korze cynamonowej (48 zł). Spoczywały na humusie i salsie z kiszonych cytryn. A teraz proszę koniecznie przyłożyć do ust chusteczkę, by ślinotokiem nie zachlapać „Wyborczej”, chcecie przecież doczytać do końca ten tekst. Albowiem puentą mej uczyty była biodrówka jagnięca (58 zł) – ponętnie różowa dzięki peklowaniu, spoczywająca na pęczaku, fasolce i kolendrze. Elementarna prostota tego dania to jego siła, której nie zdołały przyćmić nawet genialne desery. A stawka była wysoka: kandyzowany rabarbar na kremie cytrynowym z kruszonką (28 zł) oraz orientalny pudding na skrobi kukurydzianej z hibiskusem i wodą różaną (28 zł). Wspaniale, ale ta biodrówka mnie opętała. Wszystkie dania w Noah podawane są w masywnych naczyniach z kryształu. Dodaje to uroczystego blasku kolejnym daniom. Masz wrażenie, że na talerzach w Noah dosłownie klebią się pradawne żywioły, a z góry na te dary spogląda „łagodnie oko błękitu”. Dobrze jest żyć, ale żyć smacznie – jeszcze lepiej! ●

Noah, Kraków, Kazimierz, ul. Beera Meiselsa 24, tel. 799 049 349, czynne od poniedziałku do czwartku od 16 do 22, w piątek od 16 do 23, w sobotę od 13 do 23, w niedzielę od 13 do 21.30, można płacić kartą, brak toalety dla niepełnosprawnych

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE



weekendówka
64

ŻUŻEL

Autorem wielu haseł jest **Michał Wilgocki**

Żużlowy
zawrót głowy

Panie redaktorze, węgiel to polskie sumienie i piłka to też polskie sumienie...” – mówi w filmie „Piłkarski poker” ważny oficjel (w tej roli znakomity jak zawsze Krzysztof Zaleski).

Teraz, a w zasadzie od naprawdę sporego czasu można powiedzieć, że i żużel to polskie sumienie. Wszak polska liga od lat uchodzi za bodaj najsilniejszą na świecie, obecny, i w sumie trzykrotny już indywidualny mistrz świata pochodzi z naszego kraju – to oczywiście Bartosz Zmarzlik, wreszcie niedawno Polacy sięgnęli we Wrocławiu po drużynowe mistrzostwo świata – po raz 14.

Dzień ten musiał więc nadejść i „Weekendówka” poświęcona żużlowi była wyjątknie kwestią czasu. Okazja nadarza się właśnie teraz – już wkrótce, w poniedziałek przypadnie 91. rocznica pierwszych indywidualnych mistrzostw Polski na żużlu, który na początku swego istnienia zwany był dirt-trackiem.

7 sierpnia 1932 roku na Stadionie Miasta Mysłowic w dzielnicy Słupna spotkali się najlepsi żużlowcy kraju. Obiekt był świeży, oddano go do użytku niepełna dwa lata wcześniej. Był to pierwszy żużlowy stadion w Polsce, imponujących rozmiarów: 800 m długości i 40 m szerokości, mogący pomieścić sporą widownię (rekord frekwencji, 25 tys. widzów, ustanowiono w 1931 r.).

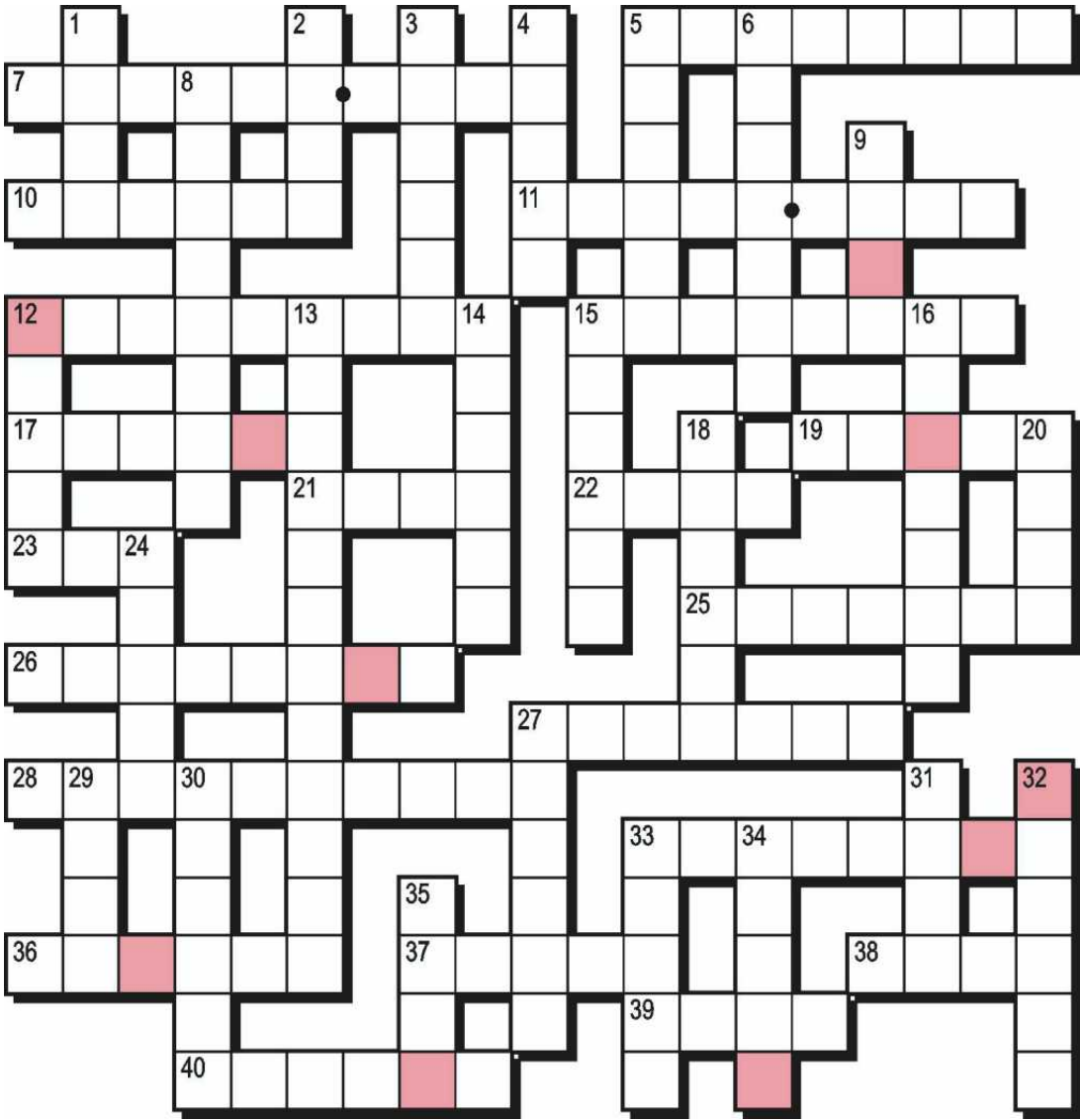
Ścigano się wówczas na motocyklach drogowych, odpowiednio zaadaptowanych, a rywalizacja podzielona była na klasy, odpowiednio do pojemności silników maszyn.

W Mysłowicach w klasie 250 cm sześć. najszybszy okazał się Alfred Weyl z Unii Poznań – zwany „człowiekiem muchą” od stylu utrzymywania się na motocyklu żużlowiec rok później obronił zresztą tytuł, ale prawdziwą gwiazdą zawodów był Rudolf Breslauer ze Śląskiego KM Katowice. Breslauer (po wojnie zmienił nazwisko na Wrocławski) triumfował zarówno w klasie 350, jak i 500 cm sześć. Ścigał się na brytyjskim motocyklu Coventry-Eagle.

Zapraszamy zatem na tor „weekendówkowy”, a o pomoc w układaniu haseł poprosiliśmy Michała Wilgockiego, redaktora działu Opinie „Gazety Wyborczej”, wydawcę strony głównej Wyborcza.pl i fana czarnego sportu. Choć słowo „fan” nie oddaje chyba do końca rzeczywistości. O tym, że Michał na żużlu się zna, wiedziałem wcześniej, ale po zapraszającej do „Weekendówki” rozmowie wiem, że to prof. dr hab. żużla o imponującej wiedzy i dodatkowo świetnie o żużlu piszący.

Do dzieła więc i powodzenia! ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 63 z 29.07:

Poziomo:
5) kobiety
8) misska 9) widok
10) Luiza 11) literatura 15) Pazura
16) Tilt 17) Roman
19) rycerz 21) jabłko
22) Apollo 24) sen
25) Helena 26) Norwid 27) Afrodyta
29) chwila 31) Atena 32) sceneria 34) Parys 35) ogon 37) Turnau 38) Jennifer 39) Ogrodniczka 40) serial.

Pionowo:
1) Bella 2) życie
3) Filip 4) esteci
5) katastrofa 6) Ewa 7) konkurs 12) ulica 13) pan 14) Krzan 15) Paulina 18) Marek Hasko 20) Sandra 23) okręt 24) sprzedawcy 28) Dżem 30) lustro 32) syreny 33) Adonis 35) ogień 36) opera 38) Jaś.

HASŁO: SZLACHETNA URODA

ŻUŻEL

Hasła Michała Wilgockiego oznaczono inicjałami (MW). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

5) tata Zenon, syn Krzysztof, obaj byli mistrzami Polski (MW)
7) na plastronach jeźdźców Falubazu
10) mecze wieńczące turnieje, cykle rywalizacji
11) za tydzień w Rydze (MW)

12) 2019, 2020, 2022 – Zmarzlik, 2010 – Gollob, 1973 – ... (MW)
15) w Grand Prix jeździ z numerem 71 (MW)
17) jazda po ..., czyli po zewnętrznej części toru (wpisujemy w mianownik)
19) zakręt toru
21) w Gorzowie, w Rzeszowie, kiedyś też w Ostrowie (MW)
22) inna w Tarnowie, inna w Lesznie
23) okrążany cztery razy
25) pojazd do kosmetyki nawierzchni 23 poziomo
26) ... Alfreda Smoczyka, organizowany w Lesznie
27) Andrzej, żużlowiec, któremu postawiono pomnik w Zielonej Górze

28) najwyższa klasa zmagani żużlowych w Polsce
33) żużel
36) żużel
37) Moto ... Łódź, stadion Orła
38) park maszyn, czyli ... z boksami dla poszczególnych teamów
39) ... Holta, reprezentant Norwegii i Polski
40) folie ściągane z gogli

Pionowo:

1) Toruń – Anioły, Tarnów – Jaskółki, Leszno – ?
2) nakładane przez sędziów
3) nie szczędzą gardel
4) kolejne wyścigi podczas meczu

5) Florian, jeden z pionierów sportu żużlowego w Polsce
6) arena zmagani żużlowców
8) Bartosz, trzykrotny indywidualny mistrz świata
9) wyścig motocyklowy w trudnym terenie
12) żużel – czarny ...
13) ranking (... generalna)
14) miasto Motoru
15) uwielbia zieloną herbatę, a na imię ma.. (MW)
16) upoważniają do wstępu na wszystkie mecze w sezonie
18) sportowiec numer jeden
20) drobne kruszywo, materiał drogowy
24) 45:45

27) mistrz Polski z każdą drużyną, w której jeździł (MW)
29) skojarz: start, tumany
30) ... Gollob, najbardziej utytułowany polski żużlowiec
31) kształt toru żużlowego
32) kto pierwszy, ten lepszy
33) klub żużlowy z Gniezna
34) żużel – Apator, piłka nożna – ? (w Toruniu)
35) Turniej o Złoty ..., organizowany od 1961 r.

Leszek Rydz

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ

Pobierz z
App Store

POBIERZ Z
Google Play

OGŁOSZENIE 34225722